tygodnikprzeglad.pl

Przegląd

Nr 36 (1182)
29.08-4.09.2022
Cena 8,90 zł
(w tym 8% VAT)

Trucie wody po polsku

Łódzka wojna o wieżowce

Greckie enklawy nad Wisłą

Jacek Pałkiewicz u zapomnianych plemion

CZEGO PiS CHCE OD NIEMCÓW

Jan Matejko, „Hołd pruski"

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299

ISSN 1509 3115

36 >

9 771509 311201

STODOLA more than live music

KLUB STODOŁA
ZAPRASZA NA KONCERTY!

EDYTA GEPPERT
6 LISTOPADA 2022

ANIA DĄBROWSKA
20 LISTOPADA 2022

LUXTORPEDA
25 LISTOPADA 2022

RAZ, DWA, TRZY
7 GRUDNIA 2022

40-LECIE
LADY PANK
17 GRUDNIA 2022

BASIA TRZETRZELEWSKA
20 STYCZNIA 2023

BILETY DOSTĘPNE NA: **WWW.STODOLA.PL** ORAZ **WWW.TICKETCLUB.PL**

@KLUB.STODOLA **@KLUB.STODOLA**

Jerzy Domański

Rysy na teflonie

Wór, do którego PiS przez siedem lat pakowało afery, jest już tak przepełniony, że szwy puszczają. Może go jeszcze władza cerować i łatać, ale na poprawę wyglądu to nie wpłynie. Wręcz odwrotnie. Dla partii, która pompuje społeczeństwo, a i siebie, nieustającą propagandą, taki coraz bardziej siermiężny wizerunek to prawdziwa katastrofa.

Zobaczymy, czy to początek końca rządów, które, choć biły rekordy z aferami w tle, dla większości wyborców były teflonowe. Ich nastawienie się zmienia. Bo im gorzej ludziom się żyje, tym większa w nich chęć, by znaleźć winnych. Rośnie też popyt na rozliczenia. A któż lepiej do tego się nadaje niż władza?

Jest ktoś jeszcze ważniejszy. Elektorat. I los najwierniejszych wyborców rządzącej prawicy. Co prawda, pogarszają się warunki życia prawie wszystkich grup społecznych, ale inflacja i skokowy wzrost cen energii najmocniej dotykają najbiedniejszych i emerytów. Czyli grupy najliczniejsze wśród wyborców PiS. Zobaczymy, jaki będzie efekt rządowych planów ratunkowych dla tych milionów Polaków. Czy prawicy uda się utrzymać ich poparcie? Czy wystarczą kolejne transfery pieniędzy? Jestem ostatnim, który by nie popierał wszelkich działań pomocowych kierowanych do tych środowisk. Bez względu na to, kto i z jakimi intencjami prowadzi akcję ratunkową kierowaną do ludzi w potrzebie.

Z wielu moich rozmów wynika, że kolejne kroplówki już nie wystarczą. Zwłaszcza że w te grupy mocno uderzą rosnące koszty opieki medycznej i leków. Służba zdrowia jest bezpłatna już tylko na papierze. W realnym życiu najczęściej jest tak, że jak nie ma pieniędzy na prywatne wizyty u specjalistów, to bardzo maleją szanse na poprawę stanu zdrowia. A nawet na życie.

Przybywa tych, którzy z obozu władzy przechodzą do coraz liczniejszej partii niewiedzących, na kogo głosować. Mogą jeszcze wrócić do PiS. Bo w swoich wyborach kierują się przede wszystkim tym, co konkretnego partie im proponują. I tym, czy mogą liczyć na realizację obietnic wyborczych. A tu rządzący są o wiele długości przed opozycją. Zadziwia mnie głęboka wiara opozycji, że ze zgranymi, kompletnie niewiarygodnymi nieudacznikami z przeszłości można znowu sięgnąć po władzę.

Nawet jak na tak nieobliczalny kraj jak nasz wydaje mi się to przedziwną fanaberią. Założenie, że wyborcy mają bardzo krótką pamięć i nie potrafią zadbać o swoje interesy, jak najgorzej świadczy o politykach z największej partii opozycyjnej. Wychodzi na to, że ostatnim atutem, jaki zostanie PiS, będzie słabość opozycji. Do wyborów jeszcze rok, może więc skrzykną się ludzie, którzy wniosą do polskiej polityki nową jakość.

BĄKOWSKI

PREZENT DLA CZYTELNIKÓW!
e-booki PRZEGLĄDU już od 9,90 zł
czytasz TANIEJ wiesz WIĘCEJ

PRZEDŁUŻAMY PROMOCJĘ DO 30 WRZEŚNIA
Zamów na sklep.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl f8afa2b15b

W NUMERZE

KRAJ

8 **Nie potrafimy rozmawiać z Niemcami**
– rozmowa z prof. Stanisławem Sulowskim

11 **Po co nam Niemcy?**
Oskarżenia ważniejsze niż dobro kraju

13 **Trucie po polsku**
Co pływa w rzekach i jeziorach

16 **Wojna o wieżowce**
Łódzkie potyczki inwestorów

44 **Księga wyborów**
Polskie życie greckich uchodźców

WOJSKO

20 **Śmiertelna niedyskrecja**
Wywiad czerpie z internetu

OPINIE I KSIĄŻKI

24 **August Grabski**
Lewica i wojna

26 **Jakub Dymek**
Wszyscy są już populistami

28 **Friszke – historyk i obywatel**

ZAGRANICA

29 **Ani rusofobia, ani naiwność**
– rozmowa z Witoldem Juraszem

32 **Turcja pogłębia współpracę z Rosją**
Strategia Erdoğana

34 **Cichy front**
Francja wycofuje siły z Mali

38 **Syty głodnego nie nakarmi**
Angielscy uczniowie bez obiadów

42 **Susza we Włoszech zagraża risottu**
Rolnicy w obliczu klęski

KULTURA

48 **Aktorzy nieprowincjonalni**
Korespondencja z Wiednia

52 **Qulturalia**

66 **Powrót Bogini**

OBSERWACJE

53 **Jacek Pałkiewicz**
Z wizytą u Jarajów

56 **Jak płynie wódeczka na wsi i w miasteczkach**
Meneliki Krzysztofa Daukszewicza

ZDROWIE

58 **Brud, smród i samotność**
Oblicza depresji

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**
Rysy na teflonie

19 **Jan Widacki**
Język giętki

23 **Andrzej Romanowski**
O dialogu

37 **Tomasz Jastrun**
Pożeracz świata

41 **Wojciech Kuczok**
Instadziad wędrowny

51 **Roman Kurkiewicz**
Gdzież my go spoczniemy?

34
ZAGRANICA

CICHY FRONT
Francja wycofuje siły z Mali

48
KULTURA

AKTORZY NIEPROWINCJONALNI
Korespondencja z Wiednia

53
OBSERWACJE

JACEK PAŁKIEWICZ
Z WIZYTĄ U JARAJÓW

Projekt okładki: Ed Mund

FOT. WIKIPEDIA/DOMENA PUBLICZNA, TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER, SHUTTERSTOCK, PAWEŁ WODZIŃSKI/EAST NEWS, PIOTR MOLĘCKI/EAST NEWS

eprasa.pl f8afa2b15b

Między zwycięstwem a podłością

Od jakichś 30 lat zaciera się pamięć o bojownikach i ofiarach o proweniencji lewicowej. Jeśli się o nich wspomina, to w kontekście importu ideologii wschodniej, która w rzeczywistości narodziła się na Zachodzie, czego nasi prawicowi populiści nie chcą wiedzieć, by uniknąć niewygodnych pytań o powody tychże narodzin. Wymazuje się pamięć o żołnierzach polskich idących ze Wschodu, którzy w czasie II wojny światowej nieśli rodakom co najmniej ocalenie od zagłady (Generalplan Ost był realizowany prawie do ostatnich dni wojny). Tak samo wymazuje się pamięć o polskich ofiarach czystek stalinowskich (akcja polska 1937-1938), których było czterokrotnie więcej niż tych katyńskich. Nie odmawiam niczego ofiarom Katynia, Starobielska, Ostaszkowa. To był kwiat. Prawica nie tylko tę glebę wyjałowiła, ale wręcz wyrzuciła ją na śmietnik. Trwa sztuczna, a do tego prostacka uprawa historii, rodem z książek napisanych po wojnie, które już w latach 70. nie nadawały się do użycia.

Między zwycięstwem a podłością

Michał Błaszczak

Mordercy Jaroszewiczów nadal bezkarni

1 września to nie tylko data wybuchu II wojny światowej. To również 30. rocznica bestialskiego zamordowania premiera Piotra Jaroszewicza i jego żony Alicji Solskiej. Tego dnia o godz. 12.30-13.00 spotkamy się na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach w Warszawie, by dać dowód naszej solidarności z synem premiera oraz wyrazić niezadowolenie i oburzenie z powodu bezkarności sprawców i mocodawców tego mordu.

Zbigniew Sowa, koordynator krajowy Polskiego Ruchu Lewicowego

Aplikacja gwałtu

W Uberze jeżdżą młodzi chłopcy z krajów, gdzie kultura patriarchatu nadal ma się świetnie. Gdy widzą pijaną dziewczynę w mini, mają skojarzenia i pomysły na podryw raczej ze swoich krajów niż z lekcji równouprawnienia i kultury stosunków z kobietami w świecie liberalnych wartości, w tym swobody seksualnej. To jednak sprawa Ubera, żeby zabezpieczyć klientki.

Poza tym ci chłopcy z Azerbejdżanu czy wschodu Gruzji są spragnieni seksu, bo dla polskich czy ukraińskich dziewczyn są mało atrakcyjni. Słabo mówią po polsku i po rosyjsku i pracują za grosze całymi dniami.

Andrzej Popławski

•

No i? Ten wywód ma ich usprawiedliwiać czy tłumaczyć? Czy może mamy im współczuć? Bo jeśli kobieta zamiast Uberem pojedzie autobusem czy pociągiem i ktoś ją będzie molestował lub zgwałci w środku komunikacji czy po drodze, to na bank usłyszy, że trzeba było wziąć taksówkę lub Ubera.

Monika Hendrickson

•

U nas świetnie ma się pewien element kultury gwałtu, czyli szukanie winy w ofierze. A, bo się upiła, bo się ubrała nie tak. Pomysł wychowywania mężczyzn tak, żeby nie gwałcili, byłby odbierany w naszym kraju jak jakiś absurd.

Henryk Pospulski

•

Dlatego nie jeżdżę Uberem ani Boltem. Z Bolta to sobie mogę co najwyżej żarcie zamówić. Ale od jeżdżenia są normalne taksówki z normalnymi kierowcami.

Kinga Ordońska

ZDJĘCIE TYGODNIA

W Solidarnej Polsce szef ma oko na wszystko. Zbigniew Ziobro testuje prezent ślubny dla wiceministra rolnictwa.

FOT. TWITTER.COM/ZBIGNIEW ZIOBRO

eprasa.pl f8afa2b15b

Złoty traci na wartości w takim tempie, że (26 sierpnia) **za dolara** trzeba było płacić **4,81 zł, za euro – 4,77 zł,** a **za franka 4,96 zł.** Prawie 700 tys. Polaków spłaca kredyty frankowe. Pomoc obiecywał im prezydent Duda. Ale gdy wygrał, to zapomniał.

•

Katastrofa na Odrze pokazała nieudolność kadry kierowniczej Wód Polskich, powołanych przez PiS w 2018 r., zatrudniających 6,3 tys. pracowników i kierowanych przez osoby wskazywane przez partie. Są wśród nich m.in. **mąż minister Moskwy** i **teść wicepremiera Sasina**. Kadra kierownicza zarabia 21,6 tys. zł brutto, a pracownicy tylko 4,4 tys. brutto.

•

Nie spełniły się nadzieje wiązane przez rolników z przejęciem Ministerstwa Rolnictwa przez **Henryka Kowalczyka** po kompletnym niewypale, jakim był wynalazek premiera Morawieckiego **Grzegorz Puda**. Dopłaty do nawozów dostała tylko część rolników, a w lipcu i sierpniu mieli dostać wszyscy. Zalew zboża z Ukrainy obniżył ceny skupu polskiego zboża poniżej progu opłacalności. A potwornie drogich nawozów i tak nie będzie, bo ich produkcję wstrzymano.

•

Reprezentacja lekkoatletyczna nawiązała do sukcesów sławnego Wunderteamu z 1966 r. w Budapeszcie. Na mistrzostwach Europy w Monachium zdobyła 14 medali, w tym trzy złote. Wywalczyli je **Aleksandra Lisowska** (maraton), **Pia Skrzyszowska** (100 m przez płotki) i **Wojciech Nowicki** (rzut młotem).

•

W ciągu 76 sekund prezes **Jarosław Kaczyński** poparł posła PiS **Marka Wesołego** kandydującego na prezydenta Rudy Śląskiej. Na kilka słów o Odrze zabrakło czasu. I chęci.

•

Donald Tusk przed programem w TVN 24 podzielił się z dziennikarką swoimi lękami: „Demotywuje mnie świadomość, że będę musiał kandydować. To jest tak upiorna myśl, że ja będę tam z powrotem siedział, na tej Wiejskiej". Nie wiedział, że ludzie to usłyszą.

•

Dominikanin o. Ludwik Wiśniewski w liście otwartym do prezydenta Dudy skrytykował jego przemówienie z 15 sierpnia. A zwłaszcza porównanie sukcesu w wojnie polsko-bolszewickiej z sukcesem w zablokowaniu przed uchodźcami granicy z Białorusią „mimo ataków durniów i zdrajców, różnych ludzi nieodpowiedzialnych".

•

Jacek Ozdoba, nominat Solidarnej Polski na wiceministra klimatu i środowiska, nie dość, że nie ma do tego podstawowych kompetencji, to po katastrofie na Odrze jest rekordzistą w propagowaniu kłamstw i oskarżeń. A przecież porządki trzeba zacząć od wyeliminowania tego partyjnego desantu.

•

4,4 mln uczniów może być objętych **programem „Dobry Start"**, z którego wypłaca się 300 zł dla każdego ucznia.

•

Co roku płonie w Polsce 8 tys. samochodów osobowych. Najczęstsze przyczyny to wyciek paliwa, przegrzanie i wadliwa elektryka.

•

Najbogatszymi gminami w Polsce są: **Kleszczów w Łódzkiem** (29 704,36 zł dochodu podatkowego na mieszkańca), **Kobierzyce w Dolnośląskiem** (8124,74 zł), **Rząśnia w Łódzkiem** (7383,7 zł) i **Jerzmanowa w Dolnośląskiem** (7330,33 zł).

PRZEBŁYSKI

Nowy celebryta

Przez całe życie, a młodzieńcem już niestety nie jest, prof. Wojciech Roszkowski znany był głównie w środowisku naukowców z odchyleniem prawicowym. I choć odchylenie w prawo rosło, to popularności Roszkowskiemu nie przybywało. Do czasu. Wszystko się odmieniło, gdy napisał „Historię i teraźniejszość". Pisowcy nazwali to podręcznikiem, a krytycy – niezborną propagandą z wątpliwymi tezami. Coś musi być na rzeczy, bo nawet betonowy minister Czarnek pod niektórymi „myślami" nie chce się podpisać.
„HiT" Roszkowskiego stał się hiciorem, a jego autor gwiazdą memów. Choć z pewnością nie o taką sławę mu chodziło. Prawdziwy wysyp krytyki będzie miał we wrześniu. Jak do szkół wrócą uczniowie.

Mateczka Ubera

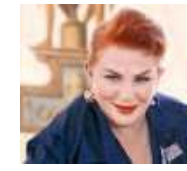

Dlaczego Uber dopuszcza do wożenia ludzi osobników bez prawa jazdy, pijaków, narkomanów i gwałcicieli? Bo po prostu może? Na polskich polityków bezpardonowo naciskała miss botoksu, ambasadorka USA Georgette Mosbacher. W 2018 r. po jej bezczelnych groźbach pod adresem Andrzeja Adamczyka, ministra infrastruktury, który był przeciwny sobiepaństwu Ubera, Mosbacher złamała naszych włazidupków. Przy gorliwej pomocy ówczesnych wicepremierów Morawieckiego i Gowina. Sejm na wniosek rządu przerobił ustawę o transporcie drogowym, by spełnić żądania Mosbacher. I zadowolić Ubera.

Spod znaku Frankensteina

Klęska flagowego programu PiS, czyli Polskiego Ładu, była bardzo widowiskowa. Zanim wyszło, że to największy niewypał po II wojnie światowej, premier Morawiecki objechał z nim cały kraj. A co się stało z autorami Polskiego Ładu? A – wyjechali z kraju, jak handlarz respiratorami? B – chodzą kanałami i tylko w nocy? C – mają się świetnie i udają, że to nie oni spłodzili tego gniota? Prawidłowa odpowiedź – C. Piotr Arak, Piotr Patkowski i Jan Sarnowski mają się lepiej niż dobrze. A najlepiej wiedzie się Arakowi. Jest szefem Polskiego Instytutu Ekonomii. Cokolwiek to znaczy. Widzimy go także w mediach. Oczywiście jako eksperta.
Jarosław Gowin nazwał Polski Ład podatkowym Frankensteinem. Jak więc nazwać Araka?

Komu robotę, komu?

Tego IPN nigdy nie brakowało. I nie o kasę tu chodzi, bo czymże dla tak bogato sponsorowanego miecza prawicy są kolejne miliony. Oprócz kasy IPN nie brakuje fantazji. Wydawać, ciągle wydawać. Ale tak, by zawsze było za mało. I te nominacje kadrowe. Zatrudnianie na telefon. Wystarczy dobry wujek albo ciocia z dojnej zmiany i znajdzie się posada. Chętnych, by zarobić, nie pocąc się przy robocie, jest tylu, że IPN szuka nowych terytoriów do żerowania. I znajduje. W kolejnych muzeach „wyklętych". Iluż ludzi może uszczęśliwić posadą Filip Musiał, dyrektor muzeum na Rakowieckiej! Ma plany i wielkie ambicje. Chce dorównać Muzeum Powstania Warszawskiego. Rośnie kandydat na prezesa IPN.

FOT. YOU TUBE, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl f8afa2b15b

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

mleczko.pl

sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Czego życzyć nauczycielom i uczniom w rozpoczynającym się roku szkolnym?

PRZEMYSŁAW STAROŃ,
nauczyciel, psycholog, wykładowca, Nauczyciel Roku 2018

Życzę nam wszystkim pamiętania o kluczowym fakcie: to szkoła została stworzona dla człowieka, a nie człowiek dla szkoły. Powstała po to, aby wesprzeć człowieka w jego drodze przez życie. A w drodze przez życie najważniejsze jest… samo życie – wraz z tym, co nadaje mu sens. Zarówno mądrość starożytnych, jak i współczesna nauka podkreślają, że to przede wszystkim miłość, przyjaźń, ciekawość, pasja, podążanie w stronę spełniania marzeń, autentyczność i bycie sobą, wolność i odpowiedzialność za świat, w którym żyjemy i który po sobie pozostawimy, empatia, troska, czułość i robienie wszystkiego, co zmniejsza ból innych żywych istnień. Życzę nam wszystkim pamiętania o tym. I życia tym wszystkim. To nie usunie ciemności czy wręcz czarnkości polskiej szkoły, ale zapali światło. A już jeden promień wystarczy, aby ciemność rozproszyć.

MACIEJ SOKÓŁ,
Wolna Szkoła, rodzic

Uczniom powinniśmy życzyć, aby nauczyciele nadal byli w szkole. Z różnych stron bowiem słychać głosy o kryzysie w tym zawodzie. Po prostu nie ma komu uczyć. Uczniom i nauczycielom należy życzyć szkoły wolnej od wpływów partii politycznej, która rządzi krajem, a więc i oświatą. Szkoły wolnej od takich rzeczy jak HiT i wszelkich prób narzucania jednej wizji świata. Nauczycielom życzę autonomii, żeby mogli sami decydować o tym, jak uczyć, bo wtedy po prostu chce się pracować.

ALINA CZYŻEWSKA,
działaczka obywatelska,
członkini Sieci Obywatelskiej Watchdog Polska

Całemu społeczeństwu warto życzyć świadomości tego, jakich patologii doświadcza oświata. Z doświadczeń wielu osób działających w tej dziedzinie, w tym moich, wynika, że w szkołach prawo było naruszane na długo przed ministrami Zalewską i Czarnkiem. Cieszy mnie natomiast, że zaczyna się głośno mówić o mobbingu, którego doświadczają nauczyciele ze strony innych nauczycieli i dyrekcji. Nauczycielom, uczniom i ich rodzicom życzę, żebyśmy w końcu zebrali siły i odwagę, aby wyjść z tego koła przemocy i zacząć szanować prawo. Szkoła była i jest miejscem tresowania w podporządkowaniu, a nie wychowywania wolnych obywatelek i obywateli do społeczeństwa obywatelskiego. Konsekwencje tego odczuwamy w życiu publicznym, bo w Polsce „nie potrafimy w demokrację".

Not. Kornel Wawrzyniak

eprasa.pl f8afa2b15b

Nie potrafimy rozmawiać z Niemcami

Kontakty międzyrządowe Polska-Niemcy są złe. Mamy instrumentalizację antyniemieckości

Rozmawia Robert Walenciak

PROF. STANISŁAW SULOWSKI
– politolog, w latach 2016-2020 dziekan Wydziału Nauk Politycznych i Studiów Międzynarodowych Uniwersytetu Warszawskiego. Od 2010 r. kieruje Ośrodkiem Analiz Politologicznych UW. Członek Komitetu Nauk Politycznych Polskiej Akademii Nauk. Konsul RP w Niemczech w latach 1991-1995.

W naukach politycznych szczególnie ważne są dwie kategorie – siła i interesy. Jak to wygląda, jeśli chodzi o stosunki Polski i Niemiec?

– Jeśli chodzi o kategorię siły, to z realistycznego punktu widzenia w zasadzie przegrywamy wszystko. Nie mamy siły przyciągania, którą mają Niemcy, bo są dużo większe, silne przemysłowo, bogate, kreują 10% światowego handlu, to jedna z przemysłowych potęg naszego globu. Każdy bierze to pod uwagę. A my? Przepraszam, ale opowieści o naszej wielkiej, mocarstwowej roli nie mają żadnych realnych podstaw. To mrzonki. Wystarczy porównać podstawowe parametry potencjału.

Skąd więc się biorą te opowieści o polskiej sile?

– Na pewno stąd, że nie potrafimy określić naszego potencjału, naszych możliwości w stosunku do zachodnich sąsiadów.

A kategoria interesu? Czy zdefiniowaliśmy nasze interesy, przynajmniej jeśli chodzi o Niemcy?

– Zdefiniowaliśmy, a potem to porzuciliśmy… To Krzysztof Skubiszewski mówił o „Polsko-Niemieckiej Wspólnocie Interesów". Po zjednoczeniu Niemiec i po odzyskaniu suwerenności przez Polskę była to opcja jak najbardziej trafna. Ale po przyjęciu nas do NATO i wstąpieniu do Unii Europejskiej nasze strategiczne koncepcje straciły wizjonerską moc. Zaczęliśmy patrzeć w przeszłość. Po odejściu Skubiszewskiego nie było nikogo, kto na nowo chciałby zdefiniować, co oznacza wspólnota polsko-niemieckich interesów.

A coś takiego istnieje?

– Nie istnieje, ale powinno istnieć.

Wspólnota zmienia perspektywę patrzenia na świat, daje też pewne narzędzia wpływu na partnera.

– W wielu sprawach Niemcy realizowały własną, egoistyczną politykę. Choćby w sprawie energetyki, kiedy budowały, wbrew protestom i ostrzeżeniom, gazociągi Nord Stream 1 i 2. Próbowaliśmy Niemcom tłumaczyć. Ale oni nie chcieli naszych racji rozumieć. Myślę, że mogliśmy w tej sprawie zrobić więcej. Powinniśmy uruchomić mechanizmy Unii Europejskiej, bardziej się starać, szukać wspólnych punktów. Na zasadzie: Niemcy chcą od nas pewnych rzeczy, a my chcemy wspólnej polityki energetycznej. Coś za coś! Na tym polega Unia Europejska, że wszyscy coś uzgadniają i z czegoś rezygnują, by zyskać w innym obszarze.

Powrót do przeszłości?

Czym są dziś Niemcy dla Polski?

– Stosunki polsko-niemieckie trzeba rozpatrywać w dwóch płaszczyznach – jako rządowe i jako społeczne. Do lat 70. na obu polach panowała nieufność i wrogość. Po roku 1970 nastąpiła normalizacja, te stosunki zaczęły się rozwijać. W latach 80. stosunki między społeczeństwami wyprzedziły rządowe. Stąd wzięło się przecież słynne powiedzenie Mazowieckiego, że musimy coś zrobić, ponieważ społeczeństwa poszły dalej niż oficjalne kontakty.

eprasa.pl f8afa2b15b

Lata 90. przyniosły dwie kluczowe umowy bilateralne – o granicach i o zasadach dobrego sąsiedztwa.

– Wiele się działo. W polityce, w gospodarce. Rozpoczęły się współpraca regionalna, kontakty młodzieży… Ale poza tym brakowało pomysłu, celu. Model stosunków w tamtych latach nazwano kiczem pojednania. Coś było na rzeczy, ponieważ prof. Franciszek Ryszka w pierwszych latach XXI w. stwierdził w „Gazecie Wyborczej", że „dzisiaj jest trudno pisać o Niemcach". Bo jeżeli ktoś podjął krytykę jakichś spraw, kontaktów, od razu rozlegały się głosy, że błądzi, bo przecież te stosunki są najlepsze od tysiąca lat. Prof. Ryszka miał rację. Tłumienie krytyki pomogło przetrwać i rozwinąć się różnym fobiom antyniemieckim.

Z jednej strony, kicz pojednania, z drugiej – kicz antyniemiecki. Niedawno wyczytałem, że Adam Glapiński ostrzega, że Niemcy chcą nam odebrać Ziemie Zachodnie.

– Instrumentalizowanie polityczne przynosi wielkie szkody. Szukanie wroga w Niemczech w obecnej sytuacji to powrót do przeszłości, do koncepcji dwóch wrogów. Przydałby się powrót do rozumu.

I tak dotarliśmy do rządów PiS…

– Kontakty międzyrządowe Polska-Niemcy są złe. Mamy instrumentalizację antyniemieckości. Wzajemna sympatia społeczeństw maleje. A przecież od 24 lutego mamy zupełnie nową sytuację na świecie, nowe zagrożenia. Trzeba na nowo zorganizować w Europie bezpieczeństwo. Tymczasem my koncentrujemy się na atakowaniu zachodnich sąsiadów.

Powinno być odwrotnie?

– W 2019 r. Niemcy i Francuzi podpisali traktat, będący przedłużeniem traktatu elizejskiego, który pogłębia związki Francji i Niemiec. Zakłada koordynację polityki, ściślejsze konsultacje itd. To jest pewien wzór na dzisiejsze czasy, kiedy wszyscy w Europie zastanawiają się, jak na nowo zbudować europejskie bezpieczeństwo. Bo dotychczasowy system legł w gruzach. Jest NATO, ale architektura bezpieczeństwa to coś szerszego.

To nie tylko współpraca militarna, to także wspólna polityka energetyczna, gospodarcza… Armia bez nowoczesnej gospodarki, logistyki, fabryk broni, ciągłości dostaw nie istnieje.

– Wojna w Ukrainie to pokazała. Ale ta wojna odkryła też egoizm polityki niemieckiej. Dlaczego Niemcy przez tyle lat nie chciały zrozumieć, że Nord Stream 2 jest zdaniem się na łaskę Rosji, daniem Moskwie instrumentu do szantażu energetycznego? Po roku 2014 było już ewidentne, że dalej z Rosjanami iść nie można. A niemiecko-rosyjskie kontakty kwitły. Nawet w sprawach wojskowych!

Niemcy wierzyły, że robią z Rosją interesy stulecia.

– One w to wierzyły, a my byliśmy nieskuteczni w ich powstrzymywaniu.

Dlaczego?

– Trudno wciągać Niemcy do wspólnoty interesów, np. budować wspólną politykę energetyczną, jeżeli wiecznie wyciąga się sprawy z przeszłości.

Reparacje i odszkodowania

Mówiąc o reparacjach i odszkodowaniach.

– I myląc te pojęcia! Trzeba to rozgraniczyć – reparacje to jedno, i ta sprawa jest w zasadzie zamknięta. Opowiadanie, że gdy rezygnowaliśmy z reparacji, nie byliśmy suwerenni, jest niepoważne. Bo to oznacza, że nie byliśmy suwerenni do roku 1989 w niczym! Natomiast odszkodowania to problem złożony.

To znaczy?

– Nie do końca rozumiem brak niemieckiej wrażliwości, jeśli chodzi o wojnę, o poczucie odpowiedzialności za zbrodnie, które Niemcy dokonali na Polakach. Ten brak wrażliwości nie jest niczym nowym, te sprawy posuwały się z trudem. Już w roku 1970, w traktacie o podstawach normalizacji, wypłynęła ta kwestia. Przyznano wówczas odszkodowania ofiarom eksperymentów medycznych. Później sprawa odszkodowań pojawiła się w traktacie z roku 1991, o dobrym sąsiedztwie. Wówczas powstała Fundacja Polsko-Niemieckie Pojednanie.

To był krok w dobrą stronę.

– Ale towarzyszyła temu biurokratyczna procedura ubiegania się o odszkodowanie, wykluczenie niektórych osób, robotników przymusowych… To było, może mimowolne, upokarzanie ludzi, którzy musieli dostarczać dokumenty, często zbędne. Rozmawiałem z nimi i wiem, że bardzo wielu byłych robotników przymusowych ze względu na biurokrację zrezygnowało z dochodzenia swoich praw. Uważam więc, że powinna być przyjęta inna procedura, a nie taka, w której liczono dni pracy przymusowej, a później odszkodowanie było symboliczne.

> Są politycy niemieccy, którzy potrafią zrozumieć historię, którzy przyznają, że Niemcy zapomnieli o polskich ofiarach.

Kto za te błędy ponosi winę?

– Obie strony. Bo strona polska niepotrzebnie zgodziła się na regulacje, które zaproponowano.

A czy do sprawy odszkodowań można wrócić?

– Czy Niemcy są gotowi o tym rozmawiać? Myślę, że przy zachowaniu konwenansów dyplomatycznych są szanse powodzenia. Bo to jest sprawa polityczna. Ale nie wolno jej instrumentalizować, na zasadzie: idą wybory, to pokrzyczę. To powinna być rozmowa na poziomie politycznym. Trzeba pokazać ogrom tego, co się stało. Są politycy niemieccy, którzy potrafią zrozumieć historię, którzy przyznają, że Niemcy zapomnieli o polskich ofiarach.

Pan mówi, że rzecz wymaga delikatnych i cierpliwych zabiegów, a Kaczyński trąbi o tym na pół Europy.

– On trochę późno dojrzewa do niektórych tematów. Od roku 1990 sprawował bardzo ważne funkcje polityczne. To za jego czasów, w roku 1991, negocjowano traktat o dobrym sąsiedztwie. Dlaczego wtedy nic nie mówił o odszkodowaniach? A teraz, 30 lat później, opowiada dyrdymały, że nam się reparacje należą.

To jest gra.

– Bardzo szkodliwa gra. Dzisiaj strategicznym, priorytetowym celem rządu powinno być montowanie

eprasa.pl f8afa2b15b

układu bezpieczeństwa dla państw Europy i dla Unii Europejskiej jako całości. Po pierwsze, powinniśmy dbać, by relacje transatlantyckie były wiarygodne i efektywne. A po drugie, trzeba budować sojusze w Europie. Popatrzmy na traktat akwizgrański, gdzie jest klauzula sojusznicza, zakładająca efektywną pomoc w razie zagrożenia. Dlaczego nie dołączymy do tego? Przecież był Trójkąt Weimarski! Jego idea została odłożona na bok, a może warto ją odświeżyć? Budujmy nową architekturę bezpieczeństwa. To jest najważniejsze! Ale to wymaga, żeby tym działaniom nie przeszkadzały konflikty bilateralne.

7 grudnia 1970 r. kanclerz Willy Brandt i premier Józef Cyrankiewicz podpisali układ między PRL a RFN potwierdzający granicę na Odrze i Nysie Łużyckiej.

Jak związać Niemcy?

Jakie są główne problemy w stosunkach polsko-niemieckich? Historyczne? Polityczne? Gospodarcze?

– Gospodarka uwolniła się od nacisku politycznego.

A historia?

– Polityka historyczna Niemiec i polityka historyczna Polski się rozchodzą. Kiedyś była komisja podręcznikowa, próbowano wspólnie różne sprawy uzgadniać. Dziś to przeszłość.

Każdy prezentuje swój punkt widzenia?

– Tylko że Niemcy mają o wiele większą możliwość wpływania na opinię publiczną. Nasz potencjał i nasze możliwości są słabsze. Zwłaszcza obecnie, gdy Polska ma złą prasę w zachodnim świecie. I nie potrafi prowadzić dyskusji, prezentować swoich racji.

Trudno o to, gdy rząd szuka pretekstów do zwady.

– A Niemcy odpowiadają cierpliwym milczeniem… Tymczasem zamiast zaczepek moglibyśmy szukać pól współpracy. Od roku 1991 mamy wspólny traktat. Co z niego wynika? Między innymi to, że strony umawiają się na coroczne konsultacje szefów rządów, ministrów itd. Od pewnego momentu nie jest to realizowane! Jeżeli nie realizujemy naszych traktatów, to znaczy, że zgadzamy się, że są one bez znaczenia. A powinniśmy cały czas opierać się na tym, do czego zobowiązały się obie strony. W przypadku takim jak wojna na Ukrainie na podstawie tego traktatu powinny się odbyć konsultacje, bo to jest poważne zagrożenie dla bezpieczeństwa europejskiego. Polska powinna absolutnie żądać od Niemiec konsultacji i przekonywać, żeby nie upierały się w sprawie dostaw broni na Ukrainę itd.

Reparacje to sprawa w zasadzie zamknięta. Natomiast odszkodowania to problem złożony.

Tak czy inaczej odnoszę wrażenie, że w polityce niemieckiej jest pewien konsensus największych partii wobec Polski.

– Pragmatyzm w polityce zagranicznej Niemiec jest spory. Wiedzą, że Polska może się przyczynić do sprawnego funkcjonowania Unii Europejskiej, ale może też być hamulcowym. A to grozi stagnacją. Bo jeżeli ciągle dyskutuje się z partnerami, którzy podważają różne aspekty prawne, traktatowe, to traci się siłę i możliwości rozwiązywania kluczowych problemów.

PiS gra kartą niemiecką, licząc, że zyska na tym w polityce wewnętrznej. Mówiliśmy o konsensusie niemieckich partii. Ale wyłamuje się z tego AfD.

– Nie zdajemy sobie sprawy, że powinniśmy budować z Niemcami wspólnotę interesów w sprawach europejskich, a szczególnie w sprawach bezpieczeństwa. To jest konieczne.

Dlaczego?

– Dlatego, że nie możemy zakładać, że Niemcy, niemieckie elity i społeczeństwo, zawsze będą proeuropejskie. Musimy pamiętać, że kiedyś taka AfD może uzyskać wpływ na rządy w Niemczech. I będzie grała kartą antypolską. Czy to takie trudne? Sprawa zatrucia Odry – gdyby AfD miała coś do powiedzenia, jakie byłyby w Niemczech komentarze? Jaki byłby głos mediów? Kogo by obwiniano? Dlatego naszą powinnością jest angażowanie się w projekty europejskie, razem z Niemcami. Tak jak Francuzi kiedyś uważali, że trzeba Niemcy utrzymywać w ramach Wspólnot Europejskich. To nadal jest aktualne. Bo jeżeli Niemcy nie będą zaangażowane w Unii Europejskiej, to są na tyle silne, że wybiorą drogę samodzielnej polityki. A praktyka – polityka energetyczna, układy z Putinem itd. – pokazuje, że to może być niebezpieczne dla Europy i dla nas.

eprasa.pl f8afa2b15b

Po co nam Niemcy?

W sprawach Niemiec i w sprawach Europy efektowne oskarżenia stały się ważniejsze niż realne interesy

Robert Walenciak

Po co nam Niemcy? Odpowiedź na to pytanie jest dwojaka, bo co innego powiedzą ludzie od gospodarki, a co innego politycy, publicyści, cała sfera od gadania. Poniekąd to bardzo polskie, bo to nasza narodowa specjalność – jedno robić, drugie mówić.

Po co więc nam Niemcy? Ludzie biznesu odpowiedzą krótko: po to, żeby żyć. Niemcy są naszym głównym partnerem gospodarczym, a my dla nich jednym z najważniejszych. Wyprzedziliśmy już Włochy i Wielką Brytanię, jesteśmy ich piątym partnerem. Tempo kontaktów biznesowych stało się imponujące, w kąt poszły wcześniejsze uprzedzenia. Polnische Wirtschaft znaczy dziś mniej więcej to samo, co opowieści sprzed 70 lat, że wyroby japońskie to synonim tandety. Z drugiej strony praca w niemieckich firmach jest w Polsce ceniona.

Miejmy świadomość, w jak krótkim czasie te zmiany nastąpiły. Nie zapomnę rozmowy sprzed paru lat z Janem Krzysztofem Bieleckim, który w roku 1991, jako premier rządu, pojechał z oficjalną wizytą do Niemiec. Przyjął go wtedy Helmut Kohl. I już gdy stanęli obok siebie, miało to posmak metafory. Wielki, zwalisty kanclerz i niewysoki polski premier. „Mówiłem mu, że to najlepszy czas do inwestowania w Polsce – opowiadał Bielecki. – Że jest okazja, że będziemy się rozwijać, tylko żeby nam długi umorzyli. A on nie za bardzo w to wierzył, pytał o nasze zadłużenie, o inflację, był nieufny. A z kolei im bardziej on był nieufny, tym ja mocniej go przekonywałem, jak to za chwilę Polska ruszy do przodu".

Można rzec, miał rację… W roku 1990 wymiana handlowa Polska-RFN wynosiła skromne 7,5 mld dol. W covidowym roku 2020 – 123 mld euro.

Czy na te dane zwraca uwagę świat polityki? Jeżeli tak, to pobieżnie. Bo wprawdzie po roku 1989 nastąpiła eksplozja polsko-niemieckich kontaktów, ale nie poszła za tym eksplozja wiedzy o Niemczech, umiejętność wpływania na niemiecką politykę.

Najwyższa pora, by Polska potrafiła zdefiniować swoje interesy. By potrafiła określić, czego od Niemiec chce.

Można wręcz twierdzić, że mamy potężny regres. Przykładem szczególnej nieporadności jest były ambasador RP w Berlinie Andrzej Przyłębski, który przez niemieckie elity był ignorowany i który wsławił się spotkaniami z przedstawicielami skrajnie prawicowej AfD.

Ale cóż znaczy ambasador, skoro politycy PiS wskazują Niemcy jako wroga Polski. Jarosław Kaczyński mówi o teorii dwóch wrogów i o planach kondominium niemiecko-rosyjskiego, Zbigniew Ziobro o szefowej Komisji Europejskiej wyraża się: „ta Niemka", a niedawno europoseł PiS Zdzisław Krasnodębski stwierdził, że Zachód jest dla Polski groźniejszy niż Rosja Putina. Ba! Swoje wnosi też szef NBP Adam Glapiński, który opowiada, że Niemcy chcą zainstalować w Polsce swojego premiera, Donalda Tuska. A poza tym myślą o odzyskaniu Wrocławia i Szczecina.

Partner solidny, ale chaotyczny

Czy Niemcy wiedzą, że ich obroty handlowe z Polską są trzy razy większe niż z Rosją?

– Polska jest dla Niemiec piątym partnerem handlowym. Dla nas Niemcy są na pierwszym miejscu. I wiedzą to. Przemysł niemiecki, instytucje gospodarcze są ze współpracy z Polską bardzo zadowolone. Jest blisko, koszty są niskie. Polacy są solidni i postrzegani jako solidny partner. Rynek zbytu jest duży i jest blisko. To ważne i Niemcy to doceniają.

Jak trzeba z nimi rozmawiać?

– O potrzebie i konieczności współpracy z Niemcami wspominał dawno temu Edmund Osmańczyk, znakomity znawca spraw polsko-niemieckich. Już w 1946 r. pisał, że w interesie Polski leży przygotowanie się do współpracy z Niemcami. Przewidywał wtedy, że współpraca ta nie będzie łatwa i wymagać będzie niesłychanej czujności i roztropności. Apelował, abyśmy mieli jasno skrystalizowany program w stosunku do Niemiec. To dalej aktualne.

Z Niemcami trzeba rozmawiać w sposób bardzo konkretny. Przedstawiać swoje oczekiwania, swoje racje. To wszystko musi być skrupulatnie dokumentowane. A w Polsce panuje chaos. Jedni chcą tego, drudzy czego innego, później zapominają, nie da się do niczego konkretnego dojść. Niemcy znają tę specyfikę – że jeśli jedni negocjatorzy są bardzo ostrzy, to lepiej poczekać, aż ich czas minie i przyjdą tacy, z którymi będzie łatwiej się porozumieć. Sam tego doświadczyłem, jeśli chodzi o funkcjonowanie Rady Jugendwerku. Ta rada składa się z polityków i działaczy społecznych z jednej i drugiej strony, zbiera się dwa razy do roku. Ze strony Niemiec przychodzili ci sami, kompetentni członkowie. A ze strony Polski na każde posiedzenie przychodził inny skład. Na każde inny! Trudno mówić w takiej sytuacji o myśleniu strategicznym, kontynuacji projektów i konsekwentnej obronie naszych interesów. Ale to dotyczy również wielkiej polityki. Zwłaszcza od roku 2015.

Robert Walenciak

eprasa.pl f8afa2b15b

W sprawach niemieckich mamy zatem odklejenie od rzeczywistości. Najpierw, jeszcze w latach 90., w mediach dominował przekaz o pojednaniu polsko-niemieckim, królował zachwyt nad Niemcami. To, jak najbardziej trafnie, nazwano kiczem pojednania. A teraz mamy kicz Niemca-Krzyżaka dybiącego na Polskę. PiS go nakręca; Kaczyński najwyraźniej uważa, że to „polityczne złoto" te tkwiące głęboko w każdym z nas pokłady nieufności do Niemiec i strachu, wyciąga je na wierzch. Ale to nie koniec gry – bo zapowiada, że wywalczy reparacje wojenne. 77 lat po zakończeniu wojny! Tak oto podgrzewa ułudę, że Niemcy będą nas utrzymywać.

I to jest kłopot polskiej debaty – że nie potrafi wyjść poza kicz pojednania i kicz Niemca-Krzyżaka. Taka sytuacja do niczego dobrego nie prowadzi. W stosunkach polsko-niemieckich jest wiele kwestii, które wymagają rozwiązania czy naprawy. Ale żeby to nastąpiło, strona polska musi do tego podejść poważnie.

Po pierwsze, najwyższa pora, by Polska potrafiła zdefiniować swoje interesy. By potrafiła określić, czego od Niemiec chce. Tak było wcześniej, do roku 2004, gdy Niemcy odgrywały rolę szerpów wciągających nas do Unii Europejskiej. W czasach Donalda Tuska mozolnie zaczęliśmy docierać do miejsc, gdzie zapadały najważniejsze decyzje w ramach polityki unijnej. A teraz Kaczyński wyznaczył Niemcom rolę straszaka. Czy to poważne? Czy to mądre, niczego realnego od nich nie chcieć?

Po drugie, jeżeli już zdefiniujemy nasze interesy i oczekiwania, warto, by Polska zaczęła o ich realizację zabiegać. A to wymaga znajomości niemieckich polityków i przedsiębiorców, całego systemu politycznego. I dobrych kontaktów. Czy ktoś w Polsce takie ma? Czy nasze lobby w Niemczech jest choć w jednej dziesiątej tak duże jak lobby rosyjskie? Kto tu zawalił sprawę?

Kontakty z Niemcami wymagają również porządnego przygotowania się do kolejnych rozmów. To nie jest proste. Niemcy są znani z przywiązania do wcześniej głoszonych tez. Swego czasu w europejskiej dyplomacji furorę zrobiło określenie jednego z dyplomatów amerykańskich, że z Niemcami jest tak, że jak na nich nie krzykniesz, to nie zrozumieją. To pewna metafora, która pokazuje, jak trudno przekonać niemieckich partnerów i jak ważna jest w rozmowach siła argumentów. Czy je mamy?

Przykładem tego, że stosunki polsko-niemieckie przeszły na etap połajanek i wewnętrznych rozgrywek, są ostatnie miesiące. Rządowa propaganda wtłacza nam do głów, że wojna rosyjsko-ukraińska dowiodła, jak bardzo Niemcy błądziły, uzależniając się od rosyjskiej energii. I że to Polska miała rację, przestrzegając przed Rosją.

To efektowne oskarżenie, ale nie do końca prawdziwe. Polska też uzależniła się od Rosji, nam też zabraknie zimą gazu i węgla. Poza tym sama idea kupowania tanich surowców nie była zła. Ekspansja gospodarcza Niemiec w ostatnich latach opierała się na dwóch czynnikach – tanich surowcach z Rosji i taniej produkcji w krajach Europy Środkowej. To jest także źródło polskiej prosperity – jesteśmy wielkim poddostawcą firm niemieckich, eksportujących na cały świat. Do tej lokomotywy jesteśmy podczepieni.

Nie było wielkim błędem to, że Niemcy kupowały gaz z Rosji. Błędem było, że kupowały go za dużo, że przekroczyły granicę uzależnienia od jednego dostawcy. Dlaczego tak się stało? Może dlatego, że rosyjscy lobbyści i rosyjski wywiad byli w Niemczech bardziej skuteczni niż inne siły?

Kolejna różnica zdań dotyczy przyszłości Europy. Wiadomo, Polska PiS chce w ramach Unii jak najluźniejszych więzi, żeby Bruksela płaciła i się nie wtrącała. Ale w takim razie dlaczego Warszawa domagała się ściślejszej unijnej współpracy w ramach walki z COVID-19, w ramach zamawiania gazu czy obecnie – wspólnoty obronnej?

Jak więc widać, w sprawach Niemiec i w sprawach Europy efektowne oskarżenia stały się ważniejsze niż realne interesy. Polska racja stanu to jedno, a partyjny interes PiS – drugie. I ten partyjny interes wygrywa.

To mistrzostwo świata, że po 30 latach harówy, kiedy mamy siłę, by ważne dla nas sprawy przeprowadzać i w Berlinie, i w Brukseli, wszystko w swoje ręce wzięła ekipa, która chce historię odwrócić i zamknąć nas w jakimś skansenie.

Robert Walenciak

W latach 90. dominował kicz polsko-niemieckiego pojednania. A teraz mamy kicz Niemca-Krzyżaka dybiącego na Polskę.

Kanclerz Angela Merkel nie była przez PiS witana z otwartymi ramionami. Warszawa, 11 września 2021 r.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, AKG/EAST NEWS, RAFAŁ OLEKSIEWICZ/REPORTER

eprasa.pl f8afa2b15b

Akcja napowietrzania wody w Odrze przeprowadzana przez straż pożarną w Siodle Dolnym, 22 sierpnia 2022 r.

Marek Czarkowski

Trucie po polsku

Proceder nielegalnego zrzucania ścieków do rzek i jezior trwa w najlepsze

Nigdy nie szanowaliśmy rzek ani jezior. Woda, dopóki płynie z kranów, wydaje się czymś tak oczywistym, że aż niegodnym uwagi. W czasach PRL głównymi trucicielami wód były zakłady chemiczne, kopalnie węgla kamiennego oraz producenci celulozy i papieru. W dużych miastach brakowało oczyszczalni, więc fekalia spływały do wód szerokim strumieniem. A gdy rolnicy nauczyli się stosować na dużą skalę nawozy sztuczne i środki ochrony roślin, wiosną część chemikaliów spływała z pól i niszczyła wody od Tatr po Bałtyk. Pod koniec lat 80. Polska uchodziła za kraj dotknięty wielką katastrofą ekologiczną.

Wszystko zmieniło się po roku 1989. Upadek wielu nierentownych zakładów sprawił, że liczba trucicieli spadła. Sytuacja zaczęła się poprawiać, lecz nie był to efekt przemyślanej polityki. Po prostu tak wyszło. Zabiegając o przystąpienie do Unii Europejskiej, Polska musiała dostosować obowiązujące prawo do nowych norm. Także w obszarze ekologii. Pod koniec lat 90. zaczęto budować nowe oczyszczalnie ścieków i rozbudowywać już istniejące. Tempo inwestycji wzrosło po wejściu do UE. Dzięki środkom unijnym można było sfinansować takie przedsięwzięcia jak modernizacja największej w kraju warszawskiej oczyszczalni ścieków Czajka, którą rozpoczęto w 2009 r., a zakończono w roku 2012.

Powstawały też mniejsze oczyszczalnie w miastach średniej wielkości. Każda taka inwestycja kosztowała setki milionów złotych. Dziś mamy w kraju 1769 oczyszczalni ścieków komunalnych. Dzięki nim oraz surowszym regulacjom prawnym jakość wód śródlądowych poprawiła się, lecz nadal bardzo dużo jest do zrobienia.

Zwłaszcza że proceder nielegalnego zrzucania ścieków do rzek i jezior trwa w najlepsze. Posłowie Koalicji Obywatelskiej Dariusz Joński i Michał Szczerba, którzy przeprowadzili kontrolę poselską w Państwowym Gospodarstwie Wodnym Wody Polskie, zidentyfikowali 282 nielegalne wyloty zanieczyszczeń do Odry. Ich zdaniem w całej Polsce są 1432 takie miejsca, w których do rzek ścieki trafiają bez żadnej kontroli. Co więcej, Wody Polskie udzieliły 429 pozwoleń na wpuszczenie ścieków do Odry i jej dopływów.

Stan wód pogarsza się również z powodu wysokich letnich temperatur i ciepłych zim, bez obfitych opadów śniegu. Spada poziom wody, niektóre rzeki i jeziora zaczynają wysychać, a mniejsze rzeczki i strumienie znikają. Rządzący nie mają

FOT. SEBASTIAN NOWIK/REPORTER

eprasa.pl f8afa2b15b

pojęcia, co robić, a nasz kraj nie ma obliczonej na lata polityki wodnej.

Zły czas dla rzek i jezior

Zainteresowanie stanem wód oraz inwestycje w oczyszczalnie ścieków skończyły się w roku 2015. Przyczyniła się do tego Komisja Europejska, która zajęła się stanem powietrza oraz planami ograniczenia emisji dwutlenku węgla. Wyasygnowano na ten cel setki miliardów euro. Siłą rzeczy rządzący Polską liderzy Zjednoczonej Prawicy zajęli się tym tematem, bo tylko głupi nie schyliłby się po taką kasę.

Gwoździem do trumny było powstanie w roku 2018 Państwowego Gospodarstwa Wodnego Wody Polskie. Stworzono molocha, który zaoferował tysiące nowych miejsc pracy działaczom Zjednoczonej Prawicy. Lecz dopóki nie działo się nic złego, brak efektów działalności tej instytucji nikogo nie interesował. Nawet bardzo krytyczny raport z kontroli NIK z 2020 r. nie wzbudził zainteresowania.

Wody Polskie w założeniu miały prowadzić całościową politykę państwa w odniesieniu do wód śródlądowych. Od zajmowania się stanem wałów przeciwpowodziowych, tam na rzekach, jazów i przepustów oraz innych urządzeń technicznych po… rybactwo. Wody Polskie mają 27 obwodów, na których po uiszczeniu opłaty 250 zł można swobodnie wędkować.

W styczniu br. wiceminister infrastruktury Marek Gróbarczyk podjął decyzję o unowocześnieniu procedur związanych z rybackim użytkowaniem wód. W strukturach Wód Polskich powstał Departament Rybactwa, którego zadaniem miało być przygotowanie nowych rozwiązań systemowych dotyczących rybołówstwa i rybactwa. W praktyce będzie to oznaczało wyrugowanie Polskiego Związku Wędkarskiego, który jest organizacją niezależną i ma ok. 600 tys. członków. Obok ochotniczych straży pożarnych to największa tego rodzaju organizacja społeczna w kraju. Struktury samorządowe nie mają dziś większego wpływu na gospodarkę wodną. Ich uprawnienia, obowiązki i pieniądze zostały przejęte przez Wody Polskie.

Katastrofa na Odrze ujawniła bezradność tej instytucji w obliczu zagrożenia. To wędkarze, członkowie Polskiego Związku Wędkarskiego, jako pierwsi ostrzegali o śniętych rybach, a potem zbierali je, starając się wspólnie ze strażakami i ochotnikami oczyścić rzekę.

Wysiłek Wód Polskich najlepiej ocenił premier Mateusz Morawiecki, dymisjonując jej prezesa Przemysława Dacę. Powinien był zrobić to wcześniej, bo już bardzo pobieżna lektura prasy lokalnej dostarcza mnóstwa przykładów katastrof ekologicznych, które dotknęły rzeki i zbiorniki wodne w całym kraju. Nie słyszymy o tym, gdyż media zbytnio ich nie nagłaśniają, a Polaków stan wód nie interesuje. Chyba że chodzi o sinice w sezonie urlopowym, których pojawienie się wypędza wypoczywających z nadbałtyckich plaż. Ale sinice to domena Głównego Inspektoratu Sanitarnego, a nie Wód Polskich.

Co ciekawe, z dostępnej na stronie internetowej GIS listy kąpielisk nie dowiemy się, z jakich konkretnie powodów niektóre zostały zamknięte. Na przykład kąpielisko w Stepnicy nad Zalewem Szczecińskim zamknięto, gdyż „woda jest nieprzydatna do kąpieli ze względu na inne wymagania". Podobnie rzecz się ma z sąsiednimi kąpieliskami – w Lubczynie i Dąbiu nad Jeziorem Dąbie czy Dziewokliczem nad Kanałem Odyńca. A to konsekwencje katastrofy ekologicznej, która dotknęła Odrę. Tylko urzędnikom inna formuła nie przychodzi do głowy.

A gdy, jak w przypadku Odry, nie da się ukryć rozmiarów nieszczęścia, stajemy się świadkami festiwalu dezinformacji w wykonaniu rządzących, którzy raczą nas różnymi teoriami spiskowymi i zrzucają odpowiedzialność na innych.

> Struktury samorządowe nie mają dziś większego wpływu na gospodarkę wodną. Ich uprawnienia, obowiązki i pieniądze przejęły Wody Polskie.

Kto i jak truje?

Skoro nie można wiele zrobić, to warto wiedzieć, kto niszczy nasze rzeki i jeziora. Największym trucicielem jest rolnictwo. Każdego roku rzekami do mórz spływają tony związków azotu i fosforu, których źródłem są nawozy sztuczne. Według danych niemieckiego Federalnego Urzędu Środowiska w 2016 r. z niemieckich pól trafiło do Bałtyku niemal 12 tys. ton związków azotu i ok. 371 ton związków fosforu. Zbliżone wielkości odprowadzają zapewne i polskie rzeki. W efekcie każdego roku w morzu pojawiają się niebezpieczne dla ludzi sinice.

Przy czym związki fosforu i azotu to nie wszystko. Do wód śródlądowych płyną też środki ochrony roślin i zwierzęce odchody. W listopadzie 2006 r. między Korniami a Machnowem Starym, niedaleko Lubyczy Królewskiej, w rowie melioracyjnym zasilającym rzeczkę Sołokiję znaleziono śnięte ryby. Woda śmierdziała gnojowicą. Sprawców nie ustalono. W czerwcu 2011 r. doszło do zatrucia wody w rzece Muchawka w okolicach Siedlec. Również tu znad brunatnej wody unosił się fetor gnojowicy. Pojawiły się śnięte ryby. W maju 2020 r. mieszkańcy Białej Podlaskiej odkryli śnięte ryby w Krznie. Na odcinku pomiędzy Międzyrzecem Podlaskim a Białą Podlaską stwierdzono niski poziom tlenu. Podejrzewano, że po obfitych opadach mógł nastąpić spływ różnych zanieczyszczeń kanalizacją deszczową lub z okolicznych pól. Dwa miesiące później przypuszczano, że źródłem zatrucia Baryczy były sterty obornika, mógł on spłynąć z pól z wodami opadowymi. 19 sierpnia br. lokalne media, Państwowy Powiatowy Inspektorat Sanitarny w Białymstoku oraz Urząd Miejski w Supraślu ostrzegły mieszkańców o możliwym zanieczyszczeniu wody w przydomowych studniach oraz o zakazie kąpieli w rzece Supraśl. Powód – zwiększony poziom zanieczyszczenia wody paciorkowcem kałowym Enterococcus faecalis. Bakteria ta może powodować groźne

eprasa.pl f8afa2b15b

zakażenia. Czyli do rzeki dostały się albo gnojowica, albo fekalia.

Kolejny truciciel to przemysł. Utylizacja odpadów, zwłaszcza groźnych związków chemicznych, kosztuje. Jeśli więc można bezkarnie spuścić je do rzeki lub jeziora, tak się robi. Ryzyko poniesienia odpowiedzialności nie jest wielkie.

Pod koniec kwietnia 2014 r. w okolicach Błonia zatruta chemikaliami została Utrata. Sprawą musiała się zająć jednostka ratownictwa chemicznego z Warszawy. Nie wiadomo, kto to był trucicielem.

W marcu 2016 r. w Poznaniu po raz kolejny została zatruta rzeczka Cybina. Interweniowała straż pożarna. Sprawców nie znaleziono.

W maju 2018 r. na odcinku kilkunastu kilometrów rzeki Dzierzgoń w powiecie sztumskim wyginęły wszystkie ryby. Jak ustalono, do wody dostały się substancje toksyczne. Mogły to być środki chemiczne z oprysków lub ścieki socjalno-bytowe.

Na początku września 2019 r. w Nysie, w pobliżu rzeki Nysa Kłodzka, ktoś ustawił przy studzienkach kanalizacji burzowej dwa duże zbiorniki z zużytym olejem silnikowym. Olej wyciekł do rzeki. Właściciel terenu, na którym znalazły się zbiorniki, stwierdził, że nie należą one do niego.

W styczniu 2020 r. zatruta została rzeczka Szabasówka w gminie Orońsko. W wodzie stwierdzono obecność kwasu siarkowego. Na liście podejrzanych znalazły się działające w okolicy dwa zakłady przemysłowe. Jak potem się okazało, nie był to pierwszy taki przypadek.

Podobnych przykładów z ostatnich lat są setki. Mimo grożących kar nie brakuje osób gotowych ryzykować. Często w imię niewielkiego zysku.

Co robić?

Rozwiązaniem byłby skuteczny monitoring potencjalnych trucicieli. To kosztuje, lecz bez niego będziemy skazani na kolejne katastrofy ekologiczne. To tylko kwestia czasu.

Bardziej złożona jest sprawa korzystania z nawozów sztucznych i środków ochrony roślin. Nowoczesne rolnictwo nie może bez nich się obejść, a plany ograniczenia ich użycia wywołują gwałtowne protesty rolników, jak ostatnio miało to miejsce w Holandii. W Polsce może się okazać, że w przyszłym roku spadnie ich zużycie ze względu na zbyt wysoką cenę, spowodowaną wojną w Ukrainie.

Powinniśmy oczekiwać od polityków, że poważnie zajmą się stanem rzek i jezior. Jeśli nie chcemy, by w przyszłości litr czystej wody kosztował tyle, ile butelka koniaku, już dziś powinniśmy się domagać skutecznej ochrony wód śródlądowych i dbania o ich czystość.

Na szeroką skalę powinny być stosowane preparaty biologiczne, które jako naturalne nie szkodzą środowisku i działają. Są w Polsce naukowcy i firmy, wykorzystujący w praktyce mikroorganizmy do oczyszczania rzek i zbiorników wodnych. Są też tacy, którzy sięgają po środki chemiczne, które co prawda działają szybko, lecz efekty uboczne nie zachęcają do ich stosowania.

Będą potrzebne pieniądze. Już wiadomo, że plany Unii Europejskiej związane z ograniczeniem emisji gazów cieplarnianych do atmosfery wzięły w łeb. Z powodu wojny w Ukrainie cena gazu ziemnego na naszym kontynencie pobiła wszelkie rekordy. Tej zimy, oby była jak najłagodniejsza, rolnicy i mieszkańcy małych miejscowości będą palili w piecach nie tylko węglem, ale również starymi meblami, trocinami nasączonymi olejem silnikowym, plastikowymi butelkami, zużytymi oponami itp. Nie dlatego, że nie szanują środowiska, lecz dlatego, że są biedni. Rządowe dopłaty tego nie zmienią.

Ale to dobry czas, by zająć się stanem wód. Problem jest taki, że powinny tym się zająć Wody Polskie, które dotychczas zajmowały się głównie sobą. I nie mają dostatecznie kompetentnych ludzi. Kolejne rządy Prawa i Sprawiedliwości pozbawiły samorządowców prawa troszczenia się o rzeki i jeziora, więc odpowiedzialność za to, co się dzieje i dziać będzie, spada na polityków tej formacji. Tylko że oni tym się nie przejmują, czego najdobitniej dowiodły ich poczynania w związku z katastrofą ekologiczną na Odrze.

Marek Czarkowski

Wody Polskie udzieliły 429 pozwoleń na wpuszczenie ścieków do Odry i jej dopływów.

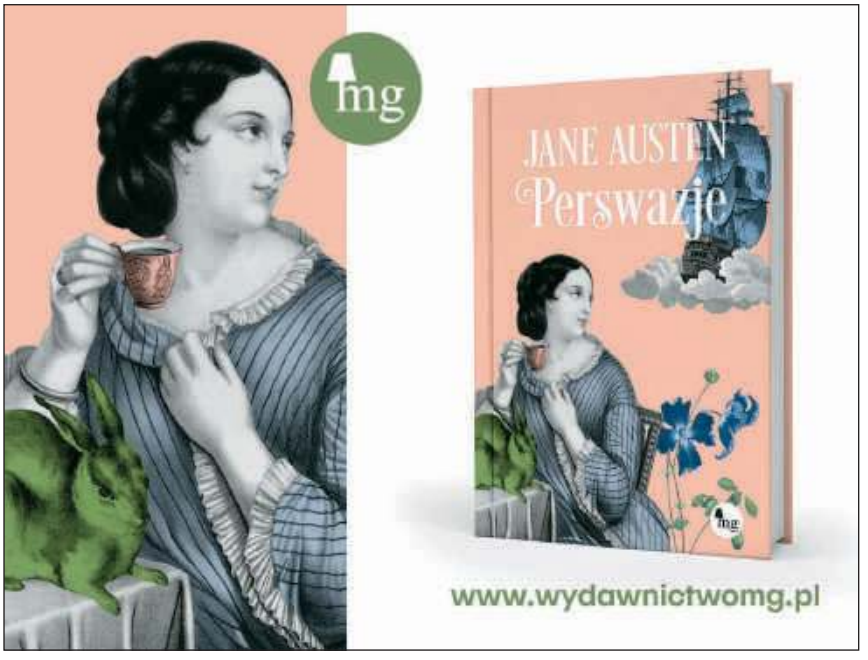

eprasa.pl f8afa2b15b

Przemysław Staciwa

Golden Tower Piotra Misztala będzie miał 23 kondygnacje i wysokość 72 m.

Bardzo blisko Golden Tower ma powstać Piotrkowska Point. Także budynek 23-kondygnacyjny i 72-metrowy.

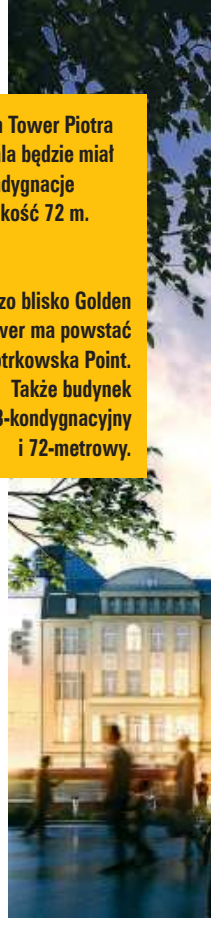

Wojna o wieżowce

Centrum Łodzi nie ma szczęścia do spójnej architektury

Przy alei Piłsudskiego w jednym miejscu słynna już „stajnia jednorożców", obok pamiętający minioną epokę dom handlowy Central, betonowa Trasa W-Z, szare budynki, trochę nowych inwestycji i kamienic. Pojawiła się szansa, by te przestrzenie uzupełniły wielofunkcyjne wieżowce – Golden Tower, którego budowa już trwa, i planowany Piotrkowska Point. Pierwszy projekt zapełniłby wreszcie pustą, a przecież jedną z najbardziej prestiżowych działek w mieście, drugi zrewitalizował przestrzeń równie okazałą. Tymczasem w Łodzi dało to początek nowemu konfliktowi – wojnie wieżowcowej.

Sławojki w centrum miasta

Cała sprawa zaczęła się w lutym 2019 r. Wtedy to kontrowersyjny biznesmen Piotr Misztal, mający za sobą polityczny flirt z Samoobroną Andrzeja Leppera oraz lubiący niekonwencjonalne sposoby promowania własnej osoby, kupił za 3 mln zł działkę u zbiegu Mickiewicza i Piotrkowskiej. Najpierw chciał na niej wybudować hotel, ale zgody nie udzielił konserwator zabytków. Wtedy wpadł na pomysł postawienia 110-metrowego wieżowca, tzw. Dubaju. Na to jednak nie pozwalają plany zagospodarowania przestrzennego. Wówczas, zniecierpliwiony i rozgoryczony obrotem sprawy, w geście protestu ustawił na swoim terenie drewniane sławojki i dyby. Zapoczątkowało to konflikt Misztala z radą miejską. – Jeszcze niczego nie zdążyłem zrobić, na spokojnie zaproponować, a oni od razu przeszli do ataku i blokowania moich pomysłów. W ten sposób w tym mieście nic się nie zmieni na lepsze – oburzał się.

Na nic się zdały działania wojewódzkiego konserwatora zabytków, który po wniosku pełnomocnika prezydent Łodzi nakazał Misztalowi niezwłoczne przywrócenie do poprzedniego stanu i uporządkowanie terenu. Sprawą dybów i wychodków zainteresowało się nawet Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Odrzuciło ono odwołanie biznesmena od decyzji konserwatora, więc ten w kontrze zaskarżył decyzję ministerstwa do Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego w Warszawie. Równocześnie konserwator wszczął kontrolę i ponownie wezwał Misztala do uporządkowania terenu. Ponadto biznesmen nie przyjął policyjnego mandatu. – Mam zamiar zrobić na tej działce złomowisko – mówił później. – Postawię tu zardzewiałe wraki i koparki, takie szmelce, ludzie chcą mi je dać.

Golden Tower, czyli łódzka wieża Eiffla

Gdy wydawało się, że sytuacja stała się patowa, a konflikt nierozwiązywalny, wiceprezydentowi Adamowi Pustelnikowi udało się namówić Misztala do usunięcia szpecącej miasto drewnianej ekspozycji. Ta rzeczywiście zniknęła, a przedsiębiorca chwalił urzędnika za biznesowe podejście: – Wreszcie ktoś chciał ze mną normalnie rozmawiać.

Ostatecznie uzgodniono, że na mocy lex deweloper na sławnej działce będzie mógł powstać 72-metrowy wieżowiec. Misztal wraz z partnerem Andrzejem Jankowskim ogłosił narodziny Golden Tower. Symboliczne wbicie łopaty nastąpiło 22 kwietnia tego roku na dużej imprezie, w obecności prezydent Łodzi Hanny Zdanowskiej, która mimo wcześniejszych perypetii gratulowała inwestorom, życząc ich przedsięwzięciu powodzenia. Chociaż pora była wczesna, stoły uginały się od

eprasa.pl f8afa2b15b

wina i innych alkoholi oraz dań obiadowych. Z tortu i butelek szampana uśmiechały się do zebranych twarze obu panów. Przy kilku stolikach przygotowano imienne zaproszenia dla gości, oficjeli i mediów. Wydarzenie prowadził współzałożyciel Ich Troje, Michał Wiśniewski. – Jestem łodzianinem i strasznie się cieszę, że mogę być w swojej ukochanej Łodzi z ludźmi, którzy zmieniają jej oblicze – deklarował.

Obok piosenkarza na imprezie zjawili się m.in. lider Agrounii Michał Kołodziejczak, członek Trubadurów Marian Lichtman oraz przyjaciel Misztala detektyw Krzysztof Rutkowski. Ten ostatni zdecydował się na zakup mieszkania w Golden Tower. – Kupiłem małe mieszkanko, tak prestiżowo, bo własne potrzeby mieszkaniowe mam zapewnione. Poza domem w Łodzi kilkadziesiąt metrów stąd, na Piotrkowskiej, mam duży apartament, no i nieruchomości w Grecji – zdradził, udzielając wywiadu na tle swojego okazałego dżipa i w towarzystwie pracowników w kominiarkach.

Przemawiający na bankiecie Andrzej Jankowski zaznaczył, że tak jak Nowy Jork ma Statuę Wolności, a Paryż wieżę Eiffla, tak i Łódź wreszcie się doczeka swojej wizytówki. – Powstanie tu budynek, który, mam nadzieję, a wręcz przekonanie, zacznie spełniać rolę symbolu na wielu poziomach. Stanie się symbolem innowacyjności i nowoczesności, najwyższego poziomu komfortu oraz luksusu – przekonywał.

Z kolei Misztal zdradził, jak doszło do zakupu działki. – Byłem na wielkim kacu. Poszedłem na przetarg kupić inną działkę. W ogóle nie byłem przygotowany. Dobrze, że wziąłem ze sobą adwokata, który podnosił za mnie rękę. Przy kwocie 1,7 mln zostało nas dwóch. Kolega okazał się warszawiakiem, a że jestem łodzianinem, to nie było szansy, żebym odpuścił. Przebijaliśmy po 50 tys., trwało to chyba z 40 minut, a mnie paliło. Wreszcie mówię do adwokata: „Przebijaj po 300 tys., bo zostaniemy tu na zawsze". On to zrobił przy 2,7 mln. Warszawiak wstał i powiedział: „Dziękuję, ja odpuszczam". Takim sposobem zostałem właścicielem działki.

Potem Misztal i Jankowski wbili w ziemię pozłacane łopaty.

O jeden wieżowiec za daleko

Golden Tower będzie miał 23 kondygnacje i wysokość 72 m. Inwestorzy chcą, by poza luksusowymi mieszkaniami w jego murach znalazło się miejsce na ekskluzywne sklepy i butiki, restaurację oraz SPA. Inwestycja miałaby według szacunków pochłonąć 120-150 mln zł. Prace ruszyły, teren zamienił się w plac budowy, nie ma śladu po wychodkach, są za to koparki i sprzęt budowlany. Z projektu cieszył się przewodniczący Rady Miejskiej w Łodzi, Marcin Gołaszewski: – Jeżeli uda się zrealizować inwestycję w tej formie, w jakiej jest w projekcie, może ona mieć przełomowe znaczenie dla miasta. Sama zabudowa jest na tyle oryginalna, że będzie czymś unikatowym w skali nie tylko Łodzi, ale i świata.

Kłopoty pojawiły się niedawno i poszło właśnie o oryginalność i unikatowość. Do mediów dotarła informacja, że bardzo blisko budowanego Golden Tower, w południowo-wschodnim narożniku Trasy W-Z i ulicy Piotrkowskiej, ma powstać Piotrkowska Point. To wieżowiec, którego inwestorem jest firma deweloperska OPG Property Professionals. Będzie to budynek, podobnie jak inwestycja Misztala i Jankowskiego, z 23 kondygnacjami, 72-metrowy. Obie wizualizacje zakładają projekt ułożonych na jeden na drugim, malejących segmentów o zaokrąglonych narożnikach i wysokościach nawiązujących do sąsiednich budynków. Za projekt obu wieżowców odpowiada pracownia architektoniczna Design Lab Group. W mediach padło określenie „bliźniacze wieże".

Za projekt obu wieżowców odpowiada ta sama pracownia architektoniczna. W mediach padło określenie „bliźniacze wieże".

Piotr Misztal wpadł we wściekłość, której nie krył w rozmowie: – To jest totalne chamstwo i brak etyki zawodowej. Do mnie ludzie piszą „Zniszcz tego sk…". Płacę mu (Design Lab Group – przyp. red.) grube miliony, a on na łatwiznę idzie i projektuje drugiemu takie samo, bo mu łatwo. Nie, nie będzie tak łatwo. Ja im gwarantuję. Ani przez radę miasta, ani przez konserwatora, ani przez sąd. Nie wyjdzie to z ziemi długo. Ja im to gwarantuję!

Biznesmen na tym nie poprzestał i zwrócił się do szefa OPG Property Professionals, Michała Stysia: – Jeśli pan Styś ma trochę honoru, szybko z tego projektu się wycofa. W przeciwnym razie spotkamy się w sądzie.

Michała Stysia zastałem na urlopie. Pomimo wiedzy o wzburzeniu Misztala ze spokojem przedstawił swój punkt widzenia: – Przede wszystkim kwestia ewentualnego podobieństwa obu projektów i praw autorskich powinna być kierowana do biura architektonicznego. Z drugiej strony myślę, że to ma po prostu swój styl, który w wielu przypadkach może być kontynuowany.

FOT. DESIGN LAB GROUP (2)

eprasa.pl f8afa2b15b

Ponadto w moim odczuciu obie wieże, jeśli powstaną, mogłyby w ciekawy sposób ze sobą korespondować. Tworzyłyby taką bramę miasta od alei Piłsudskiego. Budynki co do przeznaczenia i funkcji też będą inne. Pan Misztal buduje mieszkania własnościowe, my chcemy swoje mieszkania wynajmować, więc plasujemy się w odmiennym segmencie rynku.

Różnice w obu projektach, wynikające m.in. z odmiennej specyfiki budynków, wskazywał w wywiadzie dla łódzkiej „Gazety Wyborczej" Maciej Taczalski z pracowni architektonicznej Design Lab Group: „Oczywiście, co widać na pierwszy rzut oka, wieżowce różnią się fasadą, ale też ich ułożenie względem siebie nie jest symetryczne. O ile w przypadku Golden Tower tąpnięcia czy też uskoki pomiędzy zmniejszającymi się segmentami mamy od strony zachodniej, o tyle w przypadku Piotrkowska Point środkowy uskok występuje już tylko od strony południowej. Zastosowaliśmy ten zabieg celowo, właśnie po to, żeby wieżowce nie wydawały się identyczne. Jeszcze więcej różnic jest jednak w środku, co wynika z charakteru obu inwestycji i profilu klienta docelowego".

Chlew zamiast wieżowca?

Tymczasem Piotr Misztal zapowiedział, że jeśli radni, konserwator lub sąd nie uniemożliwią realizacji projektu Piotrkowska Point w takiej formie jak obecna, on sam zrezygnuje z inwestycji: – Jeżeli rada albo ktokolwiek inny to klepnie, to ja zatrzymuję moją budowę. I puszczam tam koryta ze świniami. Będą świnie, na bokach świń pojawią się nazwiska tych osób, które zdecydowały się na puszczenie drugiego takiego samego wieżowca!

Takim obrotem sprawy zaskoczony i zaniepokojony jest przewodniczący rady miejskiej Marcin Gołaszewski: – Urząd Miasta Łodzi i radni obdarzyli pana inwestora dużym zaufaniem, powierzając mu inwestycję w ramach procedury lex deweloper. Nie wyobrażam sobie teraz sytuacji, że Piotr Misztal nie realizuje swojego projektu.

Gołaszewski podczas głosowania nad przyznaniem takiego statusu inwestycji Misztala był za. Z kolei jego klubowy kolega i bliski współpracownik, radny Damian Raczkowski, głosował przeciw i dziś jest z tej decyzji zadowolony. – Szczerze mówiąc, pamiętam, jak pan Misztal do mnie się zwracał, gdy apelowałem, by ogarnął cały ten chlew, który miał na działce. Wtedy odpowiedział, że ja u niego pracy na pewno bym nie znalazł. Jego słowa na temat plagiatu nie mają żadnego znaczenia. Mamy wolny rynek, każdy w ramach prawa może budować, co chce. Inwestor dostał pozwolenie na budowę Golden Tower głosami moich kolegów… – wspomina.

Misztal i Jankowski po uzyskaniu zgody mają trzy lata na dokończenie swojej inwestycji. Głosowanie nad projektem Piotrkowska Point i przyznaniem mu statusu w ramach lex deweloper odbędzie się w łódzkiej radzie miejskiej po wakacjach.

Przemysław Staciwa

SPOTKANIA AUTORSKIE Yakova Shechtera

WARSZAWA

31 sierpnia 2022 r., godz. 14.00
w Stowarzyszeniu Polska-Wschód, ul. Marszałkowska 115 (wejście od ul. Przechodniej), sala 303
31 sierpnia 2022 r., godz. 17.00
w kawiarni CZYTELNIK, ul. Wiejska 12 A

LUBLIN

1 września 2022 r., godz. 17.00
w Galerii Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej, ul. Narutowicza 4

KRAKÓW

2 września 2022 r., godz. 16.00
w klubie KAZIMIERZ, ul. Krakowska 13

KARPACZ

6-8 września 2022 r. podczas XXXI Forum Ekonomicznego

Kolejne spotkania odbędą się we **Wrocławiu** i w **Nowym Sączu**

eprasa.pl f8afa2b15b

Z Galicji

Jan Widacki

Język giętki

Nie ulega wątpliwości, że nie tylko treść wystąpień, ale i język prezydenta Dudy będzie kiedyś przedmiotem badań. Podobnie jak jego mimika i pantomimika. W dzisiejszym świecie wszystko, co publicznie powie głowa państwa, zostaje utrwalone. Utrwalony jest i obraz, i dźwięk. Prezydent musi zatem się kontrolować, bo nie same jego słowa, ale czasem także gesty i miny mogą pociągać za sobą rozliczne konsekwencje polityczne, nieraz nie mniejsze niż treść wypowiedzi. Ale musi też się kontrolować, dbając o własny wizerunek. Musi być świadom, że jego wystąpienia są publiczne w dosłownym znaczeniu. Mógł pleść androny, opowiadać głupie, rasistowskie dowcipy adiunkt Duda, choć lepiej, gdyby nie robił tego przy studentach. Mógł przed nimi się prężyć, robić srogie miny, dodając sobie – przynajmniej w swoim mniemaniu – powagi. Byleby nie mówił bzdur na temat prawa administracyjnego, bo zgodnie z umową o pracę z Uniwersytetem Jagiellońskim akurat tego przedmiotu miał nauczać w ramach ćwiczeń ze studentami. Miny mógł sobie robić dowolne, najwyżej studenci się z niego pośmiali.

Mógł młody Andrzejek pleść głupoty przy okazji spotkań rodzinnych i opowiadać dowcipy na swoim poziomie, najwyżej część rodziny z nich się nie śmiała. Wiadomo, rodziny się nie wybiera.

Problem w tym, że pewnego dnia, z kaprysu Jarosława Kaczyńskiego, adiunkt Duda został kandydatem PiS na prezydenta. Nikt mu początkowo nie wróżył sukcesu, zdaje się, że z Jarosławem Kaczyńskim włącznie. Jednak splot nieprzewidzianych przez najtęższe głowy zdarzeń (które przez lata jeszcze będą analizować politolodzy) sprawił, że adiunkt Duda został prezydentem.

Zaskoczyło to chyba nawet jego samego. Ciągle, zdaje się, nie mógł uwierzyć, że to nie sen, że to naprawdę on został prezydentem. Dlatego ciągle sam się o tym upewniał i przekonywał sam siebie, że to się stało naprawdę, i przypominał to wszystkim, którzy z takim wynikiem wyborów nie mogli się pogodzić, że on naprawdę jest prezydentem. To dlatego w każdym wystąpieniu publicznym co parę zdań wtykał: „Ja! – jako Prezydent Rzeczypospolitej". A zdanie to wspierał miną heroiczną w zamiarze, która jednym kojarzyła się z miną Mussoliniego, drugim z miną Romana Kłosowskiego – Maliniaka z popularnego niegdyś serialu „Czterdziestolatek".

Mniejsza jednak o miny i gesty. Przynajmniej często wbrew intencjom były po prostu śmieszne. Gorzej z treścią. Wśród wypowiedzianych „złotych myśli" prezydenta Dudy sporo jest obraźliwych dla znacznej części Polaków. Przeciwnikom PiS (a jest ich w Polsce co najmniej 60%) dedykował prezydent Duda słowa o „ojczyźnie dojnej". Szkoda, że nie zauważył, jak doją ojczyznę ludzie jego obozu politycznego.

Takich obraźliwych dla całych grup społecznych wypowiedzi miał pan prezydent wiele. Może ktoś je kiedyś zbierze w specjalną antologię. Jego publicznie opowiedziany dowcip o Afrykańczykach ludożercach, absolwentach AGH, ujawnił nie tylko osobliwe poczucie humoru, ale także niepasujący do XXI w. rasizm. Dobrze, że pan prezydent nie opowiedział tego dowcipu po angielsku, bo obraziłby wiele milionów ludzi za jednym zamachem, a Polsce przyniósł wstyd na świecie. Na szczęście pan prezydent albo nie mówi po angielsku, albo mówi tak, że rozmówcy nie mogą go zrozumieć, w sumie może i lepiej.

Ostatnio przeszedł pan prezydent samego siebie. Przy okazji Dnia Wojska Polskiego wygłosił kolejną patetyczną mowę, przerywaną robieniem heroicznych min, jak widać, uznał, że to bardzo właściwe na taką okazję. Ale w mowie tej „zdrajcami i durniami" nazwał tych wszystkich szlachetnych ludzi, którzy zaangażowali się w pomoc nieludzko traktowanym na białoruskiej granicy uchodźcom i którzy krytykują sprzeczne z prawem międzynarodowym i zasadami humanitaryzmu czy najzwyklejszym współczuciem działania organów państwa wobec tej grupy uchodźców. Będzie jeszcze pan prezydent wstydził się tych słów i sądzę, że nieraz będą mu one przypominane.

Wśród „złotych myśli" prezydenta Dudy sporo jest obraźliwych dla znacznej części Polaków. Pan prezydent najpierw mówi, potem ewentualnie myśli. Ale i to ostatnie nie jest pewne.

Pan prezydent lubi, aby jego język „czasem był jak piorun jasny, prędki", tak jak marzył o tym Słowacki. Tyle że u Słowackiego problem polegał na tym, aby „język powiedział wszystko, co pomyśli głowa". Bo „głowa" myślała więcej, niż potrafił wyrazić język.

U pana prezydenta problem jest dokładnie odwrotny. Najpierw mówi, potem ewentualnie myśli. Ale i to ostatnie nie jest pewne. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl f8afa2b15b

Śmiertelna niedyskrecja

Internet i sieci komórkowe są źródłem niezwykle cennych informacji dla wywiadu wojskowego

Marcin Ogdowski

24 marca br. dowódca okupacyjnego garnizonu w Berdiańsku przecierał oczy ze zdumienia. W normalnych okolicznościach z położonej na wzniesieniu komendantury rozpościerał się doskonały widok na port. Tego ranka nadbrzeżne instalacje spowiły potężne kłęby dymu, co rusz rozlegał się huk eksplodującej amunicji. Chwilę wcześniej wyleciał w powietrze duży okręt desantowy Floty Czarnomorskiej, a dwie inne jednostki, notabene zbudowane w Polsce „ropuchy", właśnie salwowały się ucieczką. Do dziś nie ma jasności, czego konkretnie użyli Ukraińcy – czy był to atak dywersantów, czy uderzenie precyzyjnymi pociskami (rakietami Neptun, które kilka tygodni później posłały na dno flagowy krążownik „Moskwa"). Pewne jest, że w dniu poprzedzającym spektakularny pożar w jednej z rosyjskich telewizji nadano krótki materiał z Berdiańska. Autor przechadzał się po placu składowym i z przejęciem opowiadał o masie wojskowego sprzętu, który na pokładach wspomnianych okrętów przypłynął właśnie z Krymu. Równie dobrze mógłby podświetlić zacumowane jednostki znacznikiem laserowym, używanym przy naprowadzaniu „inteligentnych" bomb…

Ta wpadka niczego Rosjan nie nauczyła. 2S4 Tulipan to 240-milimetrowy moździerz, niemający odpowiednika w zachodnich armiach. Zainstalowany na gąsienicowym podwoziu cechuje się, poza wielką siłą rażenia, wysoką mobilnością. Niezwykle niebezpieczna broń, gdyby używać jej zgodnie z przeznaczeniem i… z dala od mediów. Pod koniec maja br. jeden z moździerzy trafił na front na przemysłowych przedmieściach miasta Rubiżne w obwodzie ługańskim. Aleksander Kots – reporter „Komsomolskiej Prawdy" i bloger – umieścił na swoim kanale na Telegramie filmik ilustrujący pracę artylerzystów. Materiał poszedł na żywca, bez obróbki wizualnej. Efekt? Niespełna dobę później tulipan – wciąż na tej samej pozycji – został trafiony bombą z drona, a ukraińskie dowództwo zwróciło się do autora reportażu na jednym z oficjalnych profili. „Dzięki za cynk!", napisano, załączając wideo z zarejestrowanym atakiem na moździerz.

W połowie sierpnia br. dotkliwe straty poniosła tzw. Grupa Wagnera, firma najemnicza działająca w Ukrainie na zlecenie Kremla. W pojedynczym ataku ukraińskiej artylerii zginęła setka najemników, przez wiele godzin wydawało się, że był wśród nich założyciel przedsiębiorstwa Jewgienij Prigożyn, bliski współpracownik prezydenta Rosji. „Kucharz Putina" jednak przeżył, ale to jego zdjęcie w towarzystwie współpracowników – umieszczone na propagandowym kanale Grey Zone na Telegramie – posłużyło Ukraińcom do identyfikacji miejsca skoszarowania wagnerowców. Resztę roboty wykonała wyrzutnia HIMARS, rażąc precyzyjnie zamieszkany do niedawna przez cywilów blok w okupowanej Popasnej.

Zdjęcie szefa Grupy Wagnera, umieszczone na propagandowym kanale Grey Zone na Telegramie, posłużyło Ukraińcom do identyfikacji miejsca skoszarowania wagnerowców.

Pokora i zrozumienie

Nie zamierzam bynajmniej zostawić czytelnika z przekonaniem, że błędy tego typu są charakterystyczne dla konkretnych nacji. Kilkanaście lat temu opublikowałem fotografię spadochroniarzy z 6. Brygady Desantowo-Szturmowej, wykonaną podczas patrolu w Afganistanie. Żołnierze nie mieli na głowach hełmów, co podczas robienia zdjęcia nie wydawało mi się niczym nadzwyczajnym (sam unikałem kłopotliwego „garnka"). Gdy tekst ukazał się na prowadzonym przeze mnie blogu, pod „moim" kampem ustawiła się kolejka „petentów". Okazało się, że popełniłem faux pas, potencjalnie szkodliwe. „Jeśli zginę, ubezpieczyciel będzie miał dowód, że nie zawsze postępowałem zgodnie z zasadami BHP. A każdy pretekst do odmowy wypłaty odszkodowania jest dobry", wyjaśnił mi jeden z wojskowych. Jakiś czas później poproszono mnie, bym nie informował internautów na bieżąco, gdzie przebywam. W oczach opinii publicznej śmierć żołnierzy nie była już wówczas niczym wyjątkowym, ale zabicie dziennikarza zapewne odbiłoby się echem – na czym bardzo zależało talibom. „Ruch oporu ma wyspecjalizowane komórki białego wywiadu, czytają też ciebie", przekonywał mundurowy ze służb. Troszczył się o swoich, którym towarzyszyłem, a którzy mogliby zginąć przy próbie zabicia reportera. Podczas patrolu przestrzeganie tej zasady nie było trudne – niewidzialny parasol zakłóceń, uniemożliwiający zdalne odpalanie min pułapek,

eprasa.pl f8afa2b15b

Po tym reportażu z portu w Bedriańsku Ukraińcy wiedzieli, gdzie zaatakować okręty Floty Czarnomorskiej.

pozbawiał łącza i mój telefon. Ale z dala od wozów i w bazach pojawiała się pokusa bycia online. Skłamałbym, deklarując, że pokora i zrozumienie dla wymogów wojska przyszły automatycznie.

„Pierwszego polskiego Kraba widzę dobre 300 km przed Donbasem. To chyba dobra wróżba", zatweetował w połowie lipca br. reporter Onetu Marcin Wyrwał. Ów krótki wpis wywołał burzę, łącznie z sugestiami szpiegostwa na rzecz Rosji, w czym celowali medialni funkcjonariusze „dobrej zmiany". Lecz niesprawiedliwe oskarżenia nie zmieniają faktu, że dziennikarz popełnił błąd. Na zdjęciu widać sporo szczegółów ułatwiających lokalizację. Co więcej, przedstawia ono jedną z podarowanych Ukrainie armatohaubic na lawecie, unieważniając późniejszy argument reportera, że fotografię osadził w sieci parę dni po wykonaniu. Kilkudziesięciotonowy zestaw ma mobilność ograniczoną przez nośność mostów; informacja, że sprzęt jedzie na front szosą, a nie koleją (na wschodzie eszelon to nadal domyślny sposób przerzutu wojska i uzbrojenia), pozwala wytypować możliwe drogi. Potem wystarczy się przyczaić... Rosjanom nie powiodły się polowania na kraby ani na froncie, ani na tyłach, co świadczy o słabości ich lotnictwa i niemożności penetracji zaplecza nieprzyjaciela przy użyciu grup dywersyjnych. Ale to może się zmienić.

Źródło i narzędzie

Od zawsze jednym z elementów decydujących o zwycięstwie w wojnie był dostęp do informacji. Wygrywała zwykle ta strona, która więcej wiedziała o przeciwniku – jego planach, uzbrojeniu, miejscach dyslokacji wojsk. Dziś – mimo że większość takich informacji jest niejawna i ma charakter wiedzy rozproszonej – nie trzeba siedzieć w głowach wrogich dowódców czy cieszyć się dostępem do supertajnych baz. Mnóstwo użytecznych danych pozostaje na wyciągnięcie ręki za sprawą sieci komórkowych i internetu, będących zarazem źródłem wiedzy i narzędziem jej pozyskiwania. Zajmują się tym komórki OSINT (ang. Open-Source Intelligence, rozpoznanie na podstawie ogólnodostępnych źródeł), działające jako formalne struktury sił zbrojnych, a także detektywi amatorzy, często skupiający wokół siebie szerokie sieci współpracowników. Pojedyncze zdjęcie wykonane do zilustrowania jakiegoś zdarzenia najczęściej zawiera dodatkowy pakiet danych. Elementy zabudowy mieszkalnej, w tym uchwycone wnętrza domów, miejska infrastruktura – od znaków drogowych po wielkie konstrukcje, np. mosty – obiekty przyrodnicze, budowle symboliczne i wiele innych szczegółów pozwalają zidentyfikować miejsce i czas wykonania fotografii. W geolokalizacji pomocne okazują się kąty padania światła czy charakter chmur. Przy dostępie do baz danych meteo – gdzie odnotowuje się zachmurzenie dla danych regionów – niewinne tło w postaci obłoków na niebie może zadecydować o trafności wskazania.

Oczywiście bez odpowiednich mocy obliczeniowych i właściwej przepustowości łącza zawiodą najlepsze algorytmy zaprojektowane do szukania podobieństw w zbiorach obrazów. Wymogi sprzętowe i techniczne (oraz dostęp do zasobów różnych instytucji) premiują więc legalnych osintowców, ale ci nieformalni czerpią ze społecznościowego charakteru swoich przedsięwzięć. Justin Peden, Amerykanin posługujący się nickiem Intel Crab, weryfikuje przypuszczenia w gronie 255 tys. użytkowników. Większość to Europejczycy, co ma ogromne znaczenie, Peden bowiem śledzi postępy rosyjskich wojsk w Ukrainie. „Tak, to moja okolica!", „To z pewnością punkt X, byłem tam, proszę, mam takie zdjęcia" – reakcje społeczności są niczym rekordy w wyszukiwarce. Parający się białym wywiadem amatorzy i zawodowcy to dwa różne światy, działające z odmiennych pobudek. Gdy pierwszym chodzi o zaspokajanie ciekawości, drudzy ze zdobytych informacji robią użytek

Elementy zabudowy, infrastruktury czy obiekty przyrodnicze znajdujące się na zdjęciu pozwalają ustalić miejsce i czas wykonania fotografii.

FOT. YOUTUBE

eprasa.pl f8afa2b15b

bojowy. Jednym z oblicz wojny w Ukrainie jest inwigilacja środowisk osintowych przez wyspecjalizowane służby i związany z tym transfer wiedzy. Po prawdzie, wielu detektywów amatorów ochoczo na taki układ przystaje, traktując wykorzystywanie ich ustaleń przez ukraińską armię jako wkład w wysiłek wojenny. (Po drugiej stronie działa to tak samo, czego przykładem może być społeczność skupiona wokół kanału Rybar na Telegramie). Na motywacji patriotycznej bazuje również mechanizm stosowany w aplikacji telefonicznej Diia. Jej użytkownicy wysyłają dane na temat obserwowanych przez siebie ruchów rosyjskich wojsk. Z dostępnych informacji wynika, że Dii użyło w tym celu co najmniej 250 tys. osób.

Fotka z wakacji

Sieciowa niedyskrecja, która tworzy obfite łowiska dla speców od OSINT, nie jest oczywiście skutkiem działalności wyłącznie mediów. Przydatne ślady zostawiają – bądź mogą zostawiać – w zasadzie wszyscy przebywający w rejonie konfliktu, podłączeni do globalnego systemu wymiany informacji. 27 lutego br. – trzy dni po rozpoczęciu rosyjskiej inwazji – firma Google wyłączyła na swoich mapach dla Ukrainy warstwę natężenia ruchu drogowego. Stało się to na prośbę ukraińskich władz, które argumentowały, że ogólnodostępne dane o zatorach mogą stanowić dla Rosjan pośrednią informację o ruchach ukraińskiej armii. Kazus już istniał, co więcej, był świeżutki – pochodził z okresu tuż przed atakiem, kiedy światowe media informowały o koncentracji rosyjskich wojsk. Część doniesień oparta była na mapach Google'a, które rejestrowały poważne zatory w Rosji i Białorusi przy granicy z Ukrainą. Występowanie korków wielokrotnie pokrywało się z obserwowanymi na inne sposoby ruchami rosyjskich kolumn pancernych i transportowych – co pozwoliło uznać „czytanie Google'a" za pełnoprawną metodę OSINT. Gwoli wyjaśnienia, Google Maps wykorzystuje do monitorowania natężenia ruchu dane lokalizacyjne smartfonów używanych przez okolicznych kierowców. „Wyłączcie geolokalizację w telefonach", prosiło obywateli ukraińskie MSW. Gdy padły pierwsze strzały, Ukraińcy z zagrożonych rejonów zniszczyli znaki na drogach i budynkach. „Rosjanie zaczynają się orientować na intensywność telekomunikacyjnego ruchu, nie ułatwiajmy im zadania", apelowano. Przy tej okazji wyszło na jaw, że rosyjski system nawigacji satelitarnej Glonass – w założeniu pełnoprawny odpowiednik GPS – jest zbyt dziurawy i niewydolny. Do tego stopnia, że wojska inwazyjnie albo były ślepe, albo ratowały się cywilnymi urządzeniami GPS (co wyjaśnia, dlaczego Rosjanie – mimo posiadania odpowiedniej technologii – nie zagłuszają tego rodzaju sygnałów i nie niszczą nadajników, po prostu są na nie skazani).

Cyfrowy ślad zostawiany przez wojskowych ma też bardziej prozaiczną postać i wynika z codziennych nawyków czasu pokoju. Dmitrij Kartaszow ze 175. Brygady Dowodzenia Południowego Okręgu Wojskowego regularnie aktualizował swój profil na VKontakte – rosyjskim Facebooku. W maju 2015 r. wrzucił do ogólnodostępnego serwisu selfie, nie zadbał jednak o usunięcie metadanych, dodanych przez smartfon, które zdradziły miejsce wykonania fotografii. Przeoczył poza tym specyficzną „drobnostkę" – znajdujące się za jego plecami anteny systemu walki radioelektronicznej Rtuć-BM, będącego na wyposażeniu wyłącznie rosyjskiej armii. W tamtym czasie Kreml stanowczo odżegnywał się od udziału swoich żołnierzy w wojnie w Donbasie. Twierdził, że to konflikt wewnątrzukraiński, z którym Rosja nie ma nic wspólnego. Zdjęcie – jedno z wielu, które wówczas namierzono i spopularyzowano – dowodziło kłamstw Moskwy. Nieznane są dalsze losy Dmitrija Kartaszowa, tak jak nie wiemy, co się stało z rosyjskim turystą, który kilkanaście dni temu postanowił zrobić sobie pamiątkę z wakacji i podzielić się nią z użytkownikami VKontakte. Fotka opalonego sześćdziesięcioparolatka na krymskiej plaży nie byłaby niczym godnym uwagi, gdyby nie tło – zestaw obrony przeciwlotniczej S-400 Triumf. Plaża okazała się miejscem bardzo charakterystycznym, fotografię z cyfrowego morza danych wyłowił ukraiński wywiad. Reszty łatwo się domyślić, co prowadzi do wniosku, że dla świętego spokoju lepiej nie fotografować instalacji wojskowych. O czym mówi się również w Polsce przy okazji każdych większych ćwiczeń, a ostatnio w kontekście licznych transportów uzbrojenia zmierzających naszymi drogami i torami do Ukrainy.

Google Maps wykorzystuje do monitorowania natężenia ruchu dane lokalizacyjne smartfonów używanych przez kierowców.

Co najmniej 250 tys. użytkowników aplikacji Diia wysyłało dane o obserwowanych przez siebie ruchach rosyjskich wojsk.

Marcin Ogdowski
m.ogdowski@tygodnikprzeglad.pl

Mateuszowi Piskorskiemu
z powodu śmierci
Mamy Anny
najszczersze kondolencje
składają przyjaciele
i współpracownicy
z Federacji Uczelni Aglomeracji Warszawskiej

eprasa.pl f8afa2b15b

Refleksje pesymisty

Andrzej Romanowski

O dialogu

Czuję się człowiekiem krakowskiej Kuźnicy i czuję się człowiekiem krakowskiego Znaku. Jak to możliwe? Znak i Kuźnica znajdowały się zawsze na przeciwległych biegunach – czyżbym nie miał poglądów? Gdy jednak 20 lat temu wystąpiłem z redakcji „Tygodnika Powszechnego", gdy schronienia udzieliła mi najpierw „Gazeta Wyborcza", a potem Kuźnica i PRZEGLĄD, nigdy nie przestałem czuć się także człowiekiem Znaku. Bo choć nie chciał kontynuować współpracy ze mną ani „Tygodnik" ks. Adama Bonieckiego i Piotra Mucharskiego, ani „Znak" Jarosława Gowina i Michała Bardela, to już zaprosił mnie na łamy „Znak" Dominiki Kozłowskiej, a z tego zaproszenia skwapliwie skorzystałem. Zresztą cały czas pisałem o ludziach Znaku: Stanisławie Stommie, Jerzym Turowiczu, Tadeuszu Mazowieckim, Józefie Hennelowej, Stefanie Wilkanowiczu, ks. Mieczysławie Malińskim, ks. Stanisławie Musiale... I zazwyczaj z tych artykułów składałem potem kolejne książki. Takie jak „Wielkość i upadek »Tygodnika Powszechnego«".

Dziś pisuję przede wszystkim do PRZEGLĄDU, ale mój związek z „Gazetą Wyborczą", choć niepozbawiony przygód, również trwa. Nigdy w „Gazecie" nie pracowałem, ale zawsze byłem z nią blisko, a jedną z mych książek zadedykowałem Adamowi Michnikowi. Do dziś też moje teksty – te największe rozmiarowo – publikuję w Gazetowym dodatku „Ale Historia". I dopiero co broniłem w PRZEGLĄDZIE „Gazety" przed jej własnym zarządem, a „Gazeta" felieton ten przedrukowała. A zatem może jednak mam jakieś poglądy… A przynajmniej nie zmieniam ich jak rękawiczek. Gdy przed kilkunastu laty odbierałem Kowadło Kuźnicy, powiedziałem, że przyjmuję je „w poczuciu wierności".

Warto łączyć środowiska w naszym skonfliktowanym świecie. Zwykłe poczucie przyzwoitości kazało mi kiedyś stanąć u boku ludzi, których rola w pokojowej transformacji była fundamentalna, a którzy do dziś spotykają się z przemilczaniem, lekceważeniem bądź oszczerstwem. Ale też nie kto inny, tylko lider Znaku, Stanisław Stomma, mówił w udzielonym mi kiedyś wywiadzie, że PZPR „po Październiku" rządziła się polską racją stanu „do granic swych możliwości". W wyborach 2000 r. Stomma oddał głos na Aleksandra Kwaśniewskiego. Do dziś pamiętam jego śmiech, rozłożone ręce i retoryczne wykrzyknienie: „No a na kogóż?!". Oto oblicza polskiej otwartości.

Jeżeli jednak Znak i Kuźnica łączą się w moim życiu, to czy jest coś, co oba te środowiska łączy w sensie ogólnym? Nie bardzo mogę sobie wyobrazić jakieś wspólne przedsięwzięcie doktor filozofii Dominiki Kozłowskiej, prezes Znaku, i doktora historii Pawła Sękowskiego, prezesa Kuźnicy. Choć przecież mieszkają oni w tym samym mieście i są niemal rówieśnikami. Co jednak mieliby sobie do powiedzenia? Tymczasem tego typu spotkania różnych środowisk, zwłaszcza w roku, w którym jeszcze nie zanosi się na wybory, byłyby ważniejsze od wszelkich porozumień polityków. Bo wcześniejsze niż polityczne alianse powinno być zawsze dogadywanie się w sferze idei i w sferze imponderabiliów. Sojusz „ponad podziałami", jednoczący ludzi dobrej woli, powinien stać się podłożem wszelkich późniejszych działań. A właśnie młode i średnie pokolenia mają tu wielką rolę do odegrania – o ileż większą niż moja generacja, tak często tkwiąca w starych koleinach.

Sojusz „ponad podziałami" ludzi dobrej woli powinien stać się podłożem wszelkich późniejszych działań.

Sądzę, że Znak i Kuźnica mogłyby mimo wszystko się dogadać, ale „Myśl Polska"? To niszowe pismo czytam tylko dlatego, że jest mi przysyłane. I przy każdym numerze łapię się za głowę: ci ludzie niczego się nie nauczyli. Nic w nich nie zmieniły ani najazd Rosji na Ukrainę, ani skandale wokół polskiego Kościoła, a to, co u nich nowe, to tylko bezustanna promocja zapiekłego w nienawiści Andrzeja Czechowicza. A jednak! Przeczytałem tu kiedyś takie oto słowa Adama Śmiecha o środowisku Roberta Bąkiewicza: „Współczesna Narodowa Demokracja wyłącznie traci na kojarzeniu jej z radykałami, neonazistami, ze zwolennikami totalitaryzmu nacjonalistycznego, z ludźmi, którzy definiują się poprzez negację i nienawiść".

Rzeczywiście, prawicowa „Myśl Polska" pozostaje od lat w ostrej opozycji wobec Zjednoczonej Prawicy. Jest może nawet gorsza niż PiS, ale jest przeciwko PiS – i to na dziś jest chyba najważniejsze. Czyż bowiem nie jest potrzebny ostrzał PiS z prawej flanki? Na Węgrzech Jobbik Pétera Jakaba zaproszono na wspólne listy opozycji i jeżeli nie zakończyło się to teraz sukcesem, to przecież zawsze „w jedności siła". Antypisowcy całego kraju, łączcie się!

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl f8afa2b15b

August Grabski

POLEMIKA

Lewica i wojna

Strategia lewicy powinna polegać na postulowaniu rozwiązań dyplomatycznych i demilitaryzacji całego regionu

W 33. numerze PRZEGLĄDU ukazał się tekst Pawła Dybicza „Efekt uboczny inwazji Moskwy". Redaktor Dybicz uważa, że wojna na Ukrainie „mimo całego dramatyzmu i nieszczęść jest [dla Polski] **szansą, żeby nie napisać bardziej jednoznacznie: w jej interesie** [wyróżnienie – AG]. Zbrojny, niepotrzebny, pociągający za sobą setki tysięcy ofiar konflikt rosyjsko-ukraiński także nas: państwo, społeczeństwo, wiele kosztuje, ale warto ponosić jego cenę. Bo wojna zwiększa nasze bezpieczeństwo i możliwości gospodarcze na co najmniej dwie dekady".

Nie zgadzam się z tą tezą. Moim zdaniem jest ona pokłosiem myślenia, jakie rozpoczęła w III RP amerykańska interwencja w Iraku w 2001 r. Polscy żołnierze wzięli w niej udział, bo politycy mamili społeczeństwo perspektywą intratnych kontraktów dla polskich firm. Wcześniej w Polsce – po okropieństwach II wojny, w okresie Polski Ludowej – hasło „Nigdy więcej wojny" było czymś bezdyskusyjnym. Od czasu Iraku o wojnie zaczęto myśleć w Polsce w kategoriach… biznesu. I, jak widać, niczego nie zmienia fakt, że śmiercionośne amerykańskie bomby nie przyniosły w Iraku czy w Afganistanie ani pokoju, ani demokracji, ani oczekiwanych korzyści dla Polski. Od początku wojny na Ukrainie znów polska klasa polityczna prześciga się w braku krytycyzmu wobec polityki USA, a nawet chce ją radykalizować. Czy jest to dobre dla Polski?

Słaba armia i nieodpowiedzialna „elita"

Polska armia jest słaba i zacofana. Z komentowanego w polskich mediach na początku tego roku raportu „Przygotowanie państwa polskiego do zwalczania zagrożeń militarnych", którego autorem jest były wysoki urzędnik Ministerstwa Obrony Narodowej, wynika, że polskie wojsko nie jest zdolne do przeprowadzenia „nawet niewielkiej operacji obronnej".

Wydaje się, że w tej sytuacji nie należy dolewać oliwy do ognia wojny na Ukrainie. Jednak w czasie wizyty w Kijowie w marcu br. Jarosław Kaczyński postulował wprowadzenie wojsk NATO na Ukrainę. Powtarzał ten postulat również w kolejnych miesiącach. Nietrudno jednak nie zauważyć, że gdyby wysłać na Ukrainę oddziały NATO, bylibyśmy o krok od wojny Sojuszu z Rosją. Jeśli zaś by do niej doszło, moglibyśmy wszyscy na planecie Ziemia żegnać się z życiem. Szczęśliwie – na co zwracał uwagę prof. Adam Wielomski – już w okresie zimnej wojny powstała niepisana zasada, że mocarstwa dysponujące bronią nuklearną nie walczą w tej samej wojnie i na tym samym terenie, gdyż oznacza to olbrzymie ryzyko przekształcenia się konfliktu konwencjonalnego w jądrowy.

Postulaty polskiego rządu zostały na szczęście zignorowane w NATO. Czy jednak polscy obywatele powinni liczyć na to, że agresywny głos „ich rządu" będzie traktowany jako niepoważny, i w tym upatrywać swojego bezpieczeństwa?

Pozostaje pytanie o sens tak agresywnych wypowiedzi prawicowych polityków. Osobiście wolałbym, by była to cyniczna paplanina obliczona na najmniej światłą część ich elektoratu. Mam nadzieję, że sami nie wierzą w pobrzękiwanie wobec Rosji polską szabelką. Gdyby bowiem wierzyli, świadczyłoby to o zaślepieniu na miarę sanacyjnego reżimu i jego hasła „Silni, zwarci, gotowi". Jeśli politycy wierzą, że Polska może poważnie zaszkodzić Rosji, jest to oczywiście przykład zupełnego braku realizmu geopolitycznego. Sytuacji, nad którą ubolewał Dmowski, twierdzący, że wielu Polaków „bardziej nienawidzi Rosję, niż kocha swój kraj". Dziś zaś ojciec nowoczesnej polskiej prawicy przecierałby oczy ze zdumienia, stwierdzając również, że „Polacy bardziej nienawidzą Rosji, niż szanują głos papieża Franciszka". Odrzucenie głosu Watykanu – skądinąd centrum najbardziej międzynarodowej i najlepiej poinformowanej instytucji na świecie – to prawdziwe novum w naszej najnowszej historii.

23% Polaków opowiada się za pokojem na Ukrainie, nawet za cenę ustępstw terytorialnych. Jaka partia polityczna ich reprezentuje? Na pewno nie Nowa Lewica.

Niepotrzebna histeria

W swoim artykule redaktor Dybicz explicite straszy czytelników agresją Rosji. Jak pisze, „musimy być gotowi na to, że przyjdzie nam (oby nie!) samym stawić czoła Rosji Wielkorusów, podlanej sosem prawosławia w wydaniu Cyryla I". Otóż takie stawianie sprawy – choć dominuje na polskiej prawicy – wydaje mi się czymś zupełnie irracjonalnym. Niekorzystny dla Polski jest też podstawowy wniosek płynący z tej analizy – postulat wzmożonych zbrojeń (wszyscy wiemy, że broń kupilibyśmy głównie w USA).

eprasa.pl f8afa2b15b

Dlaczego moim zdaniem teza o rosyjskim zagrożeniu jest nieuzasadniona? Po pierwsze, natowskie instalacje wojskowe są nad Wisłą od dawna i nie jesteśmy 450 km od Moskwy, jak część terytorium Ukrainy. Po drugie, znacznie poważniejszym arsenałem konwencjonalnej broni niż Rosja dysponuje właśnie NATO. Po trzecie, jak pokazuje sam przebieg wojny, armia rosyjska pod względem swojej liczebności i skuteczności broni konwencjonalnej okazuje się kolosem na glinianych nogach.

Kto na tym traci?

Czy więc Polska coś na obecnej sytuacji zyskuje? Moim zdaniem lepiej byłoby zapytać, kto na niej traci. Na wojennej histerii tracisz właśnie Ty, mój czytelniku. To jedna z typowych sytuacji, o których pisał Julian Tuwim: „Gdy wyjdzie biskup, pastor, rabin / Pobłogosławić twój karabin, / Bo mu sam Pan Bóg szepnął z nieba, / Że za ojczyznę – bić się trzeba". Doniesienia medialne – jakie czołgi i działa kupimy, jak bardzo zwiększy się nasza armia, o ile zwiększą się wydatki na zbrojenia, ile zamknięto nieprawomyślnych portali internetowych, jak bardzo ustawa o obronności zwiększyła możliwości inwigilacji obywateli ze strony państwa PiS itp. – dotyczą właśnie Ciebie, mój czytelniku. W praktyce oznaczają, że nie będzie pieniędzy na onkologiczne leczenie Ciebie lub Twoich bliskich, emerytura, jaką dostaniesz, będzie skandalicznie niska, będziesz musiał zaciskać pasa, zrezygnujesz z wczasów, zabraknie Ci na rachunki za gaz, a te wszystkie drobne niedogodności rząd osłodzi Ci większą liczbą programów patriotycznych, klerykalnych i historycznych w TVP (np. o cudzie nad Wisłą czy prezydencie Lechu Kaczyńskim).

To będą Twoje problemy. Bo przecież nie np. posła Marcina Kulaska, którego rozsławiły w 2019 r. żale, że za 9 tys. zł netto trudno przeżyć w Warszawie. Odrealniony poseł „lewicy" nie zauważył, że miliony Polaków marzyłyby o jego wynagrodzeniu. Dziś tenże poseł – sekretarz generalny Nowej Lewicy i wiceprzewodniczący sejmowej Komisji Obrony Narodowej – co rusz entuzjastycznie komentuje kolejne dostawy broni na Ukrainę.

Zapomniane słowa: dialog i demilitaryzacja

Agresja Rosji na Ukrainę powinna być radykalnie potępiona. Jestem także zwolennikiem maksymalnej pomocy humanitarnej dla uchodźców z Ukrainy oraz pomocy dla tamtejszych ofiar wojny. Nie zmienia to jednak podstawowego obowiązku lewicy (a nawet zwykłego przyzwoitego człowieka) wobec wojny. Wojnę trzeba przede wszystkim jak najszybciej zatrzymać, bo giną na niej zwykli ludzie, w tym dzieci, kobiety, starcy, osoby z niepełnosprawnościami. Wysyłanie na Ukrainę czołgów, armat, samolotów nie zatrzymuje wojny, a generuje nowe ofiary. Oczywiście prawicowi politycy, dziennikarze, generałowie i koncerny zbrojeniowe chcieliby wojny do ostatniego Ukraińca. (A czy ktoś słyszał, by jakiś dziennikarz z Polski lub polityk sam pojechał walczyć na tej wojnie? Każdy z nich chce, by ginęli w niej inni). Ale to nie powinna być optyka lewicy ani przyzwoitego człowieka, który choć trochę lubi Ukraińców. Strategia lewicy powinna polegać na postulowaniu rozwiązań dyplomatycznych i demilitaryzacji całego regionu.

Jakie powinny być warunki pokoju – oczywiście tego nie rozstrzygniemy. To sprawa do przedyskutowania przez suwerenne państwa: Ukrainę i Rosję. Jednak postawmy kilka pytań z tych, które blokuje obecna nacjonalistyczna propaganda PO-PiS. Cóż byłoby więc takiego strasznego w tym, że Ukraina nie weszłaby do NATO? Czy neutralność np. Austrii lub Szwajcarii jest przedmiotem bolączek ich obywateli? Dlaczego Polska miałaby się godzić na rehabilitację UPA, skoro nie chce jej nawet wielu Ukraińców? Co byłoby złego w redukcji potencjału militarnego w całym regionie? Czy to, że mogłyby wzrosnąć nakłady np. na służbę zdrowia? Co negatywnego byłoby w zagwarantowaniu praw języka rosyjskiego na Ukrainie, skoro mówi nim jedna trzecia obywateli tego kraju? Przypomnę, że np. w Finlandii językiem urzędowym jest nie tylko fiński, ale i szwedzki, choć przez stulecia Finlandia pozostawała pod szwedzkim panowaniem. W Szwajcarii językami urzędowymi są trzy języki krajów ościennych. Ktoś powie, że to wzory zbyt piękne jak na Ukrainę. Ale czymże jest lewica bez śmiałych wizji? Bez takich wizji nie byłoby dziś ani ośmiogodzinnego dnia pracy, ani równouprawnienia kobiet, ani praw społeczności LGBT.

W polskim kontekście warto odnotować, że 23% ankietowanych Polaków (badanie CBOS) opowiada się za pokojem na Ukrainie, nawet za cenę ustępstw terytorialnych. Jaka partia polityczna ich reprezentuje? Na pewno nie Nowa Lewica. I oczywiście szkoda, że jak zawsze w sprawach istotnych to ugrupowanie nie potrafi odróżnić się od PO-PiS lub przynajmniej od PO. Czy piędź jakiejś ziemi warta jest ludzkiego życia? Dla państwowej telewizji czy generała – na pewno. Ale dla poborowych, którzy mogą zginąć, i rodzin tych żołnierzy? Wilno, Lwów były kiedyś polskie i dziś nie są. Czy jest to realny problem dla współczesnych?

Powyższe pytania powinny być zupełnie normalne w sytuacji wolności słowa. Nie pozwólmy nacjonalistom wszelkiej maści blokować dyskusji, która dotyczy bezpieczeństwa i standardu życia nas w Polsce i bratniego narodu ukraińskiego. Taka dyskusja jest naszym obowiązkiem, tym bardziej że ukraińska debata publiczna przeżywa w sytuacji wojny dotkliwy kryzys, wzmocniony delegalizacją przez prezydenta Zełenskiego kilkunastu partii politycznych.

■

Na wojennej histerii tracisz właśnie Ty, mój czytelniku. Nie będzie pieniędzy na leczenie onkologiczne, emerytura będzie skandalicznie niska, zabraknie na rachunki za gaz.

eprasa.pl f8afa2b15b

Wszyscy są już populistami

PO i Tusk grają swojaków i przeciętniaków, którzy załamują ręce nad „państwem w ruinie”

Jakub Dymek

Badania fokusowe pracowni zajmujących się nastrojami politycznymi w Polsce pokazują, że rodacy chcą „partii takiej jak PiS, tylko żeby nie była PiS”. Czyli: żeby dawała pieniądze, nie straszyła zaciskaniem pasa, dbała o bezpieczeństwo i pilnowała, aby Polacy dostali to, „co im się należy”. Słowem, by zachować społeczno-gospodarczy stan z ostatnich lat, ale bez konieczności oglądania w telewizji twarzy Glapińskiego, Morawieckiego czy Sasina. Oni bowiem kojarzą się z niekompetencją, stanowią coraz większy powód do zażenowania – i cel kabaretowych żartów. Wyborcy nie zastanawiają się przy tym nad sprzecznością między złą oceną tych polityków a pochwałą ich rządów, poparciem dla rozwiązań socjalnych i uogólnioną chęcią obrony dorobku czasów PiS. Opozycja zaś tę sprzeczność widzi i zaczęła wyciągać z niej wnioski.

Rodacy chcą „partii takiej jak PiS, tylko żeby nie była PiS”.

Te wyniki stoją za zmianą nastawienia i nowymi kostiumami opozycji. Przynoszą także odpowiedź na pytanie, dlaczego Tusk – jak w reklamówce politycznej z końca wiosny – filmuje się na tle gór pieniędzy i wymachuje do kamery zwitkami banknotów. Teraz to opozycja ma się kojarzyć z dawaniem pieniędzy i dobrobytem gospodarstw domowych – trzeba więc pożegnać skojarzenia ze starą Platformą Donalda Tuska, Jacka Rostowskiego, Andrzeja Rzońcy, ekonomistów fundacji FOR i hasłem „pieniędzy nie ma i nie będzie”. Teraz PO i Tusk grają zwykłych ludzi, swojaków i przeciętniaków, którzy – jak każdy normalny Polak – przecierają oczy ze zdziwienia, dowiadując się o milionowych wynagrodzeniach w spółkach skarbu państwa, i załamują ręce nad „państwem w ruinie”.

Czy PiS można pokonać na jego własnym boisku? Doradcy polityczni Tuska, ale też Polski 2050 Hołowni i Nowej Lewicy, doszli do wniosku, że tak. Albo że przynajmniej trzeba spróbować – bo na żadnym innym polu rzeczywistość nie stwarza im okazji. A więc wszystkie partie opozycji wrzuciły właśnie populistyczny bieg.

Tusk jako rzecznik zwykłych Polaków

Pierwsze oznaki nadchodzącego zwrotu było widać wiosną. Doradcy Tuska – skądinąd niegłupio – stwierdzili, że polemika z rządem w sprawie wojny, zbrojeń, stosunku do Ukrainy czy USA to droga donikąd. Tusk nie będzie w sprawie zbrojenia Ukrainy albo ściągania do Polski amerykańskich żołnierzy bardziej wiarygodny niż rząd, który na bieżąco realizuje jedno i drugie. Krytyka posunięć PiS mogłaby zaś – choćby na tle zdjęć Zełenskiego i Dudy obejmujących się w serdecznym uścisku – wypalić liderowi opozycji w twarz. Pomysł był inny: zrobić z Tuska rzecznika spraw zwykłych Polaków dotkniętych skutkami niekompetencji rządu. Były premier natychmiast ruszył w objazd kraju, by rozmawiać z piekarzami, hodowcami pieczarek, sklepikarzami oraz przedstawicielami tuzina innych branż w mniejszych miastach i miasteczkach.

Lewica i Polska 2050 nie były daleko w tyle. Wkrótce wszystkie partie opozycji zaczęły zgodnie powtarzać, że drożyzna w sklepach, koszt zatankowania baku do pełna, brak węgla oraz rosnące raty kredytów są winą rządu i pisowcy powinni osobiście ponieść za to konsekwencje. Pal licho, że te same partie i opozycyjne media wspierały rozwiązania (podnoszenie stóp procentowych, embargo na rosyjskie surowce i hojne tarcze antykryzysowe dla biznesu), za których skutki postanowiły winić rząd i politykę „rozdawnictwa” PiS. „Wilcze prawo opozycji”, by naginać rzeczywistość i atakować rząd za wszystko, na które powoływał się kiedyś i Jarosław Kaczyński, dalej obowiązuje.

Sejmowi milionerzy i dawne elity władzy przywdziali kostium zwykłego człowieka, objeżdżają kraj i grzmią na odklejone partyjniackie elity.

Niewiedza ekonomiczna liberalnego wyborcy okazała się bardzo pomocna. Sympatyk PO i czytelnik „Gazety Wyborczej” nie wie, że wyrzucenie Adama Glapińskiego – a to dokładnie obiecywał Tusk

eprasa.pl f8afa2b15b

– nie przełoży się na zmniejszenie inflacji czy na korzystniejsze warunki udzielania kredytów przez banki. Już pomijając fakt, że kadencję prezesa NBP określa konstytucja, a decyzje podejmuje cała Rada Polityki Pieniężnej, a nie Glapiński osobiście. 95% sympatyków opozycji nie ma też świadomości, że za skokowy wzrost zadłużenia odpowiadają tarcze antykryzysowe, a nie program 500+, poza tym sytuacja finansów publicznych daleka jest od „greckiego kryzysu", który wieszczą liberalne tygodniki. W najnowszych analizach finansów publicznych Polski – publikowanych przez Międzynarodowy Fundusz Walutowy albo agencje ratingowe – w ogóle nie ma tych kasandrycznych przepowiedni, jakimi straszą redaktorzy sympatyzujących z PO mediów i opozycyjni politycy.

Jednak pod względem sztuki politycznej zwrot opozycji – choć intelektualnie nieuczciwy – ma wiele sensu. Polacy rzeczywiście odczuwają rosnące koszty życia i boją się o bezpieczeństwo – bardziej nawet finansowe i energetyczne niż militarne – w związku z inwazją na Ukrainę. Trzeba ich tylko przekonać, że to wszystko jest skutkiem błędnego zarządzania pisowców, a nie globalnych szoków w gospodarce. A gdy już do tego się ich przekona, wskoczyć na miejsce PiS i wsadzić swoich ludzi do spółek i ministerstw.

Sedno populizmu to ujęcie polityki jako konfliktu elit i ludu. W 2015 r. PiS obsadziło się w roli obrońcy ludu/narodu przed globalistyczną i ponadnarodową elitą.

Wiele twarzy populizmu

Populizm – wbrew błędowi popełnianemu często przez liberalnych krytyków rządu – nie oznacza jednak polityki hojnych świadczeń społecznych czy „rozdawnictwa". Przeciwnie, ma on wiele twarzy i może mieć wymiar nacjonalistyczno-korporacyjny albo liberalny. Populizm np. Donalda Trumpa zawierał w sobie program cięć wydatków na opiekę zdrowotną i redukcję podatków dla najbogatszych. Podobieństw do populizmu PiS należałoby tu szukać przede wszystkim w niechęci do muzułmańskich imigrantów i liberalnych mediów. W populistycznej metodzie prowadzenia polityki nie chodzi jednak o żaden spójny program (ani odsetek PKB, który stanowią wydatki na cele socjalne), lecz o konflikt, na jakim się zasadza.

Sedno populizmu to ujęcie polityki jako konfliktu elit i ludu. W 2015 r. PiS obsadziło się w roli obrońcy ludu/narodu przed globalistyczną i ponadnarodową elitą reprezentowaną przez UE, „niemieckie" media w Polsce i realizującą

eprasa.pl f8afa2b15b

„obce” interesy PO. Dziś obserwujemy próbę ponownego rozdania ról i ustanowienia tego sporu na nowo. Opozycja, faktycznie zjednoczona w swoim postrzeganiu rzeczywistości, nawet jeśli niezjednoczona jeszcze na listach wyborczych, widzi to tak: elitą są obecnie upasieni państwowymi pieniędzmi pisowcy, ludem – ogrom Polaków bez politycznych koneksji, którzy codziennie mierzą się z trudnościami ekonomicznymi.

Ktoś mógłby powiedzieć, że człowiekowi z samego środka europejskich elit, jakim stał się Tusk, trudno będzie grać rolę ludowego trybuna. Jednak obrana przez opozycję taktyka jest odświeżeniem czy aktualizacją konfliktu doskonale znanego Polakom z czasów późnego PRL – partyjne elity kontra normalni ludzie. Opozycja przekonuje, że tak jak 40 czy 50 lat temu zasadniczy podział w społeczeństwie przebiega po linii nie biedy i majątku albo miejsca urodzenia i wykształcenia, tylko legitymacji partyjnej. Przy takim zawłaszczeniu państwa przez PiS i dzięki prostocie – by nie powiedzieć prostactwu – opozycyjnego komunikatu przekaz zakorzenia się coraz głębiej.

Populizm może mieć nacjonalistyczno-korporacyjny albo liberalny wymiar.

Sejmowi milionerzy i dawne elity władzy przywdziali zatem kostium zwykłego człowieka, objeżdżają kraj i – w stylu niegdysiejszych Lepperów, Kukizów i Patryków Jakich – grzmią na odklejone partyjniackie elity. To jednak działa, a opozycja korzysta ze swojego wilczego prawa do woli. Populizm – jak trafnie zauważył Adam Leszczyński – nie zostanie w Polsce pokonany, ale po prostu zmieni kostium. Bo populistami są dziś w Polsce wszyscy.

Jakub Dymek
j.dymek@tygodnikprzeglad.pl

Friszke – historyk i obywatel

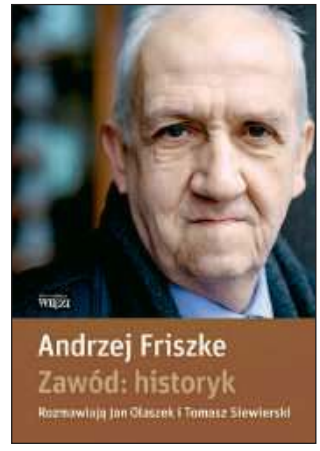

Jan Ordyński

Prof. Andrzeja Friszkego przedstawiać nie trzeba. To jeden z najważniejszych historyków najnowszych dziejów Polski. Napisał m.in.: „Opozycja polityczna w PRL 1945-1980”, „Niepokorni. Rozmowy o Komitecie Obrony Robotników” (wspólnie z A. Paczkowskim), „Przystosowanie i opór. Studia z dziejów PRL”, „Anatomia buntu. Kuroń, Modzelewski i komandosi”, „Adam Ciołkosz. Portret polskiego socjalisty”, „Rewolucja Solidarności 1980-1981”, „Między wojną a więzieniem 1945-1953. Młoda inteligencja katolicka”, „Sprawa jedenastu. Uwięzienie przywódców NSZZ »Solidarność« i KSS »KOR« 1981-1984”. Już te tytuły świadczą o ogromnym dorobku Friszkego i rozległości jego wiedzy. Doceniono to, przyznając mu w 2018 r. za „Sprawę jedenastu” prestiżową Nagrodę im. Pierwszego Rektora Uniwersytetu Łódzkiego Profesora Tadeusza Kotarbińskiego za wybitną pracę naukową z zakresu nauk humanistycznych.

Ale jest też w tych książkach coś bardzo istotnego – są po prostu niezwykle ciekawe, wręcz pasjonujące. Krótko mówiąc, ich autor ma ogromny talent pisarski. Co jeszcze warte podkreślenia, Friszke pisze o naszych najnowszych dziejach w sposób niezwykle sprawiedliwy i rzetelny. Potrafi bowiem – co nieczęste wśród badaczy – oddać rację także ludziom i środowiskom, z którymi nie było lub nie jest mu politycznie po drodze.

Wszystkie te zalety potwierdza wydana niedawno przez Bibliotekę Więzi książka „Andrzej Friszke. Zawód: historyk”. To wywiad rzeka z tytułowym bohaterem, z którym rozmawiają jego młodzi koledzy po fachu, Jan Olaszek i Tomasz Siewierski. Przeszło 600-stronicowa, ilustrowana zdjęciami książka jest na początku opowieścią o patriotycznej tradycji rodziny, która po wojnie zamieszkała w Olsztynie. Jej głowa, ojciec profesora, był pastorem, pierwszym proboszczem tamtejszej, polskiej już, luterańskiej parafii.

Kolejne rozdziały traktują m.in. o kontaktach Friszkego z przedwojennymi politykami, studiach na Uniwersytecie Warszawskim, opozycji przedsierpniowej i posierpniowej, pracy w „Tygodniku Solidarność”, KIK i Więzi, londyńskiej emigracji, kontaktach z niezwykłymi ludźmi tego czasu – Mazowieckim, Bartoszewskim, Michnikiem, Giedroyciem, Ciołkoszową i innymi. Friszke opowiada o środowisku badaczy historii PRL, warunkach ich pracy, dyskusjach i dokonaniach, nie tylko zawartych w książkach. Pasjonująco relacjonuje problemy związane z powstawaniem IPN i dramatyczne wręcz spory wokół niego, w których uczestniczył przez lata, aż do rozstania się z instytutem.

Książka ukazuje też jej bohatera jako obywatela aktywnego w ruchu walki o demokratyczną Polskę przed i po 1989 r. Widzimy, na czym polegała walka o prawdę historyczną, jak odkrywano białe plamy, jakie zmagano się z cenzurą oraz jakie są obecnie niebezpieczeństwa uwikłania historii w politykę, tworzenia wyobrażeń o przeszłości wedle życzeń aktualnie rządzących.

***Andrzej Friszke. Zawód: historyk*,**
rozmawiają Jan Olaszek i Tomasz Siewierski,
Biblioteka Więzi, Warszawa 2022

eprasa.pl f8afa2b15b

Ani rusofobia, ani naiwność

Myśląc o polityce wschodniej, trzeba zawsze myśleć przede wszystkim o naszym bezpieczeństwie

Rozmawia Jakub Dymek

WITOLD JURASZ
– dziennikarz Onetu, były chargé d'affaires RP na Białorusi, dyplomata w Moskwie oraz pracownik Zakładu Inwestycji NATO

Z okładki twojej książki „Demony Rosji" patrzy na nas złowroga twarz Władimira Putina na krwistoczerwonym tle. Cały ten kolaż może sugerować, że mamy w rękach pewnego rodzaju czarną księgę albo inny alfabet zbrodni Rosji w ostatnich latach. A o czym tak naprawdę jest to książka?

– Jest o Rosji, o polityce zagranicznej, w tym naszej polskiej – ten ostatni rozdział jest skądinąd raczej mało optymistyczny. Ale demony, o których mówię w tytule, to są często tak naprawdę demonki. To, co widziałem, pracując w Rosji jako dyplomata, to zło codzienne, drobne, powierzchowne, a nie zbrodnie wojenne i zło takiego formatu jak np. w Buczy. Większość Rosjan nie jest zbrodniarzami wojennymi. Tyle że większość Niemców też nie sypała własnoręcznie cyklonu B do komór gazowych. Nie zmienia to faktu, że w większym lub mniejszym stopniu większość Niemców żyjących wtedy i większość Rosjan żyjących dziś ponosi jakąś odpowiedzialność za wojnę. I nie mówię tu nic odkrywczego, bo to w gruncie rzeczy stare pytanie o banalność zła. Nie w każdym w Rosji siedzi wielkie zło, ale – jak widać – to mniejsze, jeśli się z nim nie mierzyć, ostatecznie może znaleźć swoje ujście w Buczy.

Odwieczne filozoficzne pytanie, unde malum, skąd zło.

– Są dwie szkoły myślenia, jedną nazwijmy liberalną, a drugą konserwatywną. Pierwsza mówi, że z demokracji wypływa pewna kultura. Druga, na odwrót – że potrzebujemy pewnej kultury, na której może wyrosnąć demokracja. Moja książka jest głosem, który mówi, że w Rosji tego podglebia nie ma. A że, inaczej niż np. w Japonii po wojnie, nie da się zastosować i tego pierwszego modelu, to na demokrację w Rosji szans w mojej ocenie nie ma.

> Nie jesteśmy żadnymi specjalistami Zachodu od Wschodu. Poziom naszej analityki jest od dawna co najwyżej średni.

No właśnie: zło codzienne, powierzchowne, zło wynikające z codziennych aktów rasizmu, szowinizmu, pogardy do innych, w tym współobywateli.

– Zacznę od stwierdzenia, które zabrzmi prowokacyjnie. Otóż ja Rosjan w zasadzie lubię: szczerych, otwartych ludzi, dużo bardziej niż my spontanicznych. Ale ich sympatia i otwartość kończy się w momencie, gdy porusza się tematy polityki zagranicznej. Wtedy z tego sympatycznego Rosjanina wychodzi najczystszej wody szowinizm. Co gorsza, ten nieraz dziki nacjonalizm jest podświadomy – oni po prostu szczerze wierzą, że Ukraińcy to nie jest żaden inny naród mający takie same prawa jak Rosjanie. Autorytaryzm w Rosji z kolei przejawia się na każdej płaszczyźnie życia codziennego, w każdej formie relacji międzyludzkich.

No i jest jeszcze kwestia tych relacji. W Rosji jeśli jesteś bogaty, to jesteś bogiem. Jeśli jesteś biedny, jesteś nikim. Wiara lewicy, jakoby Rosja miała sobą symbolizować jakieś przeciwieństwo zachodniego turbokapitalizmu, jest tak samo niemądra jak wiara prawicy w to, że Rosja jest jakimś konserwatywnym i wolnym od zachodniej demoralizacji społeczeństwem. W Rosji znajdziesz dziś i całkowite zaprzeczenie wartości prawicowo-konserwatywnych, i przeciwieństwo współczesnych wartości lewicowo-postępowych.

Mówisz, że z Rosjan wychodzi podskórny imperializm. Ale czy gdy porozmawiasz szczerze z Francuzem lub Amerykaninem, to z nich również nie wyjdzie przekonanie

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl f8afa2b15b

o własnej wyższości i wiara w to, że inne kraje dla własnego dobra powinny im się podporządkować?

– Naturellement, to we Francji oczywiste. Francuzi też są imperialistami, ale oni wiedzą, że pewnych rzeczy robić nie wypada, i ich imperializm ma już inny kształt niż rosyjski. Czy Amerykanie są imperialistami? Oczywiście, że są. Czy zdarzało im się popełniać zbrodnie wojenne? Oczywiście tak, np. w Mỹ Lai. Czy zdarzało im się torturowanie więźniów? Tak. Tylko że amerykańska prasa opisuje to i piętnuje. Na tym polega różnica. Ale i na tym, że Amerykanie jednak toczą wojny z dyktaturami. Rosja zaś jest dyktaturą i właśnie napadła na demokrację. Ja zresztą z powodu tej różnicy – tego, że rosyjski imperializm jest znacznie gorszy od wszelkich innych – byłem zawsze zwolennikiem ostrożności i cierpliwości...

To znaczy?

– Przez lata, do chwili napaści na Ukrainę, uważałem, że w konfrontacji z rosyjską odmianą agresywnego neoimperializmu należało się wykazywać pewną cierpliwością, poczekać, aż pokolenie, któremu w głowie wciąż dźwięczy wieczorne wydanie „Wiesti", dziennika telewizyjnego z czasów ZSRR, odejdzie. Po tej generacji przyjdzie kolejna, która oczywiście też będzie neoimperialistyczna, ale już choć odrobinę, choć troszeczkę mniej. Pytanie teraz jednak brzmi: czy Władimir Putin wyzerował licznik? Czy ta zmiana, która powoli, ale jakoś w Rosjanach zachodziła, została jedynie zatrzymana, czy może mentalnie Rosjanie cofnęli się o kilkadziesiąt lat. Oczywiście – i to chcę jasno podkreślić – teraz nie ma już takiej opcji, byśmy na cokolwiek w Rosji czekali. Teraz trzeba Rosję dobić sankcjami, bo stała się państwem w istocie faszystowskim i tak agresywnym, że musi za to zapłacić najwyższą możliwą cenę.

A jednak dotychczasowa polityka sankcji i ograniczania rosyjskich ambicji ani nawet groźby Trumpa i wychodzenie przez jego administrację z traktatów rozbrojeniowych nie nastraszyły Rosji na tyle, aby powstrzymać atak 24 lutego.

– Jeśli można jeszcze słowo o cierpliwości, bo chciałbym precyzyjnie wyjaśnić, o co mi chodzi. Otóż gdy np. w 2020 r. ostrzegałem przed ewentualnymi konsekwencjami nieudanej rewolucji na Białorusi i pisałem, że lepiej, by nie wybuchła, to nie dlatego, że reżim Łukaszenki mi się podobał, ale dlatego, że bałem się, że skutki nieudanej rewolucji (a na udaną w mojej ocenie szans nie było) mogą być fatalne i dla Białorusinów, i dla nas. Minęły dwa lata i wyszło niestety na moje. Reżim jest jeszcze gorszy, niż był, a Rosjanie podporządkowali sobie w pełni Białoruś.

Powiem coś niepopularnego. Mnie prawa człowieka obchodzą oczywiście po ludzku: torturowanych czy zamykanych w więzieniu ludzi jest mi zwyczajnie żal. Ale myśląc o polityce wschodniej, trzeba zawsze myśleć przede wszystkim o naszym bezpieczeństwie. Dla jasności – nie znaczy to, że należy Rosji ustępować i rozumieć jej „obawy", bo są one od początku do końca wydumane. Zresztą od pół roku widzimy, kto tu miał prawo kogo się obawiać.

Teraz, wskutek rozbicia społeczeństwa obywatelskiego w Białorusi, zamknięcia ludzi w więzieniach i ścisłego sojuszu wojskowego z Rosją, jest z tym gorzej, a nie lepiej.

– Zagrożenie dla nas wzrosło, ale przypomnijmy przede wszystkim, jak zaczęła się wojna 24 lutego. Od ataku ze strony białoruskiej na Kijów. Gdyby nie ten fakt, gdyby Łukaszenka był w jakimś sensie „naszym sukinsynem" (albo przynajmniej nie w pełni „ich sukinsynem"), ta wojna mogłaby wyglądać zupełnie inaczej. Nawet zresztą teraz Ukraina musi trzymać siły wokół Kijowa, ale także mieć zgrupowanie na styku granic z Polską i Białorusią, bo boi się ataku białoruskich sił specjalnych na tym odcinku granicy, gdzie my przerzucamy sprzęt.

Jak to jest być ekspertem od spraw wschodnich w kraju 38 mln ekspertów od Rosji?

– Tu jest kilka wątków. Po pierwsze, wbrew naszemu własnemu przekonaniu nie jesteśmy żadnymi specjalistami Zachodu od Wschodu. Poziom naszej analityki jest w mojej ocenie od dawna co najwyżej średni. Po drugie, dochodzi do tego uleganie różnym ideologicznym odjazdom – to zresztą dotyczy nie tylko polityki zagranicznej. Co ciekawe, większość Polaków zachowuje zdecydowanie więcej zdrowego rozsądku niż politycy, komentatorzy, publicyści. Tyle że większość nie wie, że jest większością, a mniejszość nie wie, że jest mniejszością.

W Polsce nietrudno o antyputinizm i antyrosyjskość, bo to nie wymaga żadnej odwagi. Co innego w Ukrainie, Białorusi i w samej Rosji oczywiście.

– Jestem absolutnie antyputinowski. A co do antyrosyjskości, to polecam zachować pewien zdrowy rozsądek i pamiętać, że przecież są również przyzwoici Rosjanie. Sądzę, że udaje mi się unikać rusofobii, bo pamiętam o nich. Ale wydaje mi się też, że udaje mi się unikać tego, co jest przekleństwem drugiej strony debaty, czyli naiwności. Głupiego polskiego mitu rosyjskiej inteligencji, rosyjskiej duszy, mitu nieodgadnionej Rosji. Co to ma niby znaczyć, że Rosja jest „nieodgadniona"? Albo że ma duszę? A niby inne państwa i narody nie mają? To takie pseudointeligenckie bla, bla, bla. Rosja jest taka, jaka jest, i trzeba patrzeć oraz reagować na to, co robi, a nie doszukiwać

Większość Polaków zachowuje zdecydowanie więcej zdrowego rozsądku niż politycy, komentatorzy, publicyści.

Nie wiemy, dlaczego ta wojna wybuchła, szczególnie że od początku jest pozbawiona sensu, pomysłu, logiki, logistyki, planu.

eprasa.pl f8afa2b15b

się znaczeń tam, gdzie często w ogóle ich nie ma. W książce cytuję zresztą jednego z rosyjskich politologów (niegdyś bliskiego Putinowi), który dał mi tę lekcję, aby myśląc o Rosji, nie filozofować zbyt dużo.

Piszesz, że wbrew pewnemu stereotypowi Rosją jako państwem – a już na pewno jej aparatem polityki zagranicznej – rządzą nie namiętności i pasje, ale chłodny cynizm, wyrachowanie i profesjonalizm. W przeciwieństwie, jak sugerujesz, do Polski.

– Polska jest najbardziej intelektualnie pobudzonym krajem świata. Problem w tym, że jeśli ideowo i intelektualnie pobudzeni są kretyni, to nic dobrego z tego nie wynika. W Polsce, dziś przede wszystkim na prawicy, trwa nieustanna produkcja pomysłów: sojusz z Turcją, lewarowanie się przez Chiny...

...unia polsko-ukraińska.

– Tak, to najnowszy. Ale potem np. okazuje się – jak w sprawie Chin – że ci ewentualni sojusznicy nawet nie słyszeli o naszych względem nich planach. „Oni po prostu o tym nie wiedzą", powiedział mi Radek Pyffel, którego wiedzę na temat Chin bardzo cenię, gdy zapytałem go, co Chińczycy myślą o polskich ambicjach. A wiesz, czemu mamy taką nadprodukcję idei? Bo praca organiczna nam nie wychodzi i dlatego uciekamy od realizmu w wizje.

A Rosjanie?

– Rosjanie w przeciwieństwie do nas są hiperrealistami. Nieprawdopodobnymi wręcz cynikami. Putinizm jest przecież aideowy, w przeciwieństwie do sowieckiego komunizmu, i co najwyżej recyklinguje to, co jest dostępne na rynku idei. Jak powiedział Władimir Pastuchow, w mojej opinii jeden z najlepszych komentatorów, „w Rosji są dwa żywioły – czerwony i czarnosecinny. Dziś rządzi ten drugi, bo złodzieje nie mogą być bolszewikami". Ale musimy pamiętać, że tamtejsi polittechnolodzy to też nie są niemądrzy czy niewykształceni ludzie, wręcz przeciwnie.

Skoro przy ideach jesteśmy – ty wierzysz w ideowe korzenie rosyjskiej agresji, całą tę konserwatywną filozofię, która rzekomo napędza Putina, czy bliżej ci do stanowiska realistycznego: wojna to polityka prowadzona innymi narzędziami?

– Zdecydowanie bliżej mi do tego drugiego stanowiska. Ale zarazem to nie jest odpowiedź na pytanie, dlaczego wybuchła wojna 24 lutego. Problem polega na tym, że my nie wiemy, czego chce Władimir Putin. Jeszcze parę lat temu, nawet jeśli nie mieliśmy dostępu bezpośrednio do Putina, mieliśmy dostęp do ludzi, którzy mieli dostęp do niego – i na podstawie echa, które do nas docierało, byliśmy w stanie odtworzyć, o co mu chodzi.

A dziś?

– Dziś nie mamy pojęcia. Może jego partnerka jest zbyt giętka, a on zbyt stary i rosnąca frustracja spowodowała, że musiał na kogoś napaść. Przepraszam, wiem, że to brzmi absurdalnie, ale historia zna wiele przykładów wojen, które wybuchały z naprawdę całkowicie irracjonalnych powodów. A może Putin był naprawdę przekonany, że nie będzie wojny – że wejdzie, Ukraińcy powitają go kwiatami i dadzą mu władzę na talerzu? A może chodziło o ceny surowców i rentę z eksportu, która się kończyła, i Putin miał poczucie, że to ostatnia chwila na próbę odbudowy imperium? Bo tych wszystkich lat, gdy dochody z ropy i gazu były gigantyczne, Kreml nie wykorzystał, bo Putin i jego otoczenie zajęci byli grabieżą, a nie reformami. A może wojna była potrzebna do tego, by – tak twierdzi np. wspomniany wcześniej Pastuchow – mieć pretekst do wprowadzenia już pełnej dyktatury? Tak naprawdę nie wiemy, dlaczego ta wojna wybuchła, szczególnie że – powiedzmy sobie szczerze – jest od początku pozbawiona sensu, pomysłu, logiki, logistyki, planu, to jest katastrofa Rosji na własne życzenie. Słowem, nie wiem. Skądinąd w dyskusji o Rosji trzeba umieć właśnie powiedzieć czasem „nie wiem".

A co ty byś chciał, żeby ludzie wiedzieli po lekturze twojej książki?

– Chciałbym, żeby ktoś, kto przeczyta tę książkę, Rosję czuł. Bo wydaje mi się, że w polityce – i krajowej, i zagranicznej – czucie bywa ważniejsze od znajomości drugorzędnych faktów, dat i szczegółików. Przed II wojną we Francji było dwóch konkurujących ze sobą polityków, którzy naprzemiennie szefowali kolejnym rządom. Georges Clemenceau miał mawiać, że pierwszy, Raymond Poincaré, wie wszystko, ale niczego nie rozumie, a drugi, Aristide Briand, nie wie nic, ale rozumie wszystko. Ja bym chciał, żebyśmy byli bardziej jak Briand. Tylko że najpierw musimy pozbyć się iluzji.

Czyli?

– W Rosji nie ma ani żadnej nieodgadnionej tajemnicy, ani duszy, ale także nie ma tam wyłącznie zła, są również normalni ludzie. Gdyby ktoś powiedział Amerykanom po II wojnie światowej, że za 20 lat będą z Niemcami sojusznikami, toby puknęli się w głowę. Ale zostali sojusznikami, i to nie 20, ale 10 lat po wojnie. My z Rosją sojusznikami nigdy nie będziemy, bo Rosja jest psychologicznie do tego niezdolna, a nasze interesy fundamentalnie sprzeczne, ale kto wie, co będzie za 25 albo 30 lat? Chciałbym, aby każdy, kto przeczyta moją książkę, potraktował ją jako szczepionkę na naiwność i rusofilię, ale też na panikarstwo i bezrefleksyjną rusofobię.

Chciałbym, aby każdy, kto przeczyta moją książkę, potraktował ją jako szczepionkę na naiwność i rusofilię, ale też na panikarstwo i bezrefleksyjną rusofobię.

Jakub Dymek
j.dymek@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl f8afa2b15b

Turcja pogłębia współpracę z Rosją

Firma produkująca bayraktary nastawiona jest na interes, a po Ukrainie cały świat jest jej klientem

Jakub Katulski

Podczas gdy większość państw NATO przyłączyła się do sankcji nałożonych na Rosję, Ankara wciąż rozwija współpracę z Moskwą. 22 sierpnia firma analityczna Refinitiv doniosła, że w tym roku ponaddwukrotnie wzrósł import rosyjskiej ropy do Turcji i obecnie przekracza on 200 tys. baryłek dziennie. Niektórych ta wiadomość pewnie zaszokowała, od miesięcy przecież mówi się o konieczności izolacji Kremla na arenie międzynarodowej. Jednak dla Recepa Tayyipa Erdoğana jest to zaledwie kolejny krok w zbliżeniu z Władimirem Putinem, a postępuje ono w tempie podobnym do rekordowej tureckiej inflacji.

Bayraktar to nie pomoc humanitarna

Oficjalna stopa inflacji nad Bosforem wyniosła w lipcu niemal 80%. To przerażająca wysokość, ale i ona może nie być prawdziwa. Niezależny think tank ENAGRUP przekonuje, że rzeczywista stopa sięgnęła 176,04%. Zbliżenie z Rosją zdaje się więc elementem strategii Erdoğana, mającej przynajmniej częściowo opanować kryzys, a docelowo zapewnić jemu i jego Partii Sprawiedliwości i Rozwoju (AKP) zwycięstwo w zaplanowanych na czerwiec przyszłego roku wyborach parlamentarnych i prezydenckich. Według Aleksandry Marii Spancerskiej, analityczki Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych, tureccy decydenci są przekonani, że nie mogą sobie pozwolić na porzucenie związków z Rosją. – Utrzymanie ich jest konieczne m.in. ze względu na budowę przez Rosatom elektrowni Akkuyu na południu Turcji, dostawy gazu ziemnego, nabycie przez tureckie siły zbrojne systemu S-400, sektor turystyczny, a także taktyczny sojusz łączący państwa w Syrii.

Moskwa jawi się jako partner strategiczny, który jest niemal gwarantem funkcjonowania państwa w trudnym położeniu. Nie oznacza to, że Erdogan całkowicie porzucił strategię NATO. Od rozpoczęcia rosyjskiej inwazji na Ukrainę słyszeliśmy o tureckim wsparciu dla Kijowa, w tym o sprzedaży ok. 50 dronów bojowych, które skutecznie rozprawiały się z rosyjskimi kolumnami pancernymi.

Słynne bayraktary TB2 dorobiły się nawet popularnego w internecie hymnu na ich cześć, napisanego przez ukraińskiego pułkownika Tarasa Borowoka. Borowok w lipcu nagrał jeszcze piosenkę o amerykańskim systemie artyleryjskim HIMARS, która jednak nie stała się podobnym hitem.

W tym roku ponaddwukrotnie wzrósł import rosyjskiej ropy do Turcji, przekraczając 200 tys. baryłek dziennie.

O tureckich bayraktarach głośno było niemal od początku wojny, co przyczyniło się do założenia przez Sławomira Sierakowskiego, redaktora naczelnego „Krytyki Politycznej", głośnej zbiórki funduszy na zakup „polskiego" drona dla Ukraińców. Zbiórka zakończyła się sukcesem, dołożyło się do niej ponad 220 tys. osób, które do końca lipca przekazały niemal 25 mln zł, przekraczając tym samym założone 22,5 mln. (PRZEGLĄD 32/2022). Jeszcze przed końcem akcji Sierakowski poinformował, że producent dronów, firma zbrojeniowa Baykar, zgodziła się przekazać maszynę Ukraińcom bezpłatnie, a zebrane środki w trójstronnym porozumieniu przekazane zostaną na pomoc humanitarną.

Nie wszystkim podoba się to działanie. Janina Ochojska, założycielka Polskiej Akcji Humanitarnej, przyznała, że nie dołożyła się do zbiórki na drona, bo „dostawy broni to nie pomoc humanitarna". Według Ochojskiej wojna w Ukrainie nie powinna być wyjątkiem, a do Syrii czy Jemenu nie jest dostarczana broń w formie pomocy, która z zasady powinna być udzielana cywilnym ofiarom wojny. Dodała jednak: „Ja nawet się cieszę, że Polacy kupią tego bayraktara", choć fałszem jej zdaniem jest „dorabianie do tego ideologii".

Kontrowersje budzi też fakt, że jednym z właścicieli Baykara jest Selçuk Bayraktar, prywatnie zięć prezydenta Recepa Tayyipa Erdoğana. Poślubił Sümeyye Erdoğan w 2016 r. podczas wystawnej ceremonii na 6 tys. gości. Jednak twórca słynnego drona w wypowiedziach jest o wiele bardziej krytyczny wobec Rosji niż Erdoğan, choć nie ukrywa, że jego firma nastawiona jest na interes, a „po Ukrainie cały świat jest ich klientem".

Rosyjski turysta na wagę złota

Nie tylko dostarczaniem dronów Ankara starała się wspomóc Ukrainę. Tureccy politycy usiłowali mediować w konflikcie, organizując jeszcze 29 marca rozmowy pokojowe w Stambule. Działania dyplomatyczne okazały się nieskuteczne, ale pozwoliły Turcji na zaprezentowanie się w roli rozsądnego partnera dla Moskwy. Ponadto właśnie Ankara pomogła w osiągnięciu porozumienia w sprawie wznowienia eksportu ukraińskiego zboża, które utknęło w portach Morza Czarnego i na statkach po rozpoczęciu wojny.

Erdoğan spotkał się z Władimirem Putinem na początku sierpnia

eprasa.pl f8afa2b15b

w Soczi, gdzie rosyjski prezydent zgodził się, by Turcja płaciła za import gazu w rublach. Z drugiej strony nad Bosforem wdrożono rosyjski system płatności Mir, będący alternatywą dla Mastercard i Visy, które zablokowały transakcje na terenie Rosji. Przed spotkaniem przywódców w Soczi system wprowadziły trzy tureckie banki, a kiedy Erdoğan wrócił po rozmowach, zwiększono tę liczbę do pięciu. Umożliwiło to rosyjskim turystom wyjazdy do tureckich kurortów, w których mogą płacić własnymi kartami, a nawet wypłacać gotówkę. Do lipca zjawiło się ich nad Bosforem już ponad 2,2 mln. To wciąż mniej niż w rekordowym roku 2019, ale zdecydowanie więcej niż przed rokiem.

Rosjanie są zainteresowani nie tylko odpoczynkiem. W tym roku przodują w tureckim programie uzyskiwania obywatelstwa przez nabywanie nieruchomości. Każdy obcokrajowiec, który zdecyduje się na kupno posiadłości o wartości przekraczającej 400 tys. dol., otrzymuje obywatelstwo, co w założeniu ma przyciągać inwestorów, ale dzisiaj jest wygodnym sposobem na obchodzenie zachodnich sankcji. Takich domów do czerwca sprzedano Rosjanom aż 5 tys.

Przedsiębiorcy decydują się także na otwieranie firm w Turcji. W pierwszej połowie tego roku Rosjanie otworzyli nad Bosforem 500 nowych biznesów, ponaddwukrotnie więcej niż w całym roku 2021. Z kolei Turcy zwiększyli wolumen swojego eksportu do Rosji, osiągając wartość niemal 3 mld dol., najwyższą od ośmiu lat. Postanowili po prostu wykorzystać okazję, którą stworzyło wyjście znanych europejskich marek, i sprzedają artykuły tekstylne, akcesoria kuchenne, wyposażenie czy pojazdy.

Pięć tureckich banków wdrożyło rosyjski system płatności Mir, będący alternatywą dla Mastercard i Visy.

Do lipca nad Bosforem zjawiło się już ponad 2,2 mln rosyjskich turystów.

Zachód bez argumentów

Ta polityka balansowania nie napotyka oporu ze strony społeczeństwa, co podkreśla Aleksandra Maria Spancerska: – Erdoğan boryka się z kryzysem gospodarczym w państwie, ma przed sobą perspektywę wyborów, a według badań sondażowych jego elektorat jest zdania, że turecka polityka zagraniczna powinna zwrócić się raczej ku Rosji i Chinom, a nie Unii Europejskiej i Stanom Zjednoczonym.

W tej sytuacji to nic dziwnego, że właśnie Moskwa inwestuje znaczne kwoty w rozwój energetyki w Turcji i w lipcu przekazała równowartość 5 mld dol. na budowę pierwszej w Turcji elektrowni atomowej Akkuyu. Trwa już budowa jej czterech reaktorów, a pierwsza jednostka ma zostać uruchomiona w przyszłym roku, choć Rosatom ze względu na zachodnie sankcje ma problemy z pozyskiwaniem komponentów. Mimo to agencja zapowiada przekazanie kolejnych 10 mld dol. na budowę Akkuyu, która po całkowitym uruchomieniu ma zaspokajać 10% tureckiego zapotrzebowania na energię elektryczną.

Z punktu widzenia Erdoğana niemożliwe jest więc całkowite odcięcie się od Moskwy, choć może za to zapłacić. 22 sierpnia zastępca sekretarza skarbu USA Wally Adeyemo wysłał list do Amerykańskiej Izby Handlowej w Turcji i Tureckiego Stowarzyszenia Przemysłu i Przedsiębiorczości, największej organizacji zrzeszającej tureckie firmy. Ostrzegł w nim, że tureccy przedsiębiorcy ryzykują objęcie sankcjami, jeśli będą dostarczać towary i usługi rosyjskim obywatelom wciągniętym na listę Biura ds. Kontroli Aktywów Zagranicznych (OFAC). Do momentu ukończenia tego tekstu tureckie władze nie odniosły się do amerykańskiego ostrzeżenia.

Zachód z pewnością chciałby skłonić Ankarę do przyjęcia bardziej stanowczego kursu wobec Moskwy. Wygląda jednak na to, że nie ma atrakcyjnej oferty, która zachęciłaby Erdoğana do porzucenia strategii balansowania. Tym bardziej że jest ona pozytywnie odbierana przez społeczeństwo, a sojusznicy z NATO cierpliwie znoszą różne wybryki Turcji, jak choćby próbę zablokowania rozszerzenia Sojuszu o Szwecję i Finlandię, w której to sprawie turecki parlament wciąż musi podjąć decyzję. Jeśli więc w oczach Turków strategia działa i nie wiąże się z żadnymi konsekwencjami, to po co mieliby ją zmieniać? ■

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl f8afa2b15b

Mateusz Mazzini

Cichy front

Francja wycofuje swoje siły z Mali, robiąc miejsce dla coraz aktywniejszych tam rosyjskich najemników

Koniec tej misji majaczył na horyzoncie od dawna. Trwała dziewięć lat – Francuzi weszli do Mali w 2013 r., jeszcze za rządów François Hollande'a, zasadniczo z jednym tylko celem: zapewnić w kraju relatywną stabilność polityczną. Na papierze zadanie trywialne, w praktyce okazało się nie do wykonania. Miało być łatwo, bo to przecież dawna kolonia, państwo frankofońskie, w dodatku utrzymujące silne związki gospodarcze z byłą metropolią. Nie przez przypadek zresztą władze w Paryżu, gdy wysłały prawie dekadę temu 2,5 tys. swoich żołnierzy i całą masę sprzętu wojskowego w sam środek Sahelu, oskarżane były o neokolonializm w czystej postaci. Zwłaszcza lewica nad Sekwaną krzyczała, że u Hollande'a budzi się tęsknota za imperium, że Francja po raz kolejny daje dowód, że nigdy się nie pogodziła ze stratą zamorskich posiadłości. Eksperci jednak raczej chwalili ówczesnego prezydenta za decyzję o wysłaniu wojska do Afryki. Głównie dlatego, że Mali, podobnie jak większość republik regionu, chwiało się jak drewniana chatka w czasie trzęsienia ziemi. A chętnych do ratowania go przed totalną rozsypką jakoś nie było.

Mali nie ma dostępu do morza, ale jest kluczowym przystankiem na trasie między Atlantykiem a Morzem Śródziemnym.

Na przemytniczym szlaku

W zrozumieniu znaczenia francuskiej misji dla układu sił właściwie na całej półkuli północnej pomoże rzut oka na mapę. Mali, siódmy co do wielkości kraj Afryki, chociaż nie ma dostępu do morza, jest kluczowym przystankiem na trasie między Atlantykiem a Morzem Śródziemnym. Dokładniej chodzi o to, co przez oba akweny się przewozi. I nie mówimy tu o eksporcie opisywanym w corocznych statystykach ekonomicznych czy wchodzącym w skład PKB. Mali to środek ciężkości Sahelu. Prowadzi tamtędy jeden z najważniejszych szlaków przerzutu narkotyków z Ameryki Łacińskiej do Europy. Również coraz więcej migrantów znad Zatoki Gwinejskiej próbuje się przedostać tą drogą na Stary Kontynent. To nigdy nie była podróż bezpieczna, już choćby ze względu na warunki klimatyczne. Na południu dżungla, niebezpieczeństwo chorób zakaźnych, potem pustynia, która w Mali się zaczyna, a ciągnie się (w zależności od szlaku) nawet do wybrzeży Morza Śródziemnego.

W ostatnich latach zrobiło się jeszcze trudniej, bo do listy potencjalnych zagrożeń doszedł afrykański oddział Państwa Islamskiego. ISIS – lub, jak wolą Francuzi, Daesh – po serii klęsk w swojej bliskowschodniej kolebce przeniosło się do Afryki, sadowiąc się przede wszystkim w rozdartej przez kacyków Libii i właśnie w Mali. W tym drugim kraju islamiści zaczęli dokonywać nalotów na wioski, zamykać szkoły, dopuszczali się zbrodni na „niewiernych" cywilach. Jeśli doda się wszystkie te zjawiska do i tak długiej listy problemów strukturalnych, m.in. konfliktów pomiędzy grupami etnicznymi, przemocy wobec kobiet i niespecjalnego przywiązania tutejszych elit do idei demokratycznych, widać, że Mali było krajem tyleż ważnym, co trudnym do ustabilizowania.

Społeczność międzynarodowa długo była wdzięczna Francuzom, że wzięli to zadanie na swoje barki, przymykała nawet oko na ewidentny neokolonializm Paryża w regionie Sahelu. Mali oprócz żołnierzy znad Sekwany gości też misję ONZ, znaną pod akronimem MINUSMA i powszechnie uważaną za najniebezpieczniejszą misję z mandatem Narodów Zjednoczonych na całym świecie – 15 tys. osób, w tym 13 tys. żołnierzy pod bronią, oczywiście używaną jedynie w celach defensywnych. MINUSMA powstała kilka miesięcy po francuskiej misji stabilizacyjnej i razem z Francuzami walczyła przede wszystkim z terrorem islamskich ekstremistów. Wtedy, na początku drugiej dekady XXI w., ryzyko utworzenia quasi-suwerennego kalifatu w północno-zachodniej części Mali było całkiem realne. Silna jeszcze Al-Kaida sprzymierzyła się z miejscowymi grupami Tuaregów, grożąc secesją. Zostali wówczas odepchnięci przez sojusz obecnych już w Mali Francuzów, jednostek malijskiej armii lojalnych wobec rządu oraz misji AFISMA, ochotniczej inicjatywy innych państw afrykańskich. Błękitne hełmy zastąpiły właśnie afrykańskich ochotników i natychmiast musiały wkroczyć do akcji, bo sytuacja pogarszała się błyskawicznie.

Jak podaje telewizja Al-Dżazira, w pierwszych latach operacji terroryści mordowali po kilkuset cywilów, w 2016 r. liczba ofiar zbliżała się już do tysiąca, a w 2019 r. przekroczyła 4 tys. Nikt nie był bezpieczny, co zresztą pokazują statystyki po stronie samych aliantów. Od uruchomienia MINUSMA śmierć poniosło 209 członków tej misji, a Francuzi przez dziewięć lat obecności w Mali stracili dodatkowo 59 żołnierzy.

Dyplomatyka i łowy

Mijały lata i coraz bardziej oczywiste stawało się, że o ile zachodnie

eprasa.pl f8afa2b15b

Francuzi musieli wyjść z Mali po cichu, sprawnie, bez ponoszenia wielkich strat. 11 sierpnia 2022 r.

siły są w stanie w miarę skutecznie walczyć z separatystami, o tyle na froncie stabilizacji politycznej i krzewienia idei demokratycznych idzie im bardzo słabo. Nic w tym dziwnego, żołnierze nie są wysyłani w takie miejsca, by tworzyć społeczeństwo obywatelskie. Pod względem militarnym operacja była więc w miarę udana, jednak fiasko polityczne zbliżało się wielkimi krokami. Uwerturą do niego były dwa zamachy stanu w ciągu dwóch lat. Za każdym razem władzę przejmowała jedna z frakcji malijskiej armii, niezadowolona z obrotu spraw w kraju.

W 2020 r. obalony został prezydent Ibrahim Boubacar Keïta, który rządził Mali od 2013 r. i był odpowiedzialny za przyjęcie sił zarówno francuskich, jak i alianckich. Oficerom jego armii nie podobało się, że oddał obcym kontrolę nad krajem. Byli przekonani, że sami są w stanie walczyć z islamistami, w dodatku zrobią to lepiej i szybciej. Do tego doszły oskarżenia o działalność na własną rękę wobec Francuzów, ignorowanie przez Paryż głosu lokalnych dowódców i – niesamowicie pojemny termin – „naruszanie malijskiej suwerenności". Prezydent Emmanuel Macron przez dwa lata próbował jeszcze spór załagodzić, ale w pierwszych dniach maja 2022 r. nie było już o czym rozmawiać. Malijscy generałowie jednostronnie wypowiedzieli trzy porozumienia międzynarodowe będące podstawą prawną francuskiej obecności militarnej na terenie kraju.

Paryż nie miał wyjścia, musiał się wycofać, misja straciła mandat i gdyby została przedłużona, zamieniłaby się w okupację. Macron usiłował dorabiać do tego ideologię, ogłaszając, że tak naprawdę decyzja o opuszczeniu Mali zapadła nad Sekwaną. Dodawał, że dzieje się tak, bo cel został osiągnięty. Nie ma kalifatu, Daesh nie stanowi egzystencjalnego zagrożenia dla malijskiego państwa, ani kawałek nie został przejęty przez separatystów. Dla Paryża najważniejsze było, żeby uniknąć powtórki z blamażu, jaki w sierpniu zeszłego roku zafundowali sobie Amerykanie w Afganistanie. Francuzi musieli wyjść po cichu, sprawnie, bez ponoszenia wielkich strat. Było to relatywnie łatwe, 2,5 tys. żołnierzy to znowu nie tak wiele, problem stwarzała logistyka, bo oddziały rozlokowane były w kilkunastu bazach w całym kraju.

Znacznie goręcej zrobiło się na łączach dyplomatycznych, ponieważ francuskie wojsko w Mali potrzebne było nie tylko Francji. Skoro nie służyło pod flagą Narodów Zjednoczonych, mogło prowadzić działania zaczepne, a więc stanowiło istotne wsparcie dla MINUSMA. W dodatku z prowincji zaczęły dochodzić depesze wywiadowcze jasno informujące, że na północy kraju islamiści znów są coraz bardziej aktywni. Największy niepokój budził jednak inny przeciwnik. Nowy gracz, którego do tej pory w znaczącej skali w Afryce nie widziano, a który w bieżącym kontekście stosunków

Francuzi weszli do Mali w 2013 r. z jednym tylko celem: zapewnić tam relatywną stabilność polityczną.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl f8afa2b15b

międzynarodowych był kamykiem w bucie Zachodu, uwierającym może nawet bardziej niż islamscy terroryści. W Mali nową siłą nagle stała się Rosja.

Na początku marca, zaledwie kilkanaście dni po rozpoczęciu inwazji na Ukrainę, „Washington Post" opublikował reportaż z Bamako. Ulicami stolicy Mali przetaczało się coś na kształt wojskowej parady skrzyżowanej z przejazdem konwoju opancerzonego. Choć żołnierze byli biali, nie mieli naszywek ONZ, Francji ani żadnego z afrykańskich państw. Uwagę przykuwały jeszcze inne szczegóły – tłum wymachiwał rosyjskimi flagami i transparentami z napisem „I love Wagner". To społeczna manifestacja poparcia dla najemników z Grupy Wagnera, elitarnej prokremlowskiej grupy paramilitarnej, którą Władimir Putin wysyła potajemnie na wszystkie fronty, na których Rosja chce się stać agentem wpływu. Formalnie pomiędzy wagnerowcami a rosyjskimi władzami nie ma żadnych związków, a sam Putin wielokrotnie podkreślał, że nie ma nad tym oddziałem kontroli, toteż nie można go posądzać o interwencje na terytoriach suwerennych państw. Nawet jeśli Grupa Wagnera gdzieś się pojawiała, to – komentował Kreml – na zaproszenie lokalnych władz. Chcą, płacą, więc dostają. Czysto transakcyjna relacja, a jeśli Zachód ma z tym problem, niech kieruje pretensje do Bamako, nie do Moskwy.

I chociaż wiadomo, że zarówno Putin, jak i szef rosyjskiej dyplomacji Siergiej Ławrow to patologiczni kłamcy, akurat w tej konkretnej deklaracji jest ziarno prawdy. Malijska dyktatura wojskowa od kilkunastu miesięcy skłania się ku Rosji, co zresztą było jednym z głównych powodów pogorszenia się stosunków z Francją. Wagnerowcy pojawili się w Afryce Subsaharyjskiej, bo mundurowi w Bamako uwierzyli, że z tego sojuszu będą mieli więcej niż z partnerstwa z Francją i ONZ. Problem w tym, że Grupa Wagnera nie działa jak regularne wojsko, tylko jest oddziałem płatnych zabójców i kieruje się własnym interesem, w tym komercyjnym. O kwestiach takich jak poszanowanie suwerenności oraz praw człowieka czy powstrzymywanie się przed kradzieżą i plądrowaniem nie ma w ich przypadku mowy.

Chłopcy wagnerowcy

Pierwsze raporty o czynnym udziale wagnerowców w walkach z Daesh pojawiły się już w kwietniu. Dotyczyły wydarzeń z marca w wiosce Moura w centralnym Mali. Kontrolowana przez islamistów osada została najechana przez wspólny patrol Rosjan i malijskiej armii. W trwających cztery dni walkach zginęło 350-380 cywilów. Informacje na ten temat jako pierwszy podał ACLED, międzynarodowy think tank zajmujący się śledzeniem nieregularnych konfliktów zbrojnych na całym świecie. Dane te potwierdziły potem zachodnie media, w tym powołujący się na rozmowy z lokalnymi aktywistami „Washington Post", a także „Wall Street Journal" i „Guardian". Łącznie w incydentach z udziałem Grupy Wagnera, obecnej w Mali co najmniej od końca ubiegłego roku, tylko w okresie od stycznia do połowy kwietnia zginęło 456 cywilów, podaje ACLED. Co jest o tyle niezgodne z narracją rządów w Moskwie i Bamako, że oba uparcie określają wagnerowców w Sahelu jako „instruktorów wojskowych", którzy w bezpośrednich walkach nie biorą udziału.

Metody ich działania nie ograniczają się do nalotów i zabójstw ludności cywilnej. Grupa Wagnera ma w repertuarze tortury, porwania dla okupu, ale przede wszystkim eksploatację bogactw naturalnych. Warto to powtórzyć, by lepiej zrozumieć obecność Rosjan w Afryce: wagnerowcy to płatni najemnicy. Na swoich działaniach muszą zarabiać. A że kraje takie jak Mali rzadko mają na tyle wysoką płynność finansową, by za usługi grupy płacić gotówką, robią to najczęściej za pomocą tego, co mają pod ziemią.

Wagnerowcy są tylko elementem szerokiej sieci podmiotów, której centralnym punktem jest Jewgienij Prigożyn, jeden z najważniejszych oligarchów orbitujących wokół Putina, swego czasu znany z tego, że zaopatrywał w catering najściślejsze rosyjskie kręgi władzy. Oprócz prowadzenia biznesu kulinarnego zarabia – a jakże – na wydobyciu metali szlachetnych i handlu nimi. I pozyskuje je, o dziwo, z tych samych krajów, które korzystają z usług Grupy Wagnera.

Na liście jej klientów figurują różne państwa. Jak wynika z analizy CSIS, waszyngtońskiego Centrum Studiów Strategicznych i Międzynarodowych, rosyjscy najemnicy przez ostatnie sześć lat brali czynny udział w walkach w aż 28 krajach na kilku kontynentach, z czego 18 to państwa afrykańskie. Oprócz Mali były to m.in. Libia, Republika Środkowoafrykańska czy Sudan. Wszędzie tam spółki związane z wagnerowcami i Prigożynem w następstwie pojawienia się najemników otrzymywały koncesje na działalność wydobywczą. Trudno oszacować, ile oligarcha już zarobił, ale kwota ta idzie z pewnością w miliardy dolarów.

Rosjanie rozpychają się z coraz większą śmiałością nie tylko w Afryce, ale i na Bliskim Wschodzie, w Ameryce Południowej i Centralnej. Wyjście Francuzów z Mali zapewne zachęci ich do dalszych rozbojów, bo z oczywistych względów ONZ nie będzie w stanie patrzeć im na ręce. Jeśli wszystkie te inicjatywy nałożyć na mapę, można zauważyć, że w pasie pomiędzy Zwrotnikiem Raka a równikiem przebiega kolejny front walki Zachodu z Rosją. To front cichy, na którym nie wybuchają bomby ani nie płoną blokowiska, ale dla światowego porządku równie niebezpieczny jak te głośniejsze.

Malijska dyktatura wojskowa od kilkunastu miesięcy skłania się ku Rosji.

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl f8afa2b15b

Oko w oko

Tomasz Jastrun

Pożeracz świata

Ryszarda Kapuścińskiego, reportera, który stał się najbardziej znanym w świecie polskim pisarzem, znałem słabo, ale serdecznie. Nawet razem wracaliśmy ze Stoczni Gdańskiej z sierpniowego strajku w 1980 r. Spotykaliśmy się czasami, bywało, że do mnie dzwonił, kochał poezję, uważał, że u źródeł dobrego reportażu jest poezja. Sam pisał wiersze, nie najlepsze, jednak teraz widzę, że nie doceniałem go jako reportera-pisarza. Uświadamia mi to świetna książka Artura Domosławskiego „Kapuściński non-fiction". Domosławski jeździł po wszystkich kontynentach tropami Kapuścińskiego, rozmawiał z ludźmi, którzy go znali.

Ryszard Kapuściński, który tak świetnie dogadywał się z ludźmi z innych kultur, nie najlepiej rozumiał sam siebie.

To książka nie tylko o człowieku, też o Polsce, tej ludowej, i o tzw. Trzecim Świecie. Wiele rzeczy w życiu Ryszarda mnie zaskoczyło. Nie miałem pojęcia, że tak długo był komunistą, najpierw w czasach stalinowskich, co mniej mnie dziwi, bo wtedy prawie wszyscy pisarze podpisali pakt z diabłem. Zdumiewające, że dopiero w roku 1980, gdy powstała Solidarność, oddał legitymację partyjną. Ale to był nie tylko koniunkturalizm, miał serce po lewej stronie, ogromną wrażliwość na ludzką biedę. Był człowiekiem wielkiej pasji. Oddawał się badaniu świata bez reszty, nieraz ryzykując życie. Żeby być korespondentem policyjnego, niedemokratycznego państwa, musiał być sprytny, przebiegły, iść na kompromisy, przyjaźnić się z małymi ludźmi reżimu. Kiedyś bym go za to potępił. Teraz tylko nieco się dziwię. Domosławski udowadnia, że Kapuściński czasami zmyślał w reportażach, że koloryzował fakty. A w definicji reportażu jest wierność faktom. Czy nie robił jednak tego po to, by dotrzeć do istoty rzeczy? Można powiedzieć, że niekiedy przesadzał, kreował sensacyjną opowieść na kanwie sytuacji, które nie były sensacyjne w takim stopniu, jak je opisał. Sam kiedyś wykrzyczał, gdy ktoś wytykał mu nieścisłości: „Nie rozumiesz, że mi chodzi o istotę rzeczy". Czyli o mechanizmy władzy, ideologii, przewrotu i rewolucji. A przeżył ich, jak twierdził, 27.

Ryszard niemal zawsze się uśmiechał, taki półuśmiech, jakby chciał obłaskawiać świat i każdego rozmówcę. Starał się mówić ludziom rzeczy miłe, dzwonił czasami do mnie, by pochwalić jakiś mój tekst czy tomik. Kiedy napisałem do „Polityki" tekst o jego „Lapidariach", z lekka krytyczny, bałem się, że się obrazi. Zadzwonił z podziękowaniami. A z książki Domosławskiego wiem, że miał cienką skórę, był bardzo wrażliwy na krytykę, czyli był niepewny siebie. Mały, ale gęsty rozdział książki dotyczy słabości Kapuścińskiego do kobiet, chociaż miał żonę i był bardzo z nią związany do końca życia. O ten rozdziałek żona i córka reportera wytoczyły Domosławskiemu proces. Nie dziwię im się, ale też nie dziwię się Domosławskiemu. Podobnie jak bohater jego książki chciał drążyć prawdę do dna.

Zbieram paradoksy z książki. Ten odważny reporter, nieraz na linii frontu, na co dzień był hipochondrykiem, panikarzem, niemal tchórzem. Łatwo się gubił, przerażała go podróż nowojorskim metrem. Był słabym mówcą, nudził na wykładach. Kochał żonę, ale ciągle ją zdradzał, do końca życia nie mógł się dogadać z córką – to delikatne określenie – on, który tak świetnie dogadywał się z ludźmi z innych kultur. I jak się zdaje, nie najlepiej rozumiał sam siebie. Ileż tych paradoksów jest! Gdy jednak grał rolę reportera, stawał się kimś innym. Pewnym siebie i odważnym.

Zapytałem go kiedyś: „Tyle piszesz o dalekich kontynentach, a nic o Polsce? A tu tak wiele się dzieje". Zmieszał się: „Zbyt straszne rzeczy musiałbym o Polsce napisać, to coraz większy zaścianek, strach o tym pisać". Zadzwoniłem do niego kiedyś z wiadomością, że „Zwierciadło" chce mu dać główną nagrodę, Kryształowe Zwierciadło, i zapytałem, czy będzie wtedy w Polsce. Zmartwił się i powiedział: „Jadę na Wyspy Trobriandzkie, jaka szkoda, ale mam nadzieję, że mi to nie przepadnie". Uspokoiłem go. Przepadło, bo umarł.

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl f8afa2b15b

Syty głodnego nie nakarmi

W Anglii ok. 1,9 mln dzieci korzysta z darmowych obiadów w szkołach. Co piątemu uczniowi grozi głód, jeśli nie naje się w szkole

Zuzanna Muszyńska

Według najnowszych danych Ministerstwa Edukacji w minionym roku szkolnym liczba dzieci objętych systemem bezpłatnych posiłków szkolnych FSM (Free School Meals) wzrosła o 10%. Cztery lata temu co siódmy uczeń jadał darmowe obiady. Najgorzej jest w północnej Anglii, West Midlands oraz w Londynie i w Yorkshire. CPAG (Child Poverty Action Group) twierdzi, że 800 tys. dzieci w potrzebie nie korzysta z darmowych obiadów. Podobnego zdania są inne organizacje oraz związki zawodowe nauczycieli, alarmujące o rosnącej liczbie dzieci, które „zgubił" system.

Wiatr w oczy

Od września 2014 r. z inicjatywy wicepremiera Nicka Clegga (Liberalni Demokraci) działa w Anglii system darmowych posiłków dla dzieci w wieku od czterech do siedmiu lat. Ustalona niemal dekadę temu dzienna stawka 2,30 funta na dziecko wzrosła do dziś o... 4 pensy. Starsi uczniowie, by zakwalifikować się do programu darmowych obiadów, muszą spełniać wymóg rocznego dochodu nieprzekraczającego 7,5 tys. funtów na członka rodziny. Anglia spada coraz niżej na liście krajów, które potrafią zadbać o swoje dzieci. Rząd szkocki zapewnia bezpłatne posiłki wszystkim dzieciom w klasach I-III, podobne programy funkcjonują w Walii i Irlandii Północnej. U sąsiadów po drugiej stronie kanału lunch składa się z przekąski, sałatki, dania głównego, palety serów oraz deseru i wody. We francuskich szkołach nie ma automatów ze słodyczami, a jedzenie kosztuje niewiele. We Włoszech jest smacznie, ale drożej. Wielu rodziców pakuje dzieciom lunch do tornistra, by zaoszczędzić. W Szwecji na każdego ucznia podstawówki czeka bufet dań, w Norwegii – owoce i mleko. Estonię stać na darmowe posiłki w szkołach podstawowych i średnich, Finlandię również. W Indiach szkoły państwowe oferują wyżywienie wszystkim dzieciom. W krajach rozwijających się darmowe posiłki mają zachęcać rodziców, by posyłali dzieci do szkoły. Szkolne jedzenie jest tam formą walki z biedą i głodem, szansą dla najuboższych rodzin, by wychowały zdrowe dziecko.

Za pomysłodawcę współczesnej jadłodajni dla ubogich uważa się Benjamina Thompsona hrabiego Rumforda, amerykańskiego fizyka. W Monachium, gdzie Thompson schronił się przed oskarżeniami o zdradę stanu, zatrudniał i dożywiał dorosłych oraz dzieci. W Bawarii powstał przepis na autorską „zupę Rumforda", grochówkę na jęczmieniu. Przybywając na początku XIX w. do Londynu, hrabia Rumford zajął się dożywianiem na ulicach miasta kilkudziesięciu tysięcy osób.

Posiłki w szkołach zawsze były kluczowym rozwiązaniem problemu głodu wśród brytyjskich dzieci. Odkąd wprowadzono obowiązek szkolny w 1870 r., zaobserwowano znaczny odsetek uczniów, którzy przekraczali próg szkoły głodni. Darmowe obiady dla najuboższych uczniów jako pierwszy wprowadził Manchester. Państwo pierwszy raz odniosło się do problemu niedożywienia dzieci w 1906 r., nakładając obowiązek przygotowywania zdrowych posiłków na lokalne władze. W 1944 r. weszła w życie National School Meals Policy, która zobowiązała samorządy do podawania dzieciom co dzień szklanki mleka oraz wyznaczyła reguły zdrowego żywienia. Nie przestrzegano ich ściśle ani po wojnie, kiedy brakowało wszystkiego, ani w latach późniejszych, gdy zaczęły się utrwalać złe nawyki żywieniowe.

Mleko wycofano ze szkół średnich w 1968 r., a w 1971 r. także z podstawówek, na życzenie Margaret Thatcher, ówczesnej minister edukacji, której wypominano to rymem „Thatcher, Thatcher, Milk Snatcher!". Złodziejka mleka już jako szefowa rządu toczyła boje o ograniczenie przywilejów dla najuboższych. Pod hasłem walki z marnotrawstwem żywności zwolniła lokalne władze z obowiązku podawania posiłków w szkołach oraz nakłaniała do otwarcia się na

W Polsce od 1 września obiady dla każdego

Po wakacjach obowiązek przygotowania ciepłego posiłku dla każdego ucznia oraz zapewnienia miejsca, w którym dzieci mogą go spożyć, zostaje rozszerzony z przedszkoli na szkoły podstawowe. Dużo zajęć lekcyjnych i pozalekcyjnych, szeroka podstawa programowa oraz lekcje nawet na trzy zmiany sprawiają, że dzieci spędzają w murach szkolnych coraz więcej czasu. W większości placówek oświatowych już teraz działają stołówki. Uczniowie mogą z nich korzystać za pewną dopłatą. Dzięki programom pomocowym obiady są dostępne za darmo dla dzieci z uboższych rodzin. Przyznawane będą na dotychczasowych zasadach (kryterium dochodowe poniżej 1,2 tys. zł na osobę w rodzinie lub więcej niż 1,2 tys. zł, ale mniej niż 1,5 tys. zł w przypadku dopłat 50%). Rodzice pozostałych dzieci zapłacą za obiad niewygórowaną cenę, obejmującą koszt zakupu produktów.

eprasa.pl f8afa2b15b

najtańszych dostawców żywości. Wskutek polityki Thatcher w drugiej połowie lat 80. pół miliona dzieci z rodzin dotkniętych ubóstwem straciło dostęp do darmowych obiadów, drastycznie spadła również jakość jedzenia. Kiedy pod koniec XX w. porównano powojenne jadłospisy brytyjskich szkół, okazało się, że w latach 50. uczniowie odżywiali się lepiej niż 40 lat później.

Celebryci kontra rząd

W nowym tysiącleciu o pełne żołądki dzieci troszczą się obok aktywistów i polityków celebryci. W 2004 r. gotujący na ekranie Jamie Oliver zwrócił uwagę na fatalną jakość posiłków w szkołach. Wkrótce wyemitowano czteroodcinkową serię programów, w których Oliver pokazywał, jak usprawnić praktyki kuchenne w Kidbrooke School w londyńskim Greenwich. Budżet szkolny 37 pensów na obiad na osobę nie powalał. Uczniowie nie chcieli się rozstać z ulubionymi nuggetsami z kurczaka ani jeść więcej warzyw. Oliverowi udało się jednak zdobyć poparcie szerszej publiki dla kampanii Feed Me Better. Rząd Tony'ego Blaira sypnął groszem. Lepiej odżywionym dzieciom zmierzono wyniki w nauce – też były lepsze. Ale fasola z puszki i pizza nie zniknęły na dobre z brytyjskiego menu. Dziś jest jeszcze gorzej. Wielka Brytania to numer jeden w Europie pod względem otyłości wśród młodzieży. Do 2024 r. czterech na dziesięciu absolwentów szkół podstawowych będzie żyć z nadwagą. Co piąty młody Anglik choruje na wątrobę. Nic dziwnego, skoro zaledwie co szósty Brytyjczyk rozumie treść etykiety na produktach żywnościowych.

Od początku pandemii koronawirusa wiele osób zadawało sobie pytanie, czy nie chodząc do szkoły, dzieci nie idą spać głodne. Kto mógł, pomagał gromadzić żywność. Marcus Rashford, napastnik Manchester United, zebrał 20 mln funtów na 3 mln posiłków dla najbardziej potrzebujących podczas lockdownów. Rząd podjął decyzję o wydawaniu bonów żywnościowych rodzinom z dziećmi objętymi FSM podczas zamknięcia szkół. Rashford wygrał batalię o przedłużenie programu na sześć tygodni wakacji. 1,3 mln dzieci otrzymywało cotygodniową pomoc w wysokości 15 funtów. To jednorazowa akcja, ostrzegał rząd. Jesienią 2020 r., przed kolejnymi feriami, piłkarz opisał w liście do posłów, jak dorastał w rodzinie, która nie przetrwałaby bez pomocy państwa. Jego mama, pracując na pełny etat i zarabiając minimalną stawkę godzinową, nie mogła zapewnić piątce dzieci ciepłego posiłku każdego dnia. Piłkarzowi udało się zebrać ponad milion podpisów pod petycją wzywającą polityków do rozszerzenia systemu posiłków szkolnych na okres ferii oraz do objęcia pomocą dzieci z rodzin korzystających z Universal Credit.

Rashford umiał zdobyć poparcie 3,5 mln fanów na Twitterze, ale nie udało mu się dotrzeć do konserwatywnych serc – zaledwie sześciu torysów zagłosowało za zmianami, które proponował. Rishi Sunak, obecnie kanclerz skarbu i kandydat na premiera, był przeciw. Liz Truss, prawdopodobna następczyni Borisa Johnsona, nie uczestniczyła w głosowaniu. Obecny minister edukacji Brendan Clarke-Smith powiedział wtedy, że program darmowych obiadów to „nacjonalizacja dzieci", a rodzicom, którzy twierdzą, że nie mają pieniędzy na wykarmienie swoich pociech, nie należy wierzyć. Jego nominację w lipcu 2022 r., po fali rezygnacji w rządzie Johnsona, posłowie opozycji nazwali „kompletną kompromitacją".

W styczniu 2021 r. media obiegło zdjęcie paczki żywnościowej, którą otrzymała kobieta występująca pod pseudonimem „Roadside Mum". Rashford wykorzystał okazję, by kolejny raz przypomnieć rządzącym, że mają na sumieniu niedożywione dzieci. Dwie marchewki, trzy jabłka, dwa ziemniaki, puszka fasoli, paczka chleba tostowego, kilka plastrów sera, dwa banany, jeden mały pomidor, porcja makaronu (przepakowana ręcznie do plastikowej torebki – w okresie obostrzeń!), trzy tubki pasty owocowej i dwie paczki orzeszków w czekoladzie – według Roadside Mum za tygodniową rację żywnościową, która kosztowała podatnika 30 funtów, ona zapłaciłaby 5,20 funta. Minister edukacji bił się w piersi, firma przygotowująca paczki również. Szef Partii Pracy sir Keir Starmer pokazał podczas parlamentarnej sesji pytań do premiera więcej zdjęć „paczek hańby".

Zaledwie co szósty **Brytyjczyk** rozumie treść etykiety na produktach żywnościowych.

FOT. REUTERS/FORUM

eprasa.pl f8afa2b15b

Owen Jones, dziennikarz i autor bestsellerowej książki „Chavs. The Demonization of the Working Class" (Dresiarze. Demonizacja klasy pracującej), napisał, że w porównaniu z Rashfordem Keir Starmer jako lider opozycji nie zrobił dla dzieci nic.

Jesteś tym, co jesz

W Wielkiej Brytanii thatcherystów „majątek oraz stawanie się bogatym były gloryfikowane", pisze Jones. „Konserwatyści promowali ideę bogacenia się ciężką pracą i talentem, co implikowało pewną ułomność tych, którzy majętni nie byli" (tłum. ZM). Dalej Jones przypomina, że Thatcher ostro broniła cięć w polityce społecznej, powtarzając, że „bieda nie jest zjawiskiem materialnym, lecz behawioralnym". Darmowe obiady po dziś dzień służą do stygmatyzacji społecznej w duchu tamtych czasów. Ale jest też prawdą, że beneficjenci systemu socjalnego potrafią liczyć i nierzadko dochodzą do wniosku, że nie warto więcej pracować. Samotny rodzic, zatrudniony na niepełnym etacie, po przepracowaniu 17 godzin tygodniowo zamiast 15 traci prawo do ubiegania się o darmowe posiłki dla swoich dzieci. Obiady domowe kosztują więcej, niż wynosi dodatkowy dochód wypracowany w ciągu dwóch godzin tygodniowo. Z drugiej strony aż 11% uprawnionych do FSM nie składa wniosku. Albo nie rozumieją, jak działa system, albo nie chcą narażać dzieci na przyjmowanie hańbiącej pomocy.

Dzieci korzystające z FSM jako osoby już dorosłe zarabiają średnio ok. 6 tys. funtów mniej niż pozostali absolwenci szkół publicznych, jak podaje Office for National Statistics. 30-latek z dyplomem wyższej uczelni, były beneficjent FSM, zarabia ok. 25 tys. funtów rocznie, tj. prawie 20 tys. mniej niż podobnie wykształcony absolwent szkoły prywatnej. Wyższe wykształcenie zdobywa co szósty absolwent szkoły publicznej napiętnowany przez FSM, ale już co trzeci kolega ze szkolnej ławy bez stygmatu FSM i co drugi szczęściarz ze szkoły prywatnej. Niezależnie od wykształcenia połowa studentów z FSM zarabia ok. 30. roku życia mniej niż 17 tys. funtów, czyli połowę tego, co absolwenci szkół prywatnych. Pełny żołądek nie pomaga usuwać barier społecznych, których nie brakuje w brytyjskim społeczeństwie.

Kanapka zamiast zupy

Tego lata, jak donosi BBC, w wielu miejscach w Anglii obniżono wartość bonów żywnościowych. Prawie połowa z 97 samorządów, które odpowiedziały na kwestionariusz, przyznała się do zredukowania wartości bonów lub zaprzestania ich wydawania. Jako powód samorządowcy podają politykę rządu. Z wynoszącego 421 mln funtów Household Support Fund dwie trzecie trafi do rodzin z dziećmi, reszta – według nowych zasad – do seniorów. Wina gminy, jeżeli nie umie sobie radzić w czasach kryzysu. BBC podaje przykład Southampton, gdzie zamiast 90 funtów, jak w zeszłym roku, rodziny otrzymały 30-funtowy bon żywnościowy na całe lato na dziecko. Tylko siedem z tych 97 gmin podniosło wartość bonów, by dogonić inflację.

W Szwecji na każdego ucznia podstawówki czeka bufet dań, **w Norwegii** – owoce i mleko.

Rząd chce zastąpić bony, kojarzone z rozdawnictwem gotówki, letnimi programami dla dzieci i młodzieży, oferującymi jeden ciepły posiłek w ciągu dnia i wartymi 200 mln funtów. W niektórych gminach do udziału w nich zaproszono dzieci z rodzin z wyższym dochodem, z kolei biedniejsi rodzice nie mogli sobie pozwolić na dowiezienie pociech na zajęcia, które nie zawsze odbywają się lokalnie. W zeszłym roku około pół miliona dzieci wzięło udział w takich półkoloniach, czyli co trzeci uprawniony do FSM. Nie wiadomo, co działo się z resztą.

Brexit, wojna, inflacja nie sprzyjają poprawie sytuacji dzieci. Niektóre szkoły zgłaszają, że będą zamieniać ciepłe posiłki na kanapki albo zmniejszać porcje. W skrajnych sytuacjach nawet skracać tydzień nauki do trzech lub czterech dni ze względu na rosnące koszty energii (prognozy inflacyjne dla UK oscylują wokół 15-18%). Rząd ostrzega dyrektorów placówek oświatowych przed takimi akcjami. Niedawno wydał wytyczne, zgodnie z którymi wszystkie szkoły finansowane przez państwo w Anglii powinny być otwarte przez co najmniej 32,5 godziny tygodniowo od września 2023 r. A nauczyciele też czekają na obiecane podwyżki. Tak samo muszą jeść i dojeżdżać do pracy.

Rośnie popyt na darmowe mundurki. Ubrania używane rozchodzą się z magazynów jak ciepłe bułeczki. Roczny koszt odzieży szkolnej dla ucznia w Wielkiej Brytanii to co najmniej 300 funtów. Rodzice za rozsądny uważają wydatek trzy razy niższy. Komu zabraknie na jedzenie, będzie mógł wziąć towar na kreskę – Iceland, dostawca mrożonej żywności, ostrzega, że w tym roku może głodować nawet 8,4 mln ludzi, w związku z czym klienci supermarketów dostaną nieoprocentowane pożyczki na zakupy. System przetestowano w północnej Anglii i Walii. Po wdrożeniu skorzystało z niego od razu 500 Walijczyków. Oczywiście takich, których stać na zwrot pożyczki.

Estonię stać na darmowe posiłki w szkołach podstawowych i średnich, **Finlandię** również.

Dzieci i robotnicy w UK głosu nie mają, a Partia Pracy Keira Starmera wcale nie obiecuje, że im go przywróci. Jeśli w ogóle wygra wybory, bo do 2025 r. jej świetne obecnie notowania będą się zmieniać. Tymczasem do premierostwa szykuje się Liz Truss, nieudana podróbka Margaret Thatcher.

Zuzanna Muszyńska
z.muszynska@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl f8afa2b15b

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Instadziad wędrowny

Pisałem dziennik przez niemal całe dorosłe życie, nade wszystko celem zatrzymania w czasie chwil ulotnych, a jako że w genotypie mam zapisanego alzheimera, przyjdzie czas, że własny raptularz będę czytał jak nieznaną powieść przygodową, codziennie nową i zaskakującą. Tymczasem w erze social mediów zapisywanie swojej biografii stało się powszechną czynnością, dla młodszych generacji wprost niezbędną do życia, tyle że temu zapisowi rzadko już towarzyszy słowo. I oto samemu przyłapałem się na tym, że z biegiem lat moje fejsbukowe posty zmieniły proporcje – coraz bardziej redukując tekst, eksponowałem wymowność obrazów. Dziennik pisany służy mi teraz do przepoczwarzania wydarzeń w literaturę, ku pamięci zaś zachowuję fotografie czynione naprędce i spontanicznie, a nawet instynktownie. Wiercę się, nosi mnie, nieliczne próby wejścia w rolę domatora zawsze prowadziły mnie do życiowych katastrof, tym bardziej błogosławię sobie ten moment w historii ewolucji, który całej cywilizowanej ludzkości dał możliwość tworzenia fotosztambuchów na bieżąco.

Z boomerskim opóźnieniem wkroczyłem więc do ikonosfery nowej codzienności i założyłem sobie Instagrama. Dorosłe dzieci jeszcze w nim żyją, młodsze już wolą TikToka, któż zatem może wiedzieć, czy i na nim nie skończę, tym bardziej że krótkich filmików dokumentujących np. moje pogańsko-franciszkańskie pogwarki z dziką zwierzyną nie zastąpią nieruchome obrazy. Zmierza to wszystko niechybnie do aplikacji, które pozwolą transmitować każde życie na żywo i w całości, być może jeszcze tego dożyję i na starość będę sobie, leżąc w barłogu, oglądał ludzkość w dowolnym miejscu przy wybranej czynności. Jeśli jednak wszyscy będą chcieli żyć cudzym życiem, zapętli się to w jakimś wszechstuporze – nikt żył już nie będzie, tylko oglądał innych oglądających.

Tymczasem jednak chodzę, jakbym się bał, że ziemia przestanie się kręcić, jeśli jej nie będę napędzał nogami, chodzę i patrzę, a tym, co wypstrykane, dzielę się w sieci. Zwołuję niniejszym wszystkich moich czytelników – jestem instadziadem wędrownym, zajrzyjcie, a będzie wam dane to, czego nie znajdziecie w piśmie. Ani w sieci nigdzie indziej. Na przykład witraże mojego ojca z kościoła Matki Boskiej Frydeckiej w Trzycatku, opodal trójstyku beskidzkiego. Z okazji trzeciej jego rocznicy śmierci postanowiłem odwiedzić najodleglejsze z prac, które po sobie zostawił w terenie. Tata zaczynał jako młody gniewny grafik po śląskim wydziale krakowskiej ASP, w latach 70. zafascynowany miastem i maszyną (mas od urodzenia unikał) wystawiał abstrakcje industrialne i żył z plakatów, po stanie wojennym zwrócił się ku sztuce sakralnej. Wychowany w tradycyjnej śląskiej bogobojności nagle mógł ją obnosić jako rodzaj konspiracyjnej odwagi, a projekty ołtarzy i witraży dawały mu samopoczucie aktywnego antyreżimowca. Po ‘89 przy Kościele została kasa, więc i ojciec przy nim pozostał, choć jego projekty zwykle nie były stricte religijne. Nawet explicite potraktowany ołtarz kościoła Ducha Świętego w rodzinnym Chorzowie zawsze sprawiał na mnie wrażenie pracy w głębi ducha surrealistycznej – wierni zamiast do klasycznego krucyfiksu modlą się tam do wielkiego, białego ptasiora ze skrzydłami rozłożonymi jak na krzyżu; ukrzyżowany gołąb to już misterium zgoła bez mała gombrowiczowskie.

Tym, co wypstrykane, dzielę się w sieci, zajrzyjcie, a będzie wam dane. Na przykład witraże mojego ojca z kościoła Matki Boskiej Frydeckiej w Trzycatku.

Witraże ojciec pozwalał sobie proponować abstrakcyjne, o ile w zamówieniu nie zastrzeżono inaczej – jak w przypadku jego beskidzkiej realizacji. Rozkochany w górach, ożywił przestrzeń kościelną motywami roślinnymi, a w ołtarzu wprost wymalował sążnisty landszaft z motywem góralskiej watry u stóp figurki Matki Boskiej, co może sprawiać wrażenie, jakby z dzieciątkiem na rękach płonęła na stosie – ot, kolejny figiel taty. Wzrusza mnie to, a nawet do mnie przemawia. Za życia stary lubił do mnie przemawiać, ale pozostawałem niewzruszony. Tak to już bywa, że czasem łatwiej się dogadać pośmiertnie.

■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl f8afa2b15b

Rolnicy na równinie Padu stoją w obliczu klęski

Susza we Włoszech zagraża risottu

Tomasz Skowronek

Zwiędłe łodygi i chrzęszcząca pod stopami ziemia. „Ani jedno ziarnko ryżu nie wyjdzie", ubolewa Fabrizio Rizzotti, rolnik z Vespolate. W samym środku tego upalnego lata w Europie niewiele miejsc bardziej odczuło suszę niż północne Włochy. W ekonomicznej i modowej stolicy kraju, Mediolanie, od początku lipca do końca sierpnia obowiązuje zakaz podlewania zieleni na podwórkach czy mycia samochodów. Brak wody najmocniej jednak uderza we włoskie rolnictwo – ekstremalna susza wywołała stan wyjątkowy i spowodowała, że wielkie rolnicze równiny regionu znalazły się w tarapatach. Zagrożone są zielone pola ryżowe typowe dla tych terenów, a więc i ryż do risotto.

„Mniej ryżu oznacza droższe risotto", mówi Rizzotti, który pasjonuje się jedzeniem w takim samym stopniu, jak dba o swoje uprawy. Nie tylko jego nazwisko przywodzi na myśl to danie. Nawet swojego psa nazwał Risotto. Sprzedaje ryż restauratorom, którzy podkreślają, że ten produkt pochodzi z upraw rolnika z Vespolate.

Przez większość życia Rizzotti jadał risotto kilka razy w tygodniu: najpierw przyrządzane według receptur matki, potem żonine. „Niedługo moje pole ryżowe będzie martwe. Jeszcze trochę, a włoski ryż postrzegany będzie jako rzadki towar luksusowy", przewiduje Fabrizio. W zeszłym roku gospodarstwo Rizzottiego wyprodukowało 350 ton ryżu. W tym roku będzie się uważał za szczęściarza, jeśli osiągnie 150 ton.

Równie dramatyczna jest sytuacja na polach ryżowych w Pawii, ok. 35 km na południe od Mediolanu. „Pole jest tak suche, że mogę jeździć po nim motocyklem. W normalnych warunkach byłoby całkowicie zalane. O tej porze roku rośliny sięgałyby mi po kolana – zamartwia się Dario Vicini. – Sytuacja jest rozpaczliwa, żeby nie powiedzieć apokaliptyczna". Vicini określa straty ekonomiczne jako „niepoliczalne... miliony milionów euro". Istnieje ryzyko, że wiele firm zamknie się lub zbankrutuje. „Ostatni porządny deszcz spadł tu w grudniu. To wina zmian klimatycznych", twierdzi 58-letni rolnik, który szacuje, że jego dochody spadną o 80-90%.

Włoski związek rolniczy Coldiretti spodziewa się, że plony będą o 30% niższe niż rok temu.

Poziom wód Padu – najdłuższej włoskiej rzeki, której dorzecze stanowi szeroką, żyzną równinę idealną do uprawy ryżu – jest najniższy od 1952 r. Północne Włochy cierpią z powodu ekstremalnych temperatur i największej suszy od ponad 70 lat. Szerokie odcinki Padu zamieniły się w piaszczyste plaże. Słynne jeziora, w tym Maggiore i Como, również wysychają. Podobnie jak wiele kanałów zasilających pola uprawne. Długotrwałych opadów deszczu nie odnotowano nawet od listopada zeszłego roku. Przyczyna tej suszy nie jest tajemnicą – w sezonie zimowym było mało śniegu, potem na początku lata uderzyła fala upałów z niespotykanymi temperaturami. W Piemoncie przez ponad sto dni nie spadła kropla deszczu.

Włochy są największym producentem ryżu w Unii Europejskiej.

„Te ekstremalne zjawiska występują coraz częściej – mówi Barbara di Rollo, starszy doradca ds. polityki w zakresie zasobów glebowych i wodnych w Konfederacji Rolników Włoskich. – To coś, o czym wiedzieliśmy, że kiedyś nadejdzie, i niestety musimy teraz przez to jakoś przejść".

FOT. AP/EAST NEWS

eprasa.pl f8afa2b15b

Elisa Moretto na swoim wyschniętym polu ryżowym, 29 lipca 2022 r.

Ale brak śniegu i późniejsze skrajnie wysokie temperatury spowodowane zmianami klimatu to niejedyne przyczyny suszy. Włoska sieć wodociągowa jest przestarzała i nieefektywna. „Rury są nieszczelne i źle konserwowane, a woda wykorzystywana w rolnictwie często nie jest poddawana recyklingowi – tłumaczy Rossella Muroni, wiceprzewodnicząca włoskiej komisji ochrony środowiska. – W rezultacie tracimy ok. 40% wody transportowanej z jednego miejsca do drugiego, a w dodatku zbieramy tylko ok. 10% wody deszczowej. Konieczne jest inwestowanie w średnioterminowe projekty infrastrukturalne".

Najbardziej dotknięte suszą pola uprawne znajdują się w Lombardii i Piemoncie, które łącznie produkują ok. 90% włoskiego ryżu. To cios także w eksport, bo co roku 60% z 1,5 mln ton ryżu jest sprzedawane za granicę. Wśród ponad 200 odmian znajdują się słynne gatunki: Carnaroli, Arborio, Roma i Baldo, niezbędne do przygotowania typowego risotta.

Spożycie ryżu wzrosło w 2020 r., kiedy koronawirus zmusił miliony Włochów do pozostania i gotowania w domu. Kraj jest największym producentem ryżu w Unii Europejskiej – odpowiada za ponad połowę jego całkowitej produkcji. Teraz przez suszę ceny włoskiego ryżu na ukochane risotto mogą tak podskoczyć, że będzie ono uchodzić za danie wykwintne. Według niektórych importerów cena może wzrosnąć o ponad 50%, podobnie jak pomidorów z tego regionu. Od 2019 r. zresztą wzrosła ponaddwukrotnie.

Wyspecjalizowani importerzy spodziewający się podwyżek rozważają poszukiwanie nowych źródeł. „Rolnicy twierdzą, że w Alpach nie ma śniegu, a zwykle jest, rzeki i jeziora wysychają", ubolewa w brytyjskim dzienniku „The Guardian" Jason Bull, dyrektor generalny firmy Eurostar Commodities, która importuje ryż i pomidory, i dodaje: „Nie sądzę, abyśmy przywieźli dużo produktów z Włoch, a to, co dostaniemy, będzie bardzo drogie".

Upał i brak opadów przysparzają problemów olbrzymiemu sektorowi przemysłu rolno-spożywczego w Piemoncie, Lombardii, Emilii-Romanii i Veneto. Produkcja oliwy z oliwek również może spaść o 20-30%. A że spadek wydajności i produkcji prowadzą do wzrostu cen, oliwa w ciągu ostatnich dwóch lat podrożała już o 28%. Włochy są także jednym z największych eksporterów kukurydzy. A w wyniku suszy już ucierpiały pola na wybrzeżu Adriatyku. Zaopatrzenie własnego rynku, a co dopiero rynków światowych, dla kraju liczącego ok. 60 mln mieszkańców staje się coraz trudniejsze.

Miejscowość Porto Tolle znana jest z hodowli małży w lagunie. Są one zwykle podawane z mocnym białym winem i sosem pomidorowym. Ale przyszłość i tego specjału może stanąć pod znakiem zapytania. Rosnąca temperatura wody powoduje spadek zawartości tlenu. Mniej tlenu oznacza więcej makroalg, co dodatkowo obniża poziom tlenu. To dalekie od idealnych warunki do hodowli mięczaków. W efekcie zasoby małży i ryb hodowlanych szybko maleją.

Tygodnik „L'Essenziale" alarmuje, że zagrożona globalnym ociepleniem produkcja wina we Włoszech może spaść o 50% do 2050 r. Skutki wzrostu temperatur są już widoczne chociażby w winnicach z okolic Riva del Garda, mających problem z nawadnianiem upraw.

Część rolników próbuje dostosowywać się do nowych warunków pogodowych. Fabrizio Rizzotti w rozmowie z dziennikarzami „The Washington Post" stwierdził, że nie zaciąga pożyczek. W dobrych czasach zgromadził oszczędności i poradzi sobie z jednym trudnym rokiem, ale nie z serią ciężkich lat. Ostatnio zaczął sadzić trochę soi, która jest mniej zależna od wody niż ryż. Nie wyklucza, że 50% swojej ziemi przeznaczy na soję i pszenicę. „To sposób na zmniejszenie ryzyka", mówi. Takie podejście prezentuje coraz więcej włoskich rolników, skupiając się na uprawach bardziej opłacalnych – jak kiwi.

„Włochy były kiedyś spichlerzem Europy, teraz jesteśmy wielkim ogrodem warzywnym", powiedział Mario Tozzi z Narodowego Instytutu Badawczego CNR. Takie podejście oznaczałoby mniej ryżu pochodzącego z włoskich upraw i tym samym mniej risotta. ■

W nowym numerze tygodnika „NIE":
Wielki test z wiedzy o historii i teraźniejszości.

eprasa.pl f8afa2b15b

Dionisios Sturis

Księga wyborów

Oby za rok już w ojczyźnie! – przez lata uchodźcy z Grecji powtarzali te słowa

Z repatriacją (gr. *epanapatrismos*) było jak z marzeniem. Uchodźca czekał i żył nadzieją, że marzenie w końcu się spełni. Powtarzał, że niczego więcej nie chce. Ale gdy spełnienie stawało się bliskie, zaczynał się wahać. Czy aby na pewno był ze sobą szczery? Może wmówił sobie cudze marzenie? A nawet jeśli swoje, nawet jeśli był szczery, co począć dalej?

Kie tu chronu stin patrida – oby za rok już w ojczyźnie! Przez lata uchodźcy z Grecji powtarzali te słowa do znudzenia. Niczego innego sobie nie życzyli, gdy jednak repatriacja stała się możliwa, gdy „Dimokratis" obwieszczał o pierwszych powrotach na stałe, nie wszystkim się śpieszyło, nie wszyscy uchodźcy chcieli wyjeżdżać od razu. (…)

Co zastaną w rodzinnej wiosce? Czy po blisko 30 latach rozpoznają swój kraj? Jak będą przyjęci? Czy ktoś o nich jeszcze pamięta? Z czego będą żyli? Co z grobami bliskich, którzy umarli w Polsce? Co z polskimi emeryturami, rentami, zapisami na turnusy w uzdrowiskach? Co z polskimi przyjaciółmi? Może jednak warto zaczekać? Może jeszcze rok? Dwa? Trzy? Aż wszystko się wyjaśni, aż ci, co wyjechali, przyślą list: „Jest dobrze, przyjeżdżajcie". Może cztery lata, może pięć? Niektórym ostateczna decyzja zajmie prawie dekadę.

W tym czasie uchodźcy przestali już się bać wizyt listonosza, który przynosił „Dimokratisa". Przeciwnie – wyczekiwali na nie, bo gazeta stanowiła dla nich główne źródło informacji o powrotach i kwestiach politycznych, choć ukazywała się już tylko co miesiąc i była mocno odchudzona. I tak w 1983 r. „Dimokratis" powiadomił o sprawie przełomowej, która miała przekonać ostatnich nieprzekonanych.

Oto premier Andreas Papandreu, szef socjalistycznej partii PASOK, ten, na którego lata temu polowała junta, w bożonarodzeniowym orędziu do narodu, transmitowanym w telewizji, ogłosił amnestię dla dawnych partyzantów ELAS i DSE oraz ich rodzin. Nareszcie! Repatriacja stawała się coraz łatwiejsza. (…)

Dwa lata później, w 1985 r., „Dimokratis" znów przynosił pomyślne informacje: rządy Polski i Grecji się dogadały i podpisały umowę regulującą kwestię emerytur. Warszawa przelała na konto w Atenach 14,5 mln dol., na wypracowane w Polsce świadczenia dla byłych uchodźców. W latach 1974-1985 wielkie marzenie o powrocie do Grecji zrealizowało 5,5 tys. uchodźców. Około 4 tys. nie skorzystało z możliwości. Postanowili, że zostają w Polsce. (…)

Jurek Arabatzis

Jorgos Arabatzis, zwany przez kolegów Jurkiem lub Arabem, rozmyśla, czyby nie wysłać listu do polskiego prezydenta, czyby go nie poprosić o powtórne nadanie polskiego obywatelstwa. To dla niego ważne, choć do niczego praktycznie niepotrzebne. Ma 65 lat i widoki na przyzwoitą grecką emeryturę, mieszka z żoną w cichej dzielnicy Aten. Po prostu czuje się Grekiem i Polakiem jednocześnie i chciałby mieć na to oficjalny dowód.

– Nasza wnuczka ma cztery lata i uwielbia żurek. Gdyby nie ona, kto wie, może byśmy się spakowali i wrócili do Polski. Moja żona Teodora, czyli Dorotka, nie miałaby raczej nic przeciwko temu. To ona namawiała mnie, byśmy nie wyjeżdżali do Grecji, byśmy lepiej zostali w Polsce, w naszym Wrocławiu. Ech, pewnie już nie wrócimy, za starzy jesteśmy oboje. Ale przynajmniej wnusię do Polski zabiorę – na wycieczkę. Niech wie, że ma dwie ojczyzny. Pokazałbym jej Świdnicę i Wrocław, i polskie góry – bo za górami tęsknię najbardziej. Za Tatrami, Karkonoszami. Za ukochaną Ślężą. (…) W Polsce byliśmy świetnie urządzeni. Choć i to wymagało czasu. Rodzice – Stamatis i Dimitra – pochodzili z tych samych okolic: z pobliskich wiosek w północno-wschodniej Grecji, niedaleko tureckiej granicy. Ojciec wstąpił do partyzantki z przekonania, mamę wzięli siłą, miała 19 lat. Walczyli też moi wujkowie i ciotki oraz dziadek. Obie rodziny były lewicowe oprócz dziadkowego brata, który był duchownym, popem w czarnej sutannie, z długą brodą. (…) Dziadek się denerwował, że jego najbliższy krewny nie angażuje się jak on, że nie walczy o dobrą sprawę, że jest mu w zasadzie bliżej do strony przeciwnej. Odgrażał się, że jak go po wojnie dorwie, to mu tę jego brodę nożem urżnie. Nie zdążył, bo partyzanci zakatowali księdza na śmierć. Tak wyglądała wojna domowa – podzielone rodziny i największe z możliwych dramaty.

Moja mama mentalnie nigdy nie opuściła swojej greckiej wioski.

Po zakończeniu walk wszyscy, którzy działali w naszym regionie, przeszli przez granicę do Bułgarii. Moi rodzice właśnie tam się poznali i pobrali. Jeszcze przed wyjazdem do Polski. Do Zgorzelca trafili w 1950 r. Wkrótce na świat przyszliśmy my – moja siostra Stamatula i ja. Przenieśliśmy się do Świdnicy – razem z dziadkiem. Dostaliśmy mieszkanie przy ulicy Spółdzielczej, w samym centrum. (…) Ojciec, wykwalifikowany stolarz, dostał pracę w Świdnickiej Fabryce Wagonów, przy produkcji tramwajów. Mama w tej samej fabryce sprzątała.

Dziadek, który był już stary, spędzał czas w greckiej świetlicy wśród

eprasa.pl f8afa2b15b

Grupa robotników greckich w Pafawagu.

innych weteranów i wojennych inwalidów. Sporo nas tam było, Greków i Macedończyków, prawie 400 osób. Dziadek opowiadał o dawnych czasach, jak walczył z Turkami. Pewnego razu zapytany, co sądzi o Polakach jako narodzie, odparł: „Polacy to dobrzy ludzie. Pracowici, uczciwi. Tylko nic a nic niewykształceni". „Jak to? Przecież mają szkoły, uniwersytety…" „E tam, co to za wykształcenie. Widzieliście choćby jednego Polaka, który by mówił po grecku?"

Dziadek był przekonany, że Grecy są najlepsi na świecie. Był dumny, że jest Grekiem, i uważał się za niezwykle mądrego, choć nie umiał czytać ani pisać. (…)

Wkrótce przenieśliśmy się na przedmieścia Świdnicy. Mieliśmy domek z ogródkiem, krowę, cielaka, barana, dwa prosiaki. Mama, która oporządzała nasze niewielkie gospodarstwo, poczuła się niemal jak u siebie, jak w rodzinnej wiosce. Była na rencie, ale pracowała dodatkowo w spółdzielni inwalidów jako szatniarka. Ojciec z kolei poszedł na mistrzowski kurs stolarski. Gdy w pracy pokazał dyplom, dostał podwyżkę – zresztą już wcześniej dużo zarabiał, bo był bardzo pracowity. Miał nawet odznakę przodownika pracy. (…)

W Świdnicy działała grecka szkoła, skończyłem w niej trzy klasy. Później chodziłem już do polskiej podstawówki – i bardzo dobrze. Bez tego nie byłoby integracji. (…) Wychowywałem się w dwóch kulturach i dwóch językach. (…) Furtek między dwoma światami, polskim i greckim, było wiele. Jedną z nich przekraczałem za każdym razem, gdy wchodziłem do domu lub z niego wychodziłem. Codziennie. Przez wiele lat. I czułem to bardzo wyraźnie – to przejście przez niewidzialną granicę. W domu była Grecja, a ściślej – grecka prowincja, grecka wieś z jej konserwatyzmem, z surowymi regułami, z jasno określonym miejscem kobiety i wyraźną dominacją mężczyzny. Zwłaszcza moja mama mentalnie nigdy nie opuściła swojej greckiej wioski. Przejechała 2 tys. km, a jakby się z miejsca nie ruszyła. Chciała nas chować na starą modłę, według jedynego modelu, który znała z przeszłości. Gotowała niemal wyłącznie greckie potrawy, choć przecież nie zawsze było łatwo o niezbędne produkty. Mama nadal żyła w Grecji i codziennie nas do niej zapraszała. Z kolei poza domem była Polska, czyli Europa – większa wolność, otwartość, możliwości, jak nam się wtedy zdawało, nieograniczone. (…)

Po maturze zdawałem na filozofię na Uniwersytecie Wrocławskim. Nie dostałem się i poszedłem do studium mieszkaniowego. (…) Kiedy przeniosłem się ze Świdnicy do Wrocławia, zacząłem działać w Związku Uchodźców Politycznych z Grecji im. Nikosa Belojanisa. Dostałem etat i zajmowałem się młodzieżą. Organizowaliśmy kursy, seminaria, imprezy sportowe i kulturalne. Żeby być razem, zadbać o naszą greckość, żeby nawzajem sobie pomagać. Za tę działalność miałem dostać państwowe odznaczenie – Brązowy Krzyż Zasługi. Henryk Jabłoński, przewodniczący Rady Państwa, złożył już nawet podpis pod odpowiednią decyzją. Ale decyzję ostatecznie cofnięto. Powodem była odmowa współpracy z polskimi służbami. (…)

W 1982 r. oboje z Dorotką dostaliśmy 30-dniową wizę i pojechaliśmy do Grecji na wakacje. Kawał kraju zjeździliśmy i nie mogę powiedzieć, by nam się szczególnie podobało. To był jednak inny system. Nie umieliśmy się odnaleźć. Wydawało się nam, że życie ludzi, których poznawaliśmy, sprowadza się do biesiadowania, do tańców i picia. A my mieliśmy w głowach zupełnie inny obraz Greków – obraz naszych skromnych, ciężko pracujących rodziców, którzy nigdy nie szastali pieniędzmi. Komuniści kontra kapitaliści. Socjalistyczne braki kontra pełne sklepowe półki i konsumpcjonizm. Uznaliśmy, że wolimy to pierwsze.

Tak się jednak złożyło, że wszyscy koledzy ojca i mamy ze Świdnicy albo już wyjechali do Grecji na stałe, albo szykowali się do wyjazdu. Rodzice czuli się coraz bardziej samotni. W końcu też zaczęli mówić o powrocie. Podobnie jak moja siostra z greckim mężem. Nie miałem wyjścia. (…)

W końcu wyjechaliśmy. Był rok 1985. Przyjeżdżamy do Aten. Idę do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i składam wniosek o wydanie dowodu osobistego. Urzędniczka szuka

eprasa.pl f8afa2b15b

w tych swoich archiwach i szuka. W końcu mówi, że ja dowodu nie dostanę, bo mojemu ojcu zaocznie odebrano greckie obywatelstwo w 1956 r. „Tak – odpowiadam – wiem. Rządziła prawica i wszyscy ludzie lewicy mieli przechlapane, nawet jeśli mieszkali w dalekiej Polsce. Ale niech pani zważy, że ja się urodziłem pięć lat wcześniej, zanim wyrzekliście się mojego ojca". „Owszem, ale panu również władze odebrały greckie obywatelstwo w roku 1971. Za działalność komunistyczną". „W 1971?", pytam. „Czyli wówczas, gdy cała Europa protestowała przeciwko juncie rządzącej w Atenach i gdy ja także krzyczałem: »Precz z juntą!«? Pięknie się z nami obchodzicie".

To nie była, oczywiście, wina tej urzędniczki. Takie decyzje podejmowały wcześniejsze rządy, które stosowały różnorodne represje przeciwko dawnym partyzantom i członkom ich rodzin – pozbawienie kogoś obywatelstwa należało do najlżejszej formy kary. Tysiące osób wylądowały w więzieniach, gdzie były bite i torturowane. Wieloletnia propaganda spowodowała, że komunizm kojarzy się dziś w Grecji jak najgorzej. Komunista to niemal synonim zdrajcy ojczyzny. Odmawia się nam prawa do bycia patriotami. (…)

Trzy lata temu osiągnąłem wiek emerytalny. Złożyłem papiery i nadal czekam na dokumenty. Trzy lata! Gdy się w końcu doczekam i dostanę wyrównanie, wyprawię się do Polski. I zabiorę ze sobą wnuczkę.

Eleni

Ze starego zdjęcia wiszącego w poznańskim domu Eleni spoglądają na mnie nowożeńcy Despina i Perykles – rodzice piosenkarki.

– Piękni, prawda? – pyta Eleni. – Poznali się w małej miejscowości Piperia, niedaleko Edessy, na północy Grecji. Oboje zaś urodzili się na terenie dzisiejszej Turcji, skąd jako małe dzieci musieli uciekać, gdy w 1923 r. zarządzono przymusową wymianę ludności. Mama i ojciec, razem z krewnymi, przeszli wtedy na piechotę kilkaset kilometrów. Do Piperii trafili z jednym tobołkiem. Dla obojga to było pierwsze uchodźcze doświadczenie.

Uchodźczynie z Grecji z dziećmi urodzonymi w szpitalu w Dziwnowie.

Drugie będzie związane z Polską i potrwa pół życia. Ale najpierw jest rok 1933 i ślub. Młoda Despina, wyuczona na krawcową, ma białą suknię z koronkowym welonem, a przystojny Perykles Milopulos, stolarz – ciemny elegancki garnitur. (…) Trwa huczne wesele z tańcami i śpiewami. Nowożeńcy nie czują jeszcze podmuchów groźnego wiatru historii, który zrywa się już na północy Europy i w końcu dotrze także do nich, na głęboką grecką prowincję.

– Na początku wojny ojciec walczył w regularnej armii i przeganiał z Grecji włoskich faszystów – wspomina Eleni. – A gdy kilka lat później wybuchła wojna domowa, dołączył do komunistycznej partyzantki. Mama opowiadała, że to były straszne czasy. Bieda, głód, choroby, wieczny niepokój, czy do domu nie wpadną żołnierze armii rządowej i nie zaczną wypytywać o ojca, czy nie zemszczą się za jego zaangażowanie po stronie partyzantów. Do tego umarło jej dwoje dzieci. (…) Żeby uratować troje pozostałych dzieci, w 1948 r. matka wsadza je w pociąg i wysyła za granicę. Dwie siostry i brat Eleni trafili do Polski. Później przyszedł 1949 r., a wraz z nim wojenna porażka i uchodźczy exodus.

– Rodzice, uciekając z Grecji przez Jugosławię, trafili do Czechosłowacji. Razem z nimi moja babcia Stratula i dwóch małych braci. Kolejna siostra urodziła się już w Jesioniku. Mama dostała tam pracę w żłobku, gdzie mogła zabierać również własne dzieci. A po pracy szyła, bo udało jej się uskładać na maszynę. Ojciec w tym czasie leczył się z ran, które odniósł podczas wojny. Dopiero po trzech latach życia wśród Czechów rodzice dostali zgodę na wyjazd do Polski – chcieli się połączyć ze starszymi dziećmi, których nie widzieli od czterech lat, a które mieszkały niedaleko Szczecina.

Do szkoły w POW w Policach uczęszczało troje Milopulosów. – Chodź, pokażę ci starego singera, którego matka przywiozła z Czechosłowacji – mówi Eleni. Wchodzimy na piętro. Maszyna ma lśniący drewniany blat i żeliwne nogi. – To dla mnie cenna pamiątka. Gdy mieszkaliśmy w Bielawie, mama często jej używała – szyła dla nas, dla polskich sąsiadek z bloku, dla ich dzieci.

W tym niewielkim mieście u podnóża Gór Sowich na początku lat 50. zamieszkało ponad 50 greckich rodzin – łącznie prawie 300 osób. Wyróżniali się ciemniejszymi włosami, językiem, ubiorem. Początkowo żyli nieco na uboczu, nie zadawali się z Polakami – ciągle liczyli na szybki powrót do Grecji.

– Oboje, ojciec i matka, od razu zatrudnili się w zakładach włókienniczych Bielbaw. Pracowali ciężko, na trzy zmiany. (…)

Blok z czerwonej cegły przy ulicy Feliksa Dzierżyńskiego 12 (dziś Jana III

eprasa.pl f8afa2b15b

Sobieskiego) miał dwie klatki i 18 mieszkań. Obok siebie żyły polskie i greckie rodziny. Tak samo wielodzietne, tak samo ubogie. Milopulosowie mieszkali w ósemkę w dwóch pokojach z kuchnią – babcia Stratula, rodzice oraz pięcioro rodzeństwa, w tym najmłodsza Eleni, urodzona już w Bielawie w 1956 r. (…)

Mieszkanie było przytulne i zawsze otwarte. Sąsiadki wpadały spróbować greckiej pity, której zapach wypełniał korytarz, albo tradycyjnych postnych ciastek – kurabiedes, które matka Eleni piekła na święta. W rewanżu koleżanki przynosiły słoik ogórkowej albo przepis na bigos. Tak się rodziły polsko-greckie przyjaźnie.

– Gdy u sąsiadów przychodziło na świat dziecko, ojciec w prezencie zbijał dla malucha łóżeczko, a mama szyła mu śpiochy. Nigdy nie chcieli za to pieniędzy. Może myśleli, że w ten sposób choć trochę się odwdzięczą Polsce i Polakom. Serdecznością i otwartością. Dziś z założenia boimy się uchodźców – mówi Eleni. – Nie chcemy przyjąć najmniejszej grupy, choćby chorych dzieci z Syrii. Gdy w telewizji widzę tych biednych ludzi, którzy uciekają od wojny, robi mi się ciężko na sercu. Przed oczami stają mi moi rodzice i moja babcia. Oni tak samo uciekali. Nas Polska przyjęła. I dzieci, i dorosłych. Nie zakładała z góry, że będziemy stwarzać problemy. A przecież kraj był po wojnie naprawdę w ruinie, nie zdążył się odbudować, ludzie żyli w strasznej biedzie. Może właśnie dlatego Polacy nam pomogli, bo pamiętali, czym jest wojna. Moi rodzice to doceniali i nigdy nie dali powiedzieć o Polsce złego słowa.

Eleni podaje kawę i kroi ciasto. Mówi, że zapamiętany z dzieciństwa sernik jej mamy smakował podobnie.

– Jak na mnie wołali w szkole? Helena albo Lena. Moje rodzeństwo też dostało w gratisie polskie imiona. Andonis (piłkarz Bielawianki) był Antkiem, Christos – Krzysiem, Jorgos – Jurkiem, Stratula – Tulą, Marika – Marią. Żeby było łatwiej. Na początku budziłam ciekawość kolegów i koleżanek, bo taka była ze mnie czarnulka i nie mówiłam zbyt dobrze po polsku. Gdy się podszkoliłam, cała moja egzotyka znikła. Przestałam być Eleni z Grecji, a zostałam Heleną z Bielawy. Okazało się, że nie najgorzej śpiewam, więc wciągnięto mnie do szkolnego zespołu Niezapominajki. (…)

Po maturze, w 1975 r., przyjaciółki zdecydowały się na studia w Zielonej Górze – chciały zostać nauczycielkami muzyki. Eleni nie rozważała kariery piosenkarskiej, choć namawiał ją do tego najstarszy brat Dimos, który całe życie przepracował w łódzkiej wytwórni filmowej Se-ma-for i tworzył animacje do „Reksia" czy „Zaczarowanego ołówka".

– Dimos znał greckich muzyków, w tym braci Dzokasów. Kostasa, który założył słynny grecki zespół Hellen, a później kolejny – Prometheus, oraz Fotisa, który pracował jako akustyk. Gdy się okazało, że nie dostałam się na studia muzyczne, Kostas zaproponował, bym koncertowała z nimi przez lato. Pierwsze zarobione pieniądze posłałam rodzicom. To była wielokrotność ich pensji. Na jesieni miałam zacząć studia informatyczne, ale tak wsiąkłam w to śpiewanie, że śpiewam do dziś. Już dobrych 40 lat.

Jest druga połowa lat 70. Eleni koncertuje z Prometheusem, zdobywa serca fanów, dla których greckie zespoły to powiew inności, świeżości, egzotyki i – o ironio – Zachodu. Bilety na koncerty są rozchwytywane, płyty osiągają niebotyczne nakłady. Po serii występów we Francji tamtejsi krytycy piszą o Eleni „polska Nana Mouskouri".

Dobra passa trwa także w życiu prywatnym. Eleni i Fotis zakochują się, biorą ślub, na świat przychodzi ich jedyna córka Afrodyta (śliczna, młoda dziewczyna zginie 17 lat później, zastrzelona przez zazdrosnego chłopaka). W tym samym czasie w Grecji upada junta czarnych pułkowników, co uchodźcom w Polsce na nowo daje nadzieję na powrót. Pierwsi śmiałkowie od razu pakują walizki, dobytek ładują do wynajętych wagonów i ruszają w drogę na południe. Wśród nich jest rodzeństwo Milopulosów: trzej bracia i trzy siostry. W Polsce zostają tylko najstarszy Dimos, bo ożeniony z Polką, i najmłodsza Eleni – z powodu rodziny i ciągle rozpędzającej się kariery. Po rozpadzie Prometheusa w 1980 r. Eleni występuje jako solistka. Zaproszenia na koncerty przychodzą z całej Polski, ale też z Francji, USA, Kanady czy Australii. Kolejne płyty sprzedają się na pniu – osiem uzyska status złotej, dwie platynowej. Eleni jest gwiazdą „Lata z Radiem", śpiewa w Opolu i Sopocie, w 1984 r. zdobywa tytuł Piosenkarki Roku.

– Rodzice długo nie potrafili podjąć decyzji o powrocie do Grecji. Najpierw martwili się o mnie, najmłodszą córkę, że zostanę w Polsce sama. A później bali się już chyba o siebie – czy mają do czego wracać? Jak im tam będzie? Czy Grecja, którą pamiętają, nadal istnieje? (…)

Milopulosowie wyjeżdżają do Aten dopiero w 1987 r. Po 34 latach spędzonych w Bielawie. Gdy się pakują, płaczą – i oni, i polscy sąsiedzi.

– Jeździłam do nich często do Aten – wspomina Eleni. – Żyli sobie spokojnie, ale oboje bardzo za Polską tęsknili. Ojciec lubił powtarzać, że spędził tu pół życia i zostawił połowę serca. Pod tym względem moje rodzeństwo ma nieco łatwiej, szczególnie dwaj bracia mieszkający w Atenach, którzy ożenili się z Polkami. Oni nigdy nie zerwali kontaktów z Polską, dzwonią do dawnych przyjaciół albo wsiadają w samolot i po dwóch godzinach są na miejscu. (…)

Dopytuję, czy oni oboje nigdy nie żałowali, że nie wyjechali do Grecji.

– Nigdy – twierdzi Eleni. – Gdy jeździmy tam na wakacje, po kilku tygodniach chcę wracać, bo mi się robi tęskno za Polską. Tu jest nasze życie.

Rodzice bardzo za Polską tęsknili. Ojciec lubił powtarzać, że spędził tu pół życia i zostawił połowę serca.

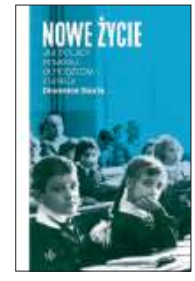

Fragmenty książki Dionisiosa Sturisa *Nowe życie. Jak Polacy pomogli uchodźcom z Grecji*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2022

FOT. ZAKŁAD NARODOWY IM. OSSOLIŃSKICH, IPN

eprasa.pl f8afa2b15b

Aktorzy nieprowincjonalni

Grają w spektaklach, filmach, musicalach, użyczają głosów. Z pochodzenia Polacy, z adresu wiedeńczycy

Beata Dżon-Ozimek
Korespondencja z Wiednia

Mówią o sobie „wieczni freelancerzy z dyplomami". Zastanawiają się, czy są bardziej artystami, czy rzemieślniczymi wyrobnikami.

Kamienica blisko przystanku tramwajowego, w 8. dzielnicy Wiednia. W wysokim mieszkaniu wysmakowane detale, krakowski klimat. Jestem u artystów, aktorów w średnim wieku. Od lat żyją poza Polską.

Agnieszka Salamon zagrała w najnowszym filmie Agnieszki Smoczyńskiej „The Silent Twins"; jej rola niestety wypadła w montażu, za to reżyserka zapamiętała Agnieszkę. Maciej Salamon dostał jedną z głównych ról w filmie austriackim, no ale pandemia, film nie dostał pełnego finansowania. – Czasami tak się dzieje, trudno – mówią.

Mówią o sobie „wieczni freelancerzy z dyplomami". Zastanawiają się, czy są bardziej artystami, czy wyrobnikami.

Nie bardzo kojarzymy twarze tych aktorów, albo są ukryte pod charakteryzacją, albo wyłowimy je na drugim, trzecim planie. To jednak zawodowcy obyci ze sceną, z kamerą, z rolami każdego planu. Odnajdują się w całej Europie. Nie utyskują, że nie ma dla nich pracy. Aktywnie jej szukają, podejmują wyzwania. – W musicalach dużo się pracuje, codziennie gra się spektakle, osiem razy w tygodniu – wylicza Maciek, lektor i dubbingowiec.

Agnieszka jest aktorką i lalkarką po wrocławskiej PWST. – Jesteśmy z Polski. Jesteśmy przyzwyczajeni do tego, że jak aktor, to po szkole teatralnej – tłumaczy. – A tutaj aktor to jest człowiek, który pracuje w tym zawodzie i dostaje za to pieniądze. I to za każdym razem się weryfikuje. To też zawód ekstremalnie subiektywny. Są ludzie, którzy nie mają żadnej szkoły i są genialni, i tacy, którzy mają strasznie dużo szkół i nic.

Marionetki

W Austrii, gdzie od 20 lat mieszkają Salamonowie, teatry offowe mają dużo dłuższą tradycję, więcej budżetu. Agnieszce wykształcenie lalkarskie pomogło w nawiązaniu pierwszych kontaktów zawodowych po przeprowadzce do Wiednia. Do Marionettentheater Schloss Schönbrunn zajrzała przy okazji. – Są dwa takie prywatne teatry, jeden w Salzburgu, a drugi właśnie w Schönbrunn. To specyficzne lalki na dwumetrowych sznurkach. Oglądasz spektakl, a widzisz tylko te marionetki, nie widzisz aktora na podeście. Operuje obiema rękami i widzi jedynie głowę lalki. To skomplikowane, dużo sznurków, dużo możliwości. Austriacy mają specyficzną narodową technikę lalkarską, która de facto datuje się od Mozarta – opowiada.

– Po dwóch miesiącach właściciele teatru zaczęli wrzucać mnie do spektakli i przez pierwsze dwa, trzy lata naszego pobytu bardzo dużo u nich pracowałam. To są gotowe spektakle, tam się nie mówi, wszystko leci z taśmy: muzyka, śpiew. Niszowa sprawa, typowo turystyczna, ale na tyle dobrej jakości, że warto zobaczyć – wyjaśnia aktorka.

Teatr marionetek w Schönbrunn funkcjonuje od prawie 30 lat, Christine Hierzer-Riedler i Werner Hierzer sami robią lalki według klasycznych wzorów. – To praca ze środkiem ciężkości, trudna, na wyczucie. Ale na wszystko są metody – uśmiecha się Agnieszka.

„U lalek" nauczyła się mówić po niemiecku. Najtrudniej jest dostać pierwszą pracę, ale jak już się ją dostanie, to ma się coś w życiorysie. – Poznaje się ludzi, ktoś przychodzi, ogląda, ktoś podpowie, gdzie się chodzi na castingi, gdzie wysłać życiorys, jakie zdjęcia zrobić. Gdy się ma 60 lat, to się chodzi na castingi. Ma się 80 lat, też się chodzi na castingi. Jeżeli z tych, powiedzmy, 15 castingów na rok dostaniesz robotę, to jesteś szczęśliwa.

Swing

Maciek urodził się w Budziszynie, Bautzen, jego rodzice byli artystami, często się przeprowadzali. Mama była tancerką i pedagożką baletu, ojciec pianistą. W Bautzen pomagali budować serbołużycki zespół pieśni i tańca. Kiedy pracowali w Zespole Pieśni i Tańca Śląsk, mieszkali w Koszęcinie. – W 1981 r. wszystko runęło, mama była przewodniczącą Solidarności w Śląsku, pierwszą, którą wywalili dyscyplinarnie – wspomina Maciek. W końcu zamieszkali w Stuttgarcie. Maciek dwa lata studiował fizykę, ale artysta w nim wygrał. – Zdałem do Gdyni do Studia Baduszkowej przy Teatrze Muzycznym, w połowie trzeciego roku odszedłem, bo pojawiła się olbrzymia firma musicalowa Stage Entertainment, działa na całym niemieckojęzycznym obszarze, ma teatry w Londynie, na Broadwayu. To był początek XXI w., postanowili wypromować musicale w Niemczech, inwestowali, budowali; w Stuttgarcie dwa teatry, w Hamburgu jeden, przejęli kilka w różnych częściach Niemiec. Wtedy był jeszcze niedobór

eprasa.pl f8afa2b15b

– Najtrudniej dostać pierwszą pracę, ale jak już się ją dostanie, to ma się coś w życiorysie – mówi Agnieszka Salamon.

– Często gram Chorwatów, Bośniaków, Serbów, Czechów – wylicza Maciej Salamon.

artystów, którzy grają musicale po niemiecku. Nie miałem problemów z językiem, dostałem stypendium i nie musiałem płacić za szkołę aktorską w Hamburgu. No i potem przez 12 lat tłukłem się po wszystkich możliwych produkcjach musicalowych w Austrii, Niemczech i Szwajcarii.

„Taniec wampirów" na podstawie filmu Romana Polańskiego sprzedawał się fantastycznie, Maciek grał w Niemczech, potem w Wiedniu. – Najdłużej grałem w „We will rock you", spektaklu z muzyką zespołu Queen, w Kolonii, Zurychu i Wiedniu, z tysiąc razy. Ciekawostka: prawie zawsze robiłem za tzw. swinga, za kogoś, kto nie ma stałej pozycji w zespole, tylko uczy się 8-10, nawet 12 pozycji; zależy kogo brakuje, to wskakuję i gram rolę.

Niektóre role w musicalach to godziny charakteryzacji, nawet wizyt dentystycznych, żeby aktor miał np. wampirze zęby, w których może śpiewać. Pierwsze angaże Macieja w Wiedniu to Theater Akzent, potem Theater an der Wien. Jednocześnie grał dwa lata na letnim słynnym festiwalu w Bregencji nad Jeziorem Bodeńskim w „West Side Story". Grał też w jednym z najgorzej przyjętych w Wiedniu spektakli musicalowych wszech czasów, „Barbarelli". – Nie poszło, ludzie na to nie przychodzili. Ale robota była fajna.

Reżyserka

W tym czasie Agnieszka zaczęła pracę z polską amatorską grupą teatralną. Jadwiga Hafner, Polka z Wiednia, prowadziła galerię sztuki i użyczyła ją za darmo na próby. – Potem grałam w Polsce, w Niemczech, urodziłam syna, wróciłam i zrobiłam „Między nami dobrze jest" Doroty Masłowskiej z amatorskim Theater AA Vademecum, bardzo duży sukces. Nie było wtedy żadnego polskiego teatru, a Polonii jest z 60 tys. ludzi. Występowaliśmy w teatrze prowadzonym przez Czechów, którzy w 1968 r. tutaj uciekli. Theater Brett ma 100 miejsc, jak na offową działalność to całkiem dużo. Potem zaprosił mnie Bartek Szydłowski z Krakowa do Łaźni Nowej, żebym zrobiła ten spektakl z bezrobotnymi.

Z AA Vademecum w Wiedniu zrobiła Witkacego „W małym dworku", potem „Seksmisję". Sama gra w Berlinie, Hamburgu, oczywiście w Wiedniu, ma projekty w Szwajcarii. – Jadę na dwóch szynach, jedna to są moje projekty reżyserskie, które co jakiś czas się dzieją, a druga szyna to ja jako aktorka. Najczęściej gram w mniej lub bardziej offowych spektaklach, ewentualnie w filmach, tak jak Maciek – przyznaje. W 2019 r. zrealizowała „Tkaczki" na podstawie „Alei Włókniarek" Marty Madejskiej.

Anatomia procesu

– Jedno z pierwszych nagrań, które zrobiłem międzynarodowo, było do dokumentacji o Ben Gurionie. Szukano kogoś, kto jest w stanie przekonująco mówić po angielsku z wyraźnym polskim akcentem. Nagrywałem po angielsku teksty Ben Guriona, których nie mieli jako oryginalnych nagrań. To nie była duża robota, ale niecodzienna – opowiada Maciek. Zaliczył w austriackich filmach role polskich księży,

FOT. ANNEMONE TAAKE, ELENA ZAUKE

eprasa.pl f8afa2b15b

to normalne, taka nisza, śmieje się żona. – I złodzieja, napisany był na Węgra, sam przepisałem to na polski. Z drugiej strony po niemiecku i po angielsku mówię jak po polsku, nagrywałem do dokumentów dla History Channel trzygodzinny materiał ze wspomnieniami żołnierzy z walk podczas lądowania w Normandii.

Maciek nie potrafi mówić dialektem ani go imitować. – Jak staram się mówić po austriacku, brzmi to śmiesznie. Wychowywałem się w okolicach Stuttgartu, gdzie szwabski akcent jest mocny, specyficzny.

Jesteśmy przyzwyczajeni, że jak aktor, to po szkole teatralnej. A tu aktor to człowiek, który pracuje w zawodzie i dostaje za to pieniądze.

Wyjechałem do Niemiec, mając 12 lat, i nagle wylądowałem w kraju, gdzie wystarczy pojechać 20 km dalej i już jest inny dialekt. To był szok kulturowy. Polski akcent jest bardzo podobny do chorwackiego, serbskiego, często gram Chorwatów, Bośniaków, Serbów, Czechów – wylicza Maciej. – Najwartościowszy projekt, w jakim zagrałem, to rola wileńskiego Żyda w filmie kinowym „Murer: anatomia procesu" z 2018 r., o Holokauście. Najlepszy austriacki film 2018 r. Niestety, nie przebił się międzynarodowo. Bardzo precyzyjnie pokazuje kulisy procesu byłego komendanta Wilna i tamtejszego getta, Franza Murera, jaki odbył się w 1962 r. w Grazu. Murer to „rzeźnik z Wilna" na poziomie Eichmanna i zbrodniarzy sądzonych w Norymberdze.

– Pokazuje, jak bardzo Austria się nie zdenazyfikowała, bo Niemcy jakoś sobie z tym jednak poradzili, jakoś rozliczyli, przyznają się, natomiast Austria jest pierwszą ofiarą Hitlera – włącza się Agnieszka.

My, Psy (Wir Hunde/Us Dogs)

Ważne dla Agnieszki aktorki: wygrywa casting w ramach Wiener Festwochen, liczącego się letniego festiwalu kulturalnego, do spektaklu wiedeńskiego Volkstheater w koprodukcji z kolektywem artystycznym Signa; jest rok 2016. – Signa to pionier teatru immersyjnego (zacierającego granice między aktorami a widownią), najbardziej uznanym, jeśli chodzi o obszar niemieckojęzyczny. Od wielu lat tworzą alternatywne rzeczywistości, jak „Wir Hunde/Us Dogs". Mieli do dyspozycji wielką, pustą kamienicę, mogli z nią zrobić do spektaklu, co chcieli. Signa Köstler, twórczyni kolektywu, robi realistyczne „rzeczywistości", w których umieszcza aktorów. Tu założyła, że są ludzie, którzy rodzą się, czując, że są psami. Brało w tym udział 50 performerów, w tym Agnieszka. Granie polegało na tym, że to nie był teatr. – To pięciogodzinna wspólna improwizacja z widzem – relacjonuje Maciek. Oglądamy katalog z przejmującym zdjęciem Agnieszki.

Chciałaby kiedyś sprowadzić Signę do Polski. Spektakl otrzymał w Austrii nagrodę Nestroya, najważniejszą nagrodę teatralną. Agnieszka przyznaje, że taki rodzaj pracy jest bardzo wyczerpujący, ale też bardzo satysfakcjonujący. – Wymaga specjalnego rodzaju wrażliwości teatralnej. Nie każdy aktor byłby w stanie tak pracować i nie każdemu sprawiałoby to satysfakcję. Teraz ma za sobą kolejny projekt teatru immersyjnego, tym razem w Hamburgu, „Die Ruhe". Bardzo wysoko oceniany przez niemieckich krytyków. Wybrany jako jedna z 10 najlepszych produkcji teatralnych 2021 r. z całego obszaru niemieckojęzycznego.

Odnajdują się w całej Europie. Nie utyskują, że nie ma dla nich pracy. Podejmują wyzwania.

Kolejne odsłony światów

Brat Agnieszki jest aktorem, świeżo po krakowskiej szkole. Syn ma 13 lat, wyrasta w domu, w którym jeden pokój jest studiem nagrań i mówi się w kilku językach. Nie panuje tu artystowska nabożność nad „misją pracy aktorskiej", raczej ujmująca naturalność, że to praca i można nią zmieniać sposoby myślenia ludzi.

– Najdziwniejsza rzecz, jaką zagrałam, to performance „City of Whores", poświęcony pracownikom seksualnym. Dwie trzecie obsady to byli seksworkerzy. To projekt z dużym udziałem osób niebinarnych, z dziewczynami i chłopakami, którzy pracują seksualnie – mówi Agnieszka. Maciej dodaje, że to był spektakl aktywistyczny, w ramach festiwalu. Obok odbywały się seminaria, rozmowy, wykłady. – To było oddanie głosu ludziom, którzy pracą seksualną zajmują się z wyboru, uczłowieczanie tego tematu, a nie tabuizowanie. Ogromny sukces, spektakle w hali fabrycznej na obrzeżach Wiednia były wyprzedane – uważa aktorka.

Offowy spektakl ponownie wydobył na światło dzienne to, jak wiele jest zawodów związanych z seksem. Agnieszka: – Otworzył mi się świat, o którym normalnie nie ma się pojęcia.

Maciej nagrywa w domowym studiu kolejne lektorskie zlecenia i przygotowuje się do „castingu domowego": – Dostajesz materiał od reżyserki obsady i musisz się w domu nagrać. Jeżeli chce się w tym biznesie cokolwiek robić, trzeba mieć trochę sprzętu. Lampy, statyw, chodzi o to, żeby dobrze się doświetlić, nagrywać można komórką. Czasem zapraszamy kogoś, żeby nam pomógł z tekstem, z dialogiem. Nagrywamy i wysyłamy materiał.

Agnieszka zaczyna kolejny offowy projekt teatralny, może trafi z nim do Polski.

Aktorzy europejscy, nieprowincjonalni, otwarci, zachwycający się kolejnymi odsłonami nieznanych światów. To wszystko dzięki aktorstwu.

Beata Dżon-Ozimek
b.dzon@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl f8afa2b15b

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Gdzież my go spoczniemy?

Tematy ważne nie „żrą", nie biorą, nie budzą zainteresowania. Kryzysy nas nie obchodzą, obejdą nas łukiem, bokiem, z dala, nic im po nas, Polakach. Energetyczny? Klimatyczny? Finansowy? Dziesiątki innych? Brak wody? Brudna woda? Widać po dramacie Odry, że da się starym banksterskim sposobem problemu nie rozwiązać – byle zagadać, zamieszać, otumanić, do błędu żadnego czy głupoty się nie przyznać, wszystko rozegrać piarowo, już nawet bez majstersztyków, tylko na grubo, po chamsku (jeśli jeszcze wolno użyć tego słowa), wcisnąć nam złote algi jak frankowiczom ich kredyty. Żadna instytucja, wielka a pasożytnicza, do żadnej niekompetencji przyznawać się nie będzie, kto by ją zmusił, do przodu trzeba iść, po ryby i szlaki transportowe sięgać nowe. Zabrać Odrę wędkarzom i ich pokarać za aktywność w ratowaniu mordowanej rzeki, a Wody Polskie zamiast rozgonić i ukarać – nagrodzić. To filozofia, której nauczył się obecny premier w swoich bankach, a w której uroku zasmakował ten, który marzył, żeby być emerytowanym zbawcą narodu.

No właśnie, właśnie, tu leży pies pogrzebany tego felietonu. To znaczy nie pies i jeszcze niepogrzebany, ale kwestia się pojawi i nie zniknie. Skoro ważnymi zajmować się nie ma sensu, podobnie jak nie ma sensu kupować kredensu, to znalazłem inną sprawę, która nurtuje mnie umiarkowanie, ale żeby nie zostać zaskoczonym, postawionym wobec faktów zakopanych, tzn. dokonanych, mniemam, że warto zawczasu zadać sobie pytanie. TO pytanie. Jarosław Kaczyński nas kiedyś opuści, i to mocą większą niż opuszczenie fotela wicepremiera od spraw żadnych poza dostępem do niedostępnych papierów rządowych, żeby akurat za to nie można go było oskarżyć. Odejdzie. Opuści nas. Umrze – daj mu życie życia, ile mu trzeba, i w ogóle. Sprawa nieśmiertelności jest jednak dużo poważniejsza niż Centralny Port Komunikacyjny czy taki przekop Mierzei Wiślanej. Tak więc, nie mając żadnych przesłanek, że żywot prezesa zmierza w rozpoznawalnym tempie do swojego naturalnego kresu (w odróżnieniu od żywota przewodniczącego Tuska, którego fanatyczni propagandyści miłości bliźniego proponują odstrzelić na trzy miesiące przed wyborami), twierdzę z całą mocą, że musimy zadać sobie pytanie już teraz. Gdzie go Naród pożegna i pochowa, gdzie spocznie w niepokoju i pilnowany po wsze czasy przez patrole, mniej liczne niż pod chałupą na Żoliborzu, ale zawsze... Żeby nie było jak z bratem, słabiutkim, niesamodzielnym prezydentem, którego dało się z zaskoczenia uwawelowić pośród królów (których też znowu tak nie cenię, choćby z lewackiego terrorystycznego okresu naczelnika Józefa). Aczkolwiek Lech Kaczyński nie dzierży już chyba berła najgorszego prezydenta, wszak mamy obecnego, a i poprzedni swoje do nicości urzędu dołożył.

Wracając do naszej kwestii, gdzie spocznie Jarosław? Pochylmy się nad scenariuszami, nie odbierając im na razie realności czy fantasmagoryczności. Bliźniacza krypta na Wawelu? To wariant groźny, bo bardzo prawdopodobny. Jak Polak z Polakiem, jak brat z bratem, jak zbawca ze zbawiającym, jak jedna osoba w dwóch ciałach, jak testament polskiej zjednoczonej prawicy, jak mokry sen Kościoła tracącego rzeczywisty wpływ, władzę, a zyskującego wciąż kosztem państwa i od niego – majątek. Dobrodzieje chętnie go w krypcie ułożą na uwłaszczonym zamczysku.

A inne scenariusze? Na powstańczych Powązkach? Zamiast Bieruta, do którego od dawna się przymierzają? A może po prostu u siebie w willi na Mickiewicza, która de facto już stała się mauzoleum, piramidą, katakumbą – bo z całą pewnością nie żywym domem. Cały dom – jednym grobem? Zła symbolika, taka defensywna, trudna do obrony.

Nie mnóżmy trumien, które nami rządzą.

Właściwie jedyne, co powstało, to ten nieszczęsny przekop mierzei. Mógłby Kaczyński tam, na jej dnie, z honorem lec? Tratwy, kutry, kajaki przepływające nad podwodną kryptą, do której prowadziłyby takie schody jak na placu Piłsudskiego, smoleńskie donikąd, tylko że donikąd w dół, opuszczałyby banderę za każdym razem, a telewizje garażowe Sakiewiczów i Karnowskich nadawałyby za każdym razem relację na żywo, to znaczy pośmiertną? Więc nie tyle kopiec, bo kopców ci u nas dostatek, ile dolec? I to podmorski?

Bo przeca nie w miejscu, skąd nie będą startować samoloty z CPK? Na takim zadupiu mózg narodu?

Czy jednak, bez złośliwości, zwyczajnie z mamą? Która, jak kiedyś wspominał, gdy był premierem (a nie wice), przed jego późnym powrotem z pracy słała mu łóżko? I dla której po 10 kwietnia 2010 r. drukował fałszywe egzemplarze dziennika „Rzeczpospolita", żeby utrzymać ją w przekonaniu, że Lech żyje, tylko płynie statkiem do Ameryki Południowej? A potem ubierał się w jego garnitury i aplikował sobie Lecha wody kolońskie, żeby chora się nie zorientowała? U mamy miałby spokój z krytykującym jego i brata tatą, ów spoczywa ze swoimi rodzicami.

Może warto zrobić referendum? Może wspólnie zdecydować, żeby nie zdawać się na przypadek, ślepy los?

Kiedyś mówiono, że XX- i XXI-wieczną Polską rządzą wciąż dwie trumny: Piłsudskiego i Dmowskiego. Nie mnóżmy może trumien, które nami rządzą. Niech porządzą żywe i młode osoby. Wreszcie. I niech tańczą i się radują.

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl f8afa2b15b

ZASŁUCHAJ SIĘ

Mariusz Godlewski, Radosław Kurek
Moniuszko Pieśni (2)
NIFC

28 mało znanych pieśni Stanisława Moniuszki znalazło się na płycie znakomitego barytona Mariusza Godlewskiego. Nie ma tutaj ani „Prząśniczki", ani „Kozaka", ani „Krakowiaczka", ale jest wspaniała kreacja i interpretacja ważnych tekstów poetyckich polskiego romantyzmu, Mickiewicza, Czeczota, Witwickiego, Syrokomli, Kniaźnina i innych. A wydał ją uparty w promocji Moniuszki Narodowy Instytut Fryderyka Chopina – i to jest świetna robota.

Bronisław Tumiłowicz

NA EKRANACH

Cicha ziemia

reż. Aga Woszczyńska, prod. Polska/Czechy/Włochy, już w kinach

Anna i Adam lecą na wakacje na Sardynię. Luksusowa willa z basenem. Pełna lodówka, pełne portfele. Jednak tylko na pozór życie bohaterów to zamożna, uporządkowana przestrzeń. Pęka w momencie pojawienia się „Obcego". Ta wakacyjna historia jest portretem zamkniętej na klucz „milczącej Europy", w którym coraz łatwiej się przejrzeć. To opowieść o końcu pewnego, pozornie bardzo dobrze urządzonego świata, o jego rozpadzie, który nastąpił dlatego, że utraciliśmy w nim zdolność widzenia drugiego człowieka. „Cicha ziemia" była pisana jako odpowiedź na wielką humanitarną katastrofę na Lampedusie, kiedy to miejscowi odwracali wzrok od łódek i dziurawych pontonów, które morze wyrzuciło na brzeg. Dzisiaj, w obliczu budowania murów na granicy polsko-białoruskiej i pokusy spuszczania zasłony milczenia na walczącą Ukrainę, film nabiera nowych znaczeń. Woszczyńska przekonuje, że nie da się dłużej wzruszać ramionami na widok dramatów dziejących się tuż obok. Najwyższy czas zastanowić się nad Europą.

Mateusz Demski

MIĘDZY OKŁADKAMI

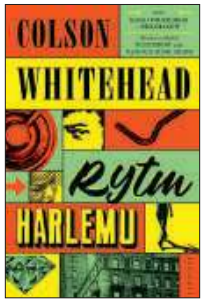

Colson Whitehead
Rytm Harlemu
tłum. Rafał Lisowski
Albatros, Warszawa 2022

„Rytm Harlemu" ma czułego narratora. Wrażliwego na szczegóły, które wiele mówią o postaciach, również tych na dalszych planach, na marzenia bohaterów i obolałe miejsca w ich duszy. Zaglądamy z nim w mniej lub bardziej szemrane zakątki Manhattanu, czasem takie, które są jak drzwi do drugiego, podziemnego miasta, „przylegającego do wszystkiego, co znajome". Jednym z tych wejść, prawdę mówiąc, jest biznes Raya Carneya, życzliwego sprzedawcy mebli, de facto pasera. Ale obok zobaczymy „Waldorf Harlemu" – hotel Theresa, którego sejf chcą obrobić złodzieje, i wysepki dobrobytu, w których widzi się Carney, syn regularnego bandziora pnący się po drabinie społecznej, mimo że półświatek wciąż się o niego upomina. W tle wszechobecny rasizm, a Whitehead, choć pisze lekko, kpiąco – i niezwykle melodyjnie – tu znów uderza boleśnie: jest początek lat 60., desegregacja postępuje tam, gdzie da zysk, a i to opornie, podróżowanie po kraju wymaga znajomości bezpiecznych tras przez białe terytoria. Można także być za czarnym dla harlemskich elit i własnych teściów.

Aleksandra Pańko

Krystian Nowak
Kacheksja
Wydawnictwo Ezop, Warszawa 2022

Ludzie mają różne pasje. Wędkarstwo, modelarstwo, piłkę nożną albo wyścigi psich zaprzęgów. Jednak hobby bohatera „Kacheksji" (już sam tytuł wywodzący się ze świata medycyny dziwi) nie jest, delikatnie mówiąc, normalne. Everyman z książki Nowaka pasjonuje się ludobójstwem i statystykami poświęconymi śmierci. Reszta jest z pozoru bardziej banalna: praca w banku, przygody erotyczne i romantyczne, oglądanie rozpadającego się świata wokół. W końcu to, jak informuje wydawca, „zapisana w trzydziestu pięciu aktach śmiała opowieść o miłości i śmierci, które przydarzają się każdemu". Nowak podszedł do niej z humorem, gardzi patosem i nie bierze jeńców, są jednak momenty, gdy frywolność bierze górę nad klarownością wypowiedzi. Miejscami książka bywa przegadana, a skakanie z tematu na temat może zdezorientować czytelnika. Jeśli Kurt Vonnegut ma nieślubne dziecko w Polsce, to jest nim Krystian Nowak.

Rafał Pikuła

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl f8afa2b15b

1

JACEK PAŁKIEWICZ

PÓŁ WIEKU REPORTERSKICH PODRÓŻY

Wyprawy w poszukiwaniu osobliwości ginących cywilizacji, niezwykłych krain i ludzi osiadłych w odległych regionach

Jacek Pałkiewicz – reporter, eksplorator, odkrywca źródła Amazonki, twórca survivalu w Europie; www.palkiewicz.com

Z WIZYTĄ U JARAJÓW

Montagnardzi, w tym grupa etniczna Jarai żyjąca na pograniczu Wietnamu i Kambodży, to jeden z najwrażliwszych politycznie i najczęściej cenzurowanych tematów w Wietnamie. O surowych represjach, ciągłych konfliktach i łamaniu tam praw człowieka donoszą różne organizacje pozarządowe. Nic dziwnego, że rejon Płaskowyżu Centralnego, gdzie żyją Jarajowie, był do niedawna praktycznie niedostępny dla obcokrajowców i dziennikarzy. Przed naszym przyjazdem w 1992 r., na obszarze zamkniętym w prowincji Gia Lai ich sytuacja znacznie się pogorszyła i bałem się nawet, że udzielone mi wcześniej zezwolenie zostanie odebrane.

To pochodzące z malajsko-polinezyjskiej grupy językowej plemię osiedliło się tutaj przed 2 tys. lat i nigdy nie miało poprawnych stosunków z ludnością lokalną, która mówi o nim pogardliwie mio, dzikusy. Rząd Hanoi prześladuje Jarajów za to, że stali po stronie najeźdźcy w „wojnie oporu przeciwko Amerykanom" – jak Wietnamczycy nazywają konflikt między północą a południem kraju. Uporczywie dyskryminuje ich za żądania autonomii politycznej, społecznej i kulturalnej, ale także z powodu wiary chrześcijańskiej.

eprasa.pl f8afa2b15b

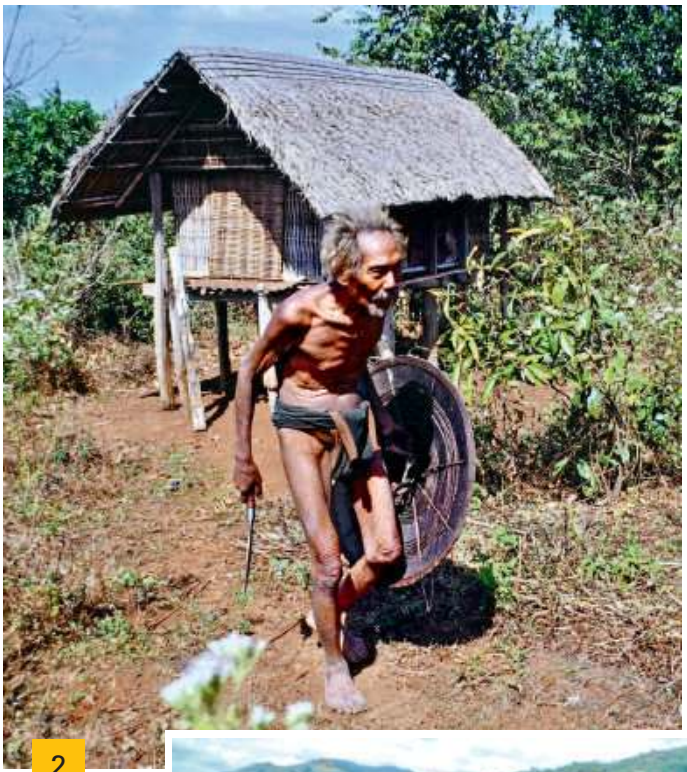

2

3

5

6

9

eprasa.pl f8afa2b15b

4

8

7

10

1. Jacek Pałkiewicz dotarł do Jarajów 30 lat temu.
2. Jarajowie żyją w izolacji, wyznając pierwotną religię kultu przodków.
3. Garstka ludzi wydaje się pędzić żywot rodem z innych czasów.
4. Nieznane szerzej plemię osiedliło się tutaj przed 2 tys. lat.
5. Myszy polne wylądują na rożnie dla gości.
6. Typowa chatka tego plemienia.
7. System matriarchalny zapewnia kobietom wysoką pozycję w rodzinie.
8. Z dala od cywilizacji.
9. Wyprawa Pałkiewicza do Jarajów.
10. Do zagubionego plemienia Pałkiewicz dotarł na słoniach.

FOT. ARCHIWUM AUTORA

eprasa.pl f8afa2b15b

Jak płynie wódeczka na wsi i w miasteczkach

Meneliki **Krzysztofa Daukszewicza**

Himilsbach

W kabarecie Na Pięterku, prowadzonym przez Ludwika Klekowa w hotelu Bristol, w roku 1979 Jonasz Kofta opowiedział mi historię usłyszaną od Jana Himilsbacha, który był uznawany za pierwszego menela PRL-u. Jest to opowiadanie o zanikach pamięci.

– Przychodzę, Jonasz, umfa, do Związku Literatów. Jestem mocno zassany i jeszcze bym coś walnął. Widzę Jurka Iwaszkiewicza. Pożyczam od niego stówkę. Wychodzę, kupuję pół litra i w sklepie spotykam Marteczkę, taką przechodzoną kurwę z Wilczej, co normalnie stoi pod numerem 42. Jedziemy na Powązki, bo tam jest w szóstej kwaterze odpowiednio przygotowany grobowiec. Wiesz do czego, Jonasz, ty kurwa subtelny poeto.

– Wiem, Jasiu.

– Przyjeżdżamy, kładę Marteczkę na katafalku i… umfa, flaszka mi wypada zza paska prosto na granit. Co ja robię? Mówię:

– Marteczka, przykryj się i poczekaj. Wracam do Związku Literatów, do Iwaszkiewicza już nie podchodzę, ale widzę Andrzejewskiego. Pożyczam od niego stówkę. Wychodzę, idę do sklepu, kupuję drugą połówkę, patrzę, a za mną stoi Śmigiełko, taka kurwa z Hożej, nie pamiętam spod jakiego numeru. Jedziemy na Powązki, bo tam jest grobowiec na szóstej kwaterze. A już się robi ciemno… Wchodzimy, Jonasz, do tego grobowca i umfa… nie wierzę własnym oczom… patrzę, a tam jedna kurwa już leży.

Menel znad Czarnej Hańczy

Spotkał kumpla, z którym dawno, dawno temu chodził do szkoły i nie widział go od lat, ale jakoś rozpoznał, podszedł, przywitał się, zapytał kulturalnie, co u niego słychać, a następnie powiedział ze smutkiem:

– Słuchaj, stary, tobie się powodzi, a ja nic dzisiaj nie jadłem, daj złoty pięćdziesiąt.

Ten wyjął portfel, wręczył zaproponowaną kwotę i wszedł do sklepu zrobić zakupy. Po kilkunastu minutach wychodzi, drogę mu zagradza tenże sam menel i szeptem mówi:

– Słuchaj, stary, skręciłem przed chwilą złoty pięćdziesiąt, dołóż dwa złocisze i kupimy flaszkę.

Menel nie menel

Władysław Machejek, barwna postać Krakowa i jego okolic, nie był co prawda menelem, ale od czasu do czasu z nimi pijał, a słynął przy tym z wyjątkowo mocnej głowy. Któregoś dnia wracał samochodem do domu, będąc lepiej niż po pół litrze, i zatrzymał go milicjant obywatelski, który wyczuł u kierowcy stężony alkohol, poprosił więc o prawo jazdy. Na to pan Władysław wyciągnął legitymację poselską, w którą był zaopatrzony, i powiedział milicjantowi, że dopóki on ma tę legitymację, to tamten mu nic nie zrobi. Ponieważ posterunkowy uwierzył, że tak będzie, zaproponował Machejkowi wyjście, według niego salomonowe, że on sam z nieprzymuszonej woli odwiezie go do domu. Machejek zgodził się na to rozwiązanie, dojechali pod furtkę i wzruszony troskliwością władzy ludowej jako formę podziękowania zaproponował wypicie wódki. I następnego dnia w redakcji opowiedział o tym, kończąc historyjkę zdaniem:

– I ten posterunkowy tak się upierdolił, że musiałem go odwieźć do domu.

Menel z placu Wilsona II

Opowiadała mi pani Marzena, że często przyjeżdża do Warszawy w interesach, ale ponieważ boi się jeździć samochodem po stolicy, zostawia auto na placu Wilsona i dalej podróżuje tramwajami. Pewnego dnia stawia swojego fiata przy kinie Wisła i podchodzi do niej menel z następującą propozycją:

– Proszę pani cudownej urody, za 2 zł przypilnuję tego oto wykwintnego samochodu, od którego tylko pani jest piękniejsza.

I pani, zszokowana tym niebywałym językiem, sięgnęła do portmonetki, ale widzi, że nie ma w ogóle drobnych.

– Niestety, mam tylko 10 zł.

A na to menel:

– Proszę pani, za 10 zł to ja od tego samochodu będę nawet muchy odganiał.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl f8afa2b15b

Menel zdegustowany

Podsłuchane w Giżycku.

Koło willi ogrodzonej bardzo wysokim, metalowym płotem i ozdobionej alarmami stoi miejscowy dresiarz, znany w okolicy złodziej samochodów, z menelem, jego kumplem z zawodówki.

– Zajebista chałupa – mówi dresiarz.

Na to menel:

– Dasz mi 2 zł na piwo?

– Nie mam.

– Ty nie masz 2 zł!? To kto ma je mieć?

A na to dresiarz:

– A skąd mam, kurwa, brać!! Przecież widzisz, jak się to chamstwo odgradza.

Menel Gustawa Holoubka

Wiele lat temu był pogrzeb wspaniałego aktora na Powązkach i grabarz, który wywodził się z elity smakoszy alkoholi świata, tak jak i reszta zatrudnionych wówczas w tym również najstarszym zawodzie świata, zwrócił się do Gustawa Holoubka następującymi słowy.

– Mistrzu, my was tak chowamy i chowamy, ale żeby później jeden z was chociaż dla przyzwoitości do teatru zaprosił.

Borne Sulinowo

W sylwestra opowiadający historię nasz bohater wraca z pracy do domu, jest wczesne popołudnie i na przystanku autobusowym startuje do niego dwóch obywateli, powszechnie znanych w okolicy z picia w nadmiarze, i jeden z nich oświadcza z rozbrajającą szczerością:

– Panie kierowniku, dzisiaj o północy chcielibyśmy wypić pańskie zdrowie na ten Nowy Rok, ale nie mamy za co. Daj pan dwójeczkę na ten toast.

Kierownik zaskoczony wykwintnym językiem i sposobem naciągania, będąc w dobrym humorze, dał im całe 10 zł.

Na to odezwał się drugi:

– Panie prezesie, a czy ze względu na pana niebywałą hojność w ten cudowny dzień moglibyśmy zacząć trochę wcześniej?

•

Do księgarni Matras na Nowym Świecie w Warszawie wszedł obywatel z wyglądu bardziej pijący niż czytający, podszedł do półki z napisem NOWOŚCI, poklepał dwie książki, bardzo ciężko westchnął, ukłonił się i wyszedł. Panie, które mi to opowiadały, mówiły, że miały ciarki na plecach, ale przypomniały mi inną historię, która wydarzyła się koło kina bodajże Atlantic, albo bardziej, tuż za kinem, na parkingu. To sprzedała mi pani, która pewnego dnia stawiała tam samochód i obsługiwała ją pani menelka, robiąca w tej okolicy za parkomat, a która zawsze informowała moją rozmówczynię, że zbiera po to, żeby pójść do drogerii mieszczącej się na rogu, by kupić sobie jakiś kosmetyk.

Tym razem pani, zamykając samochód, mówi do parkomatowej:

– Muszę panią zmartwić, ale dowiedziałam się, że tu zamiast drogerii będzie niedługo księgarnia.

Na to pani menelowa:

– O Jezu, znowu, kurwa, wydam wszystko na książki!

Malbork

Rzecz się dzieje w okolicach cmentarza, gdzie do sprzedających kwiaty i znicze pijący z okolicy przychodzili po słoiczki, żeby w nich degustować miejscowe wynalazki, i któregoś dnia jakoś tak się stało, że słoiczki się skończyły. Jeden z nich, kompletnie roztrzęsiony informacją o braku szkła, podszedł do opowiadającej mi to pani i rzekł z błagalną miną:

– Szefowo kochana, poszukaj mi chociaż jednego, błagam cię, poszukaj.

– Koniec, nie mam.

– Bardzo mi zależy.

– A to niby czemu?

– Bo ja dzisiaj będę pił z kobietą i musi być elegancko.

Profesor Miodek

Porannym świtem, czyli gdzieś około 7, wybrał się po świeże bułeczki i równie świeżą prasę. Nagle z bramy, którą mijał, wyłonił się menel. Nawet nie menel, a ruina menela. Włosy w nieładzie, spodnie w błocie, rękaw w marynarce naderwany, a twarz miał taką, jakby przez tydzień całował się z deską. I on wyszedł, spojrzał na pana profesora, rozpoznał i powiedział:

– Matko moja kochana, pan profesor Miodek! Gdybym ja wiedział, że pana spotkam, tobym chociaż krawat założył!

Kolbudzkie

Patrol opowiadał mi, że zatrzymali księdza za przekroczenie prędkości, tu trzeba dodać, że w niedzielne przedpołudnie, i nie wiedzieli, kogo zatrzymali.

– Za co ten mandat? – zapytał, kiedy oświadczyli, że będzie to kosztowało 200 zł i sześć punktów karnych.

– Jak to, za co? Za przekroczenie prędkości w miejscu zabudowanym.

– Zwariowaliście!!! – usłyszeli.

– Dlaczego mielibyśmy zwariować? Proszę spojrzeć, ile kilometrów na godzinę pan jechał!

– No to co z tego. Przecież dzisiaj niedziela!

– No i co z tego, że niedziela!?

– Jestem księdzem i dzisiaj to ja zbieram.

•

To może jeszcze jedna historia z księdzem w roli głównej, tym razem z Morąga, województwo warmińsko-mazurskie. Opowiadał mi ksiądz proboszcz, który jechał bardzo szybko krętymi drogami w swoich okolicach, a są one tutaj wyjątkowo pozawijane. Jak mówi mój pianista Miecio Grochowski:

– To nie drogi, to hakenkreuze.

Ksiądz się śpieszył, bo wiózł z Olsztyna biskupa na spotkanie z parafianami.

Ksiądz biskup, coraz bardziej zdenerwowany rajdowymi wyczynami kierowcy, nie wytrzymał i zapytał:

– A nie za szybko, synu, gnasz po tej wąskiej ścieżynie?

– Niech ksiądz biskup się nie boi – usłyszał – ja tu u siebie na drodze wszystkich znam.

Na to hierarcha:

– No dobrze, a jak będzie jechał ktoś z innej parafii?

Fragmenty książki Krzysztofa Daukszewicza *Jak płynie wódeczka na wsi i w miasteczkach*, Prószyński i S-ka, Warszawa 2022

eprasa.pl f8afa2b15b

Brud, smród i samotność

Chociaż więcej mówi się o depresji, wiele osób nie zdaje sobie sprawy, czym ona tak naprawdę jest

Dominika Tworek

Według CBOS co piąty Polak wykazuje przynajmniej łagodne objawy depresji, a eksperci Światowej Organizacji Zdrowia przewidują, że do 2030 r. depresja stanie się pierwszą najczęściej diagnozowaną jednostką chorobową na świecie.

Klasowy dziwoląg

– To brudna i śmierdząca choroba – mówi Małgorzata Mycek, 29-letnia malarka i performerka. Odkąd sięga pamięcią, mierzy się z poczuciem dojmującego smutku, beznadziei i lęku. Depresji towarzyszą także dolegliwości fizyczne: świdrujący ból brzucha czy głowy. – Jestem świeżo po ciężkim epizodzie depresyjnym, podczas którego spędziłam w łóżku trzy tygodnie. Jedynie raz udało mi się wyjść z domu, na terapię. Taki stan przydarza mi się kilka razy do roku. Nie jestem wtedy zdolna nawet wstać po szklankę wody, nie mówiąc już o ugotowaniu obiadu. Nie dbam ani o higienę, ani o porządek. Przestrzeń wokół mojego łóżka przypomina pobojowisko. Leży tam kupa śmieci, brudnych naczyń, ubrań, leków i narzędzi do rysowania. Te ostatnie są na wypadek, gdyby udało mi się zmusić do twórczej pracy. Choć zazwyczaj się poddaję, a niemożność tworzenia potęguje moje lęki, że już nic nigdy nie stworzę. Za to w zapętleniu gapię się w seriale. Dziewięć sezonów komediowego „The Office" obejrzałam już 20 razy. Uciekam w nierealny świat, grając też w Minecraft. To duże szczęście, że opiekuje się wtedy mną mój partner. Gotuje, sprząta, nawet nakłada mi pastę do zębów na szczoteczkę. Dla mnie najmniejszy wysiłek fizyczny jest koszmarem.

Jestem świeżo po ciężkim epizodzie depresyjnym, podczas którego spędziłam w łóżku trzy tygodnie – mówi **Małgorzata Mycek**.

Pragnienie społecznej izolacji towarzyszy Gosi nawet w lepszych momentach jej życia, jednak na co dzień stara się wychodzić do ludzi. Choć w grupie zawsze jest ryzyko, że powrócą znane już z czasów przedszkolnych lęki w postaci kołatających się myśli „wszyscy wokół mnie nienawidzą". Artystka pochodzi z Radoszyc, małej podkarpackiej wsi, gdzie funkcjonuje niewielka, dość zamknięta społeczność. Nie ma tam sklepu, nie jeździ żaden autobus, trudno złapać zasięg telefonu. Małgorzata, jako osoba niebinarna, nigdy nie była lubiana przez rówieśników. Od dziecka czuła się dziwolągiem, nigdzie niepasującym elementem układanki.

– Całe dzieciństwo sugerowano, że coś jest ze mną nie tak, ale nigdy nie wiedziałam, o co chodzi. Trudno mi było dogadać się zarówno z dziewczynami, jak i z chłopakami z klasy. W tamtym czasie byłam bardzo samotna i doznawałam wiele przemocy, z różnych źródeł. Przez lata funkcjonowałam jako klasowy dziwak, bo wolałam siedzieć sama przy stole i rysować lub rozwiązywać zagadki, zamiast bawić się z innymi dziećmi. I one się ze mnie wyśmiewały. Kolejną przykrością były reakcje nauczycielek, które mówiły mi, że zadania plastyczne odrabia za mnie ktoś dorosły. Wmawiano mi, że się nie staram i nie uważam na zajęciach, przez co do dziś cierpię

eprasa.pl f8afa2b15b

na syndrom oszusta, który objawia się niewiarą we własne osiągnięcia – opowiada.

Wtopić się w tłum

W nastoletnim życiu problematyczna dla Małgorzaty stała się również społeczna socjalizacja do kobiecych ról: – Zwracano mi uwagę, że za mało dziewczęco się ubieram. A ja zazdrościłam koleżankom, które były ultrakobiece, chociaż sama bardzo źle się czułam, próbując taką się stać. Gdy ktoś się mylił i nazywał mnie chłopcem, doznawałam jednocześnie wielkiej euforii i strachu. Z czasem wyuczyłam się różnych zachowań, wiedziałam, w co mam się ubrać, by mniej więcej się wpasować. Bardzo się starałam sprostać oczekiwaniom społecznym, wtopić w tłum, żeby wszyscy dali mi już święty spokój. Nadal jednak nie mieściło się to w kanonach. Nie byłam też idealną córką, bo nie potrafiłam dostosować się do norm przyjętych na wsi. Ostatecznie i tak robiłam wszystko po swojemu, co owocowało różnymi problemami i konfliktami. Odkąd pamiętam, określano mnie jako „zbuntowaną". Odkąd pamiętam, nie dostałam wsparcia od rodziców.

Ówczesnej depresji towarzyszyły ciągłe napady paniki. Gdy Gosia osiągnęła pełnoletność, po kryjomu poszła na pierwszą psychoterapię, która pomogła jej zrozumieć swoją tożsamość. Jednak problemy nie zniknęły. Żeby uciec od depresji, piła na umór. Na lata utknęła w błędnym kole. Alkohol dawał jej chwilową ulgę, ale gdy trzeźwiała, depresja tylko się potęgowała. Obecnie leczy uzależnienie terapią, od półtora roku przyjmuje antydepresanty, które stabilizują jej stan. Lekarstwem jest także sztuka, którą tworzy.

– Na pewno te problemy wpływają na tematykę moich prac. Poprzez sztukę dużo sobie w głowie układam. Pamiętam szok, kiedy mój pierwszy terapeuta powiedział mi, że to, co dzieje się w moim życiu, moje lęki i obawy są w pewien sposób normalne, że nie jestem sama. Teraz, kiedy publikuję prace w internecie, cieszę się, gdy inne osoby piszą mi,

Problemy wpływają na tematykę moich prac. Poprzez sztukę dużo sobie w głowie układam.

że przeszły to samo i że dziękują mi za to, co robię, bo jest to dla nich ważne – komentuje.

Depresja determinuje każdy kawałek jej życia, łącznie z finansami. Jako artystka freelancerka Małgorzata nie ma stałej pensji. Czasami zarabia kilka tysięcy, a czasem kilkaset złotych. Gdy choruje, nie może pracować, a wtedy sporym kosztem bywa dla niej przeznaczenie 200 zł miesięcznie na leki antydepresyjne, bo te nie podlegają refundacji.

– Brak stałego czasu pracy ma też plusy, bo w krytycznych momentach mogę sobie coś odpuścić. Jednak będąc artystką, muszę być i menedżerem, i sekretarką. Wykonuję wiele prac, które sprawiają, że często czuję się przebodźcowana. Staram się otwarcie mówić o swojej chorobie, ale nie wszyscy potrafią to zrozumieć, dlatego czasem w momentach niedyspozycji kłamię, że mam koronawirusa. Wiem, że inaczej nie potraktuje się mnie poważnie. Mimo że dziś więcej mówi się o depresji, wiele osób nie zdaje sobie sprawy, czym ona tak naprawdę jest. A w środowiskach artystycznych romantyzuje się tę chorobę. Nieraz słyszałam, że „prawdziwy artysta powinien mieć depresję". Postrzega się ją jako cechę charakteru, z czym głęboko się nie zgadzam.

Żeby nie cierpieć

– Nie dziwię się, że ludzie popełniają samobójstwa. Mnie brakuje do tego odwagi – zaczyna 36-letnia Wioletta, która od przeszło dekady leczy się na depresję. Choroba warunkuje całe jej życie. Najchętniej spędziłaby je zanurzona w objęciach Morfeusza. Łóżko – epicentrum wszechświata – opuszcza, tylko jeśli musi. Gdyby nie praca i obowiązek wyprowadzenia psa, nigdy by się z nim nie żegnała. W gorszych momentach przesypia całe dnie. Sen przynosi ukojenie skołatanym myślom i wiecznie zmęczonemu ciału. Wioletta budzi się wtedy jedynie po to, by załatwić potrzeby fizjologiczne. A i o nie zbytnio nie dba. Toaleta, owszem, ale przygotowywanie i jedzenie posiłków uznaje za zbędne. Podobnie jak kąpiel czy sprzątanie. Gdy sen traci funkcję uśmierzającą, wchodzi w tryb zawieszenia i godzinami tępo gapi się w sufit, a w głowie kłębią się negatywne myśli o przeszłości. Przyszłość rysuje się wtedy w szarościach i zgniliźnie, jest nasycona perspektywą wiecznego cierpienia. Ani krzty pozytywów.

Do pracy zbiera się godzinę, chociaż zrobienie kawy, kanapek czy umycie zębów mogłoby zająć kwadrans. Jej ruchy są mozolne, ociężałe, a każda czynność jawi się jako wyczerpująca. Permanentne przygnębienie sprawia, że do

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl f8afa2b15b

wszystkiego się zmusza, ale praca w drogerii pozwala choć na chwilę odciąć się od poczucia bezsensu życia. Wiola potrafi oddać się skrupulatnym i mechanicznym działaniom w magazynie. Najgorzej jest, gdy musi przebywać wśród ludzi: – Racjonalnie wiem, że z ich strony nic mi nie grozi, że nie zrobią mi krzywdy. Ale moje ciało jakby tego nie rozumiało. Trzęsę się jak galareta albo sztywnieję, wstrzymując oddech, i nie potrafię nad tym zapanować. Na szczęście, gdy chodzę cały czas do jednego sklepu, to poczucie lęku jest mniejsze i po jakimś czasie znika. Ale gdy tylko pojawię się w grupie nowych osób, momentalnie się uaktywnia. Dopada mnie właściwie wszędzie, gdzie są ludzie: na przystanku, przejściu dla pieszych, w tramwaju czy sklepie.

Trudności w kontakcie z innymi pogłębiają jej samotność. Uczucie alienacji w pakiecie ze smutkiem, poczuciem gorszości i niewiarą w siebie przyswoiła sobie już w najmłodszych latach. Koszmar zaczął się, gdy poszła do podstawówki. Przez filigranowe ciało, charakterystyczne nazwisko i bliznę na pół policzka po ugryzieniu psa stała się szkolnym obiektem upokorzeń. Wioletta ze łzami w oczach wspomina: – Ponieważ mieszkaliśmy na uboczu wsi, we wczesnym dzieciństwie nie miałam kontaktu z innymi dziećmi, oprócz braci czy kuzynostwa. Szkoła była dla mnie pierwszym oknem na świat, a ja nie rozumiałam, dlaczego inne dzieci śmieją się ze mnie. Było mi bardzo trudno i przykro. Nie miałam w nikim wsparcia. Zamknęłam się w sobie i odsunęłam na bok, żeby aż tak nie cierpieć.

Dom rodzinny nie stanowił dla Wioli bezpiecznej przystani. Ojciec był agresywnym alkoholikiem, starszy brat kryminalistą, oziębła matka znęcała się nad nią psychicznie, a młodszego brata bardzo wcześnie uwiodły alkohol i życie towarzyskie. Za to Wiola nie uciekała w używki, gotowała i zajmowała się domem. Odkąd skończyła 10 lat, całą energię wkładała w wychowanie młodszej siostry. W zasadzie nie miała dzieciństwa, a w nastoletnim życiu marzyła o studiach, na które nie było pieniędzy. Po maturze wyjechała za granicę, żeby zarobić na dalszą edukację. Po powrocie do Polski skumulowane przez lata złość i lęk dały o sobie znać w postaci depresji.

– Od tamtego czasu dwa razy leczyłam się w szpitalu na oddziale zaburzeń nerwicowych, kilka lat chodziłam na różne terapie. Biorę leki antydepresyjne. Chwilę działają, a później uodporniam się na nie i wszystko wraca. Wtedy psychiatra zmienia tabletki. Pomogła mi też terapia, chwilę po niej optymistycznie patrzyłam w przyszłość. Stworzyłam, tak mi się wtedy wydawało, udany związek, ale mój partner zaczął pić i zachowywał się zupełnie jak ojciec. Od tamtego momentu nie potrafię określać się innymi epitetami niż „beznadziejna", „słaba psychicznie", „nieudacznik". Całe życie bałam się, że ludzie znowu będą mi dokuczać, będą mnie obrażać i się ze mnie wyśmiewać. Mam przekonanie, że kolejna terapia za wiele mi nie pomoże – podsumowuje Wioletta.

Wiola: Nie potrafię określać się innymi epitetami niż „beznadziejna", „słaba psychicznie", „nieudacznik". Mam przekonanie, że kolejna terapia za wiele mi nie pomoże.

Gdy pytam ją o marzenia, odpowiada, że chciałaby, żeby na świecie nie było wojen, a dzieci i zwierzęta nie cierpiały. Jako osoba wrażliwa, a nawet nadwrażliwa, nie potrafi się wyzbyć poczucia, że ludzie są okrutni, podli, a świat jest zimny. Choć w krótkich przebłyskach nadziei liczy na to, że los jeszcze się do niej uśmiechnie, przez większość czasu nie znajduje sił na walkę o siebie.

Podatność na depresję

– Wszyscy w reakcji na różne życiowe wydarzenia doświadczamy obniżeń nastroju, które wpływają na jakość naszego życia. Nastroje mają jednak to do siebie, że się zmieniają, a człowiek w depresji jest mniej podatny na te zmiany. W jego życiu dominuje tzw. anhedonia, czyli utrata przyjemności z tego, co kiedyś cieszyło. Pojawiają się problemy ze snem, dolegliwości bólowe, a także zmniejszona zdolność koncentracji. Bardzo często towarzyszą temu powracające myśli o śmierci. W przypadku depresji mówimy również o tzw. triadzie depresyjnej, która oznacza występowanie negatywnych myśli w trzech obszarach: myślach o sobie, myślach o świecie i o tym, co ma mnie spotkać w przyszłości. Wszystkie te objawy wywołują znaczne cierpienie, pogarszają funkcjonowanie społeczne, zawodowe lub inne ważne obszary życia – tłumaczy psychoterapeutka Magdalena Oleśniewicz.

Jak to się dzieje, że jedna osoba choruje na depresję, a druga nie? – Ktoś może być bardziej podatny na rozwój zaburzeń nastroju, na co wpływają zarówno geny, jak i przekonania ukształtowane przez nas w dzieciństwie. Niektóre są szkodliwe i utrudniają radzenie sobie z przeciwnościami losu. Jeśli jako dziecko słyszę, że jak coś mi nie pójdzie, to należy mi się kara, mogę rozwinąć w sobie przekonanie „jestem najgorszy/najgorsza", a później, już jako osobie dorosłej, trudno mi będzie radzić sobie, kiedy coś mi się nie uda.

Terapeutka podsumowuje: – W depresji mamy do czynienia z błędnym kołem, które wzmacnia negatywne myślenie o sobie. Im bardziej człowiek izoluje się od ludzi, tym gorzej się czuje. Dlatego jednym z elementów terapii jest aktywizacja behawioralna, której cel to zaangażowanie w różnego rodzaju czynności zwiększające poczucie wpływu. Pamiętajmy też, że choć depresja wymaga specjalistycznego leczenia, każdy z nas może wyciągnąć pomocną dłoń, kiedy widzimy, że dzieje się coś niepokojącego. Czasami początkiem wyjścia z choroby może być życzliwa rozmowa, zainteresowanie drugiego.

Dominika Tworek

eprasa.pl f8afa2b15b

Notes Wawrzyka i Sroka

Wspominaliśmy niedawno o sytuacji w Kazachstanie, w którym to państwie konsulem generalnym został emeryt, urodzony w roku 1952 Józef Tymanowski, profesor i pułkownik jednocześnie.

Kto mu tę robotę załatwił? Ludzie, którzy wiedzą, wskazują Piotra Wawrzyka, sekretarza stanu w MSZ, posła PiS, wcześniej związanego z PSL. No i przede wszystkim pracownika naukowego Wydziału Nauk Politycznych i Stosunków Międzynarodowych Uniwersytetu Warszawskiego, na którym wykładał także wspomniany Tymanowski. Innymi słowy, Wawrzyk pomógł koledze. A przyszło mu to tym łatwiej, że w ramach podziału obowiązków wśród wiceministrów nadzoruje też sprawy konsularne.

To niejedyne świadectwo, że wiceminister może. Inny trop dotyczy naszej ambasador w Hiszpanii, Anny Sroki. Ona również nie ma doświadczenia w pracy dyplomatycznej i również była pracownikiem naukowo-dydaktycznym WNPiSM UW, po habilitacji w roku 2015. Zajmowała się tam m.in. sprawami Hiszpanii, w tym na poziomie współpracy akademickiej. I w ramach szukania przez PiS na uniwersytetach ludzi, których można wysłać za granicę, trafiła do wąskiej grupy wytypowanych.

Proszę! Kiedyś o awansach w dyplomacji decydował notes Geremka. Dożyliśmy czasów, że swoją siłę ma notes Wawrzyka. Ale…

Otóż wszystko w sprawie Sroki było już załatwione, gdy nagle podczas przesłuchania w Sejmie odezwał się poseł Krystian Kamiński z Konfederacji i zaatakował ją takim odkryciem: „Mam artykuł z 2011 r., który pani współredagowała: »Extremismus in Polen« (Ekstremizm w Polsce). Pisze pani m.in.: »Wydaje się, że w Polsce w porównaniu z wieloma państwami zachodniej Europy jest wyższy poziom tolerancji wobec organizacji prawicowo-ekstremistycznych. Niepokojący jest fakt, że niektóre postawy i wypowiedzi, które są sprzeczne z wartościami liberalnej demokracji, dotarły do mainstreamu polskiej polityki«".

Po czym skierował pytanie do ministra Raua: „Czy ta kandydatura była prześwietlona pod tym względem, czy to państwu jest jakby właściwie obojętne, jakie ma poglądy reprezentowana kandydatka?".

A Srokę zapytał tak: „Gdzie jest pani motywacja przejścia z sektora – nazwijmy to – mniej bądź bardziej prywatnego do działalności dyplomatycznej?".

Och, co to się działo! Jak się wszyscy tłumaczyli! Z wiceministrem Szynkowskim vel Sękiem na czele. Że to sprawy – jak sądzą – znane i wyjaśnione.

Najśmieszniej mówiła sama Sroka: „Odpowiadając na pytanie, dlaczego zdecydowałam się na kandydowanie – ponieważ uważam, że mam bardzo dużo kontaktów i mam bardzo dużą wiedzę na temat Hiszpanii. (…) Uważam, że 20 lat współpracy z Hiszpanią jakby predysponuje mnie do tego, żeby wykorzystać też te kontakty na rzecz Polski. (…) Proszę państwa, oczywiście ja nie mam wątpliwości, że będę reprezentować państwo polskie, rząd i jego politykę. Decydując się na to stanowisko, miałam tego świadomość. Tak że nie mam żadnych problemów z reprezentowaniem polityki rządu i umacnianiem w Hiszpanii wizerunku Polski, właśnie zgodnie z linią polityczną rządu, który mamy w tej chwili w Polsce".

Nie wiemy, co jeszcze była gotowa obiecać, ale – jak widać – krzesło się pod nią paliło. Tak, proszę państwa, wykuwa się nowy świat…

Attaché

Światowy Dzień Lenistwa obchodzony leniwie w Itagüí w Kolumbii.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl f8afa2b15b

JOLKA

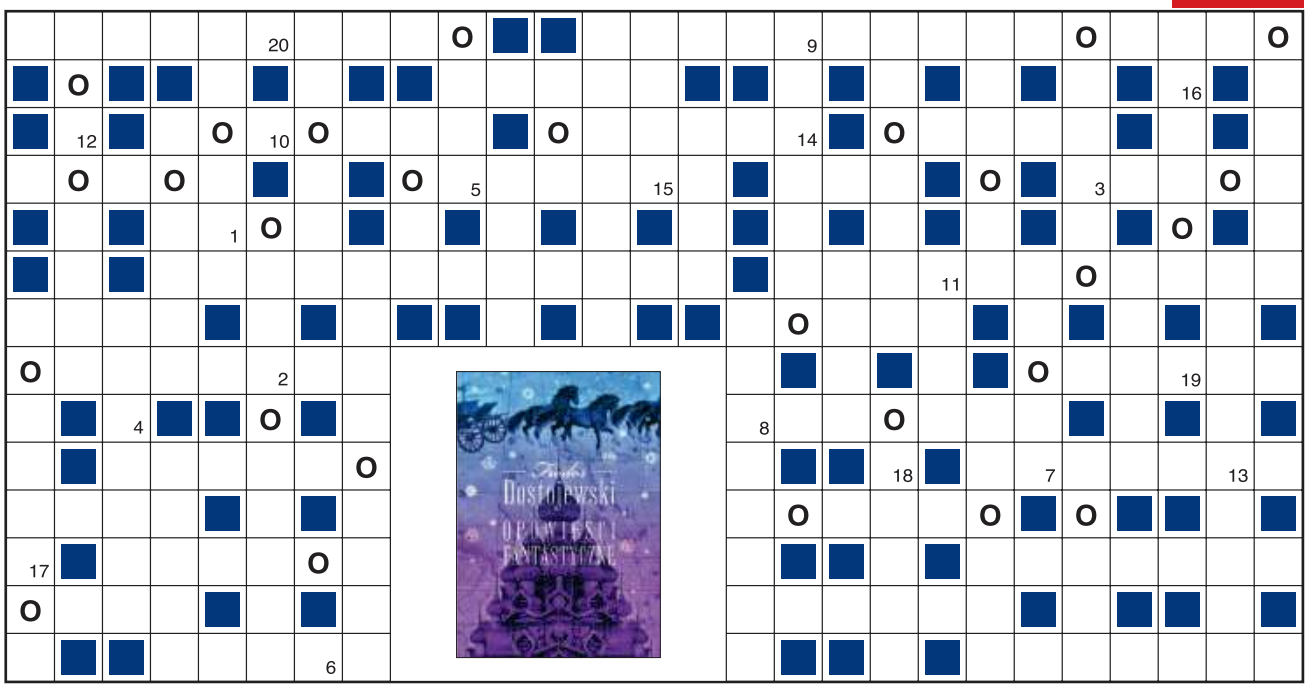

1	2	3	4	5	6	7	8	9

10	11	12	13

14	15	16	17	18	19	20

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów.
Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery O ujawniono.
Litery z pól ponumerowanych od 1 do 20 utworzą końcowe hasło.

- „...gwiazd" Zdzisławy Sośnickiej
- rasowy koń do jazdy wierzchem
- wystawne, oficjalne przyjęcie na cześć
- wysłodki produktem ubocznym z tego zakładu
- guma twarda, produkt wulkanizacji kauczuku
- majtki jak owoce
- „lisi" taniec towarzyski
- ...miłosna, czyli bakłażan
- konik akwarysty i gołębiarza
- wyspa z wulkanem Fudżi
- święty ptak staroegipski
- afera ...contras za Reagana
- fryzura punka
- sienny – alergiczny
- „Panna..." Wandy Chotomskiej
- Xe wśród helowców
- Barbara (Lass) lub Irena
- kura wodząca pisklęta
- ciemny więzienny pod zamkiem
- wedle Kpinomira miał wśród żon Biustynę
- tyle gałęzi, ile da się unieść
- dawniej o statku, okręcie
- jarząca się reklama
- wygodna Bilba w Hobbitonie
- koloru lub znaczeniowy, emocjonalny
- skrócony… aktu urodzenia
- niedopalony kawałek świecy
- chłonie kuchenne wonie
- ozdoba kolekcji albo wzór, wcielenie
- o bezwzględnym, dręczycielu
- część takielunku obok omasztowania i ożaglowania
- futerał na pistolet przy siodle
- wydawana przez biegłego
- potocznie pracowanie ciężko, harowanie
- zboże pochodzące z jesiennego siewu
- bierwiono
- wartki nurt, strumień
- chce wydawać się innym, by wywrzeć wrażenie
- i głęboka rozpadlina, i to, co dzieli
- „…mniejszości" z Tomem Cruise'em
- Rubensa lub Siemiradzkiego „...Parysa"
- ogrodniczki albo rybaczki
- murarska to fuga
- giemza z francuska
- Oleńka Billewiczówna według stanu społecznego
- powinny być segregowane
- w nim napój nie wystygnie
- twierdzenie, które wymaga dowodu
- …Clancy, autor „Czasu patriotów"
- wersalski, z Maastricht albo lizboński
- filozof Mizantrop, muzyk Tymański
- tamponik do demakijażu
- odmiana, inne rozwiązanie
- drugie miejsce, np. za Pią Skrzyszowską
- „Indiański..." – western z Kirkiem Douglasem
- do naśladowania
- zysk handlowca
- po sąsiedzku z Wrzeszczem
- bywa pyrrusowe

KUPON JOLKI „Przeglądu"

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie", opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1080". Do rozlosowania książki „Opowieści fantastyczne" ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 4 września 2022 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1077" z nr. 33: *Wiedza nie ma szefów.*
Nagrody otrzymują: Anna Kasza z Kielc, Maria Skawińska z Brzozowa, Zbigniew Trojanek z Szamotuł.

eprasa.pl f8afa2b15b

PENETRACJE

Press

AGNIESZKA LICHNEROWICZ,
RADIO TOK FM

Nie znamy skali wyjazdu mężczyzn z Ukrainy, ilu ich unika wojny i wyjeżdża z kraju nielegalnie. Nie wiemy, jak duża jest skala korupcji. Nie znamy brzydkiej strony wojny, tych małych linczów czy samosądów, które społeczeństwo ukraińskie wymierza samo, bo policja jest na froncie. Nie znam ich skali i nie wiem, na ile jest anegdotyczne, że mężczyzna złapany na kradzieży przywiązywany jest np. do lampy i psychicznie upokarzany. Nie wiemy też, ile dziesiątków tysięcy Ukraińców – żołnierzy i cywilów – już zabili Rosjanie.

Monde diplomatique

ALAIN GRESH,
DYREKTOR DZIENNIKÓW INTERNETOWYCH

Kraje Południa zajmują ostrożne stanowisko odnośnie do konfliktu zbrojnego między Moskwą a Kijowem. Postawa monarchii znad Zatoki Perskiej, będących przecież sojusznikami Zachodu, jest symptomatyczna dla tej rezerwy: krytykują jednocześnie inwazję na Ukrainę i sankcje wobec Rosji. W ten sposób manifestuje się wielobiegunowość świata, w której na pierwszy plan wysuwają się partykularne interesy państw.

zwierciadło

AGNIESZKA GROCHOWSKA,
AKTORKA

Jeżeli nie dajemy sobie prawa do tego, żeby się wkurzyć, to bardzo trudno jest nam znieść wkurzenie u kogoś innego. Powstaje taki mechanizm: „Okej, okej, ale już się nie denerwuj, bo to psuje atmosferę”. A ma być fajnie, prawda? Tylko że jak jesteś zawsze fajna dla innych, to nie robisz tego bezinteresownie – oczekujesz zwrotu w postaci tego, że inni będą cię lubić. Warto to w sobie zauważyć.

PANI

MATEUSZ DAMIĘCKI,
AKTOR

Pewnego dnia w przedszkolu Franek zacytował jedną z kwestii, wykonując układ taneczny, który żona przygotowała jednemu z aktorów. „Mogę przypier***, nie wchodzę do wody”. W całym spektaklu padają może dwa lub trzy przekleństwa. I są uzasadnione. Ale dziecko wyłapuje zawsze „najciekawsze”, obserwuje reakcje i bawi się z dorosłymi w kotka i myszkę.

Ćwiczenia południowokoreańskich służb ratunkowych na wypadek ataku chemicznego i terrorystycznego w Seulu.

FOT. AFP/EAST NEWS

Aby język giętki…

JERZY MARKOWSKI
O PRZYWILEJACH GÓRNIKÓW

Ludzie spoza górnictwa widzieli tylko przywileje, ale ja 20 lat pracowałem pod ziemią i bywały lata, że w roku miałem dwa dni wolne.

PROF. ANNA MARIA MUSIAŁA
O POPULIZMIE

Wygrywa wtedy, kiedy duża część ludzi czuje, że elity o nich nie dbają.

WŁADYSŁAW FRASYNIUK
O ROZLICZENIU PiS

Będzie problem, ponieważ Kaczyński pokaże, że ustawy uchwalał razem z opozycją.

ANNA SOSNOWSKA-MATERSKA
O WYBORACH

Polacy głosują różańcem i portfelem. Kiedy Kościół jest coraz słabszy, a praktykujących ubywa, punkt ciężkości przesuwa się na coraz chudszy portfel.

KRYSTYNA JANDA O AKTORSTWIE

To ciężki kawałek chleba, związany z niepewnością, szybkimi ocenami, często brutalnymi, wymagający posługiwania się wrażliwością i często intymnością.

MAREK KONDRAT
O REZYGNACJI Z AKTORSTWA

Odrzuciłem ten świat świadomie. I moje życie potwierdza, że była to dobra decyzja.

AGNIESZKA GROCHOWSKA O WIZERUNKU

Polubiłam wizerunek kogoś, kto jest lubiany, doceniany i akceptowany. I wiem, że sobie na niego zapracowałam.

KINGA PREIS O CYGAROWNI

Kiedy z mężem idziemy do naszej cygarowni, czyli garażu, gdzie sobie popalam i czytam, on wyciąga cygaro i też robi, co chce.

AGATA PASSENT O ULUBIONYM DANIU

Miska liści (a nie ryżu) skropiona olejem z octem jabłkowym.

JOANNA BRODZIK O STOLE

Jeśli jesteś szczęściarzem większym niż inni, buduj dłuższe stoły, a nie wyższe mury.

eprasa.pl f8afa2b15b

Z prochu powstałeś, w wideo się obrócisz

Brytyjka Marina Helen Smith to prawdopodobnie pierwsza osoba, która odpowiadała żałobnikom na swoim własnym pogrzebie. Stało się tak dzięki innowacyjnej technologii wideo rozwijanej przez firmę StoryFile, należącą do syna kobiety. Przed śmiercią pani Smith zarejestrowano, jak szczegółowo opowiada o swoim życiu. Podczas ceremonii można było zadawać jej pytania, a sztuczna inteligencja wybierała odpowiednie fragmenty nagrania i składała je w spójną i wyczerpującą całość. Technologia jest na tyle udana, że osoba widoczna na ekranie wydaje się faktycznie słuchać i reagować na to, co się do niej mówi. To się nazywa nowoczesne medium!

Przeminęli z wiatrem

Na Węgrzech błędna prognoza pogody spowodowała zwolnienie szefostwa Narodowej Służby Meteorologicznej. Pech Kornélii Radics oraz jej zastępcy Gyuli Horvátha polegał na tym, że zapowiedź gwałtownej burzy, która miała nadejść nad Budapeszt, skłoniła władze do odwołania w ostatniej chwili hucznych obchodów Dnia Świętego Stefana. Ostatecznie chmury zmieniły kierunek i niebo nad stolicą pozostało spokojne, ale na gigantyczny pokaz fajerwerków w jedno z najważniejszych świąt państwowych było już za późno. W konsekwencji minister technologii i przemysłu László Palkovics ze skutkiem natychmiastowym zdymisjonował naczelnych synoptyków kraju. Kto mógł to przewidzieć…

Wydało się

Z kolei w Chinach głowy poleciały w Ludowym Wydawnictwie Edukacyjnym, a to z powodu krytyki, z jaką spotkały się ilustracje z podręcznika do nauki matematyki. Choć książka była wykorzystywana w podstawówkach od niemal dekady, skandal wybuchł, dopiero gdy jeden z nauczycieli opublikował zdjęcia jej fragmentów w mediach społecznościowych. Poza generalną wartością estetyczną dzieła kontrowersje wzbudziły przedstawienia chłopców obłapiających dziewczęta i tatuaż na nodze jednego z uczniów. Resort edukacji przyjrzał się rysunkom i uznał, że „nie są przyjemne estetycznie", „łatwo mogą być źle zrozumiane" i „nie odzwierciedlają odpowiednio pogodnego obrazu chińskich dzieci". W związku ze sprawą ukarano 27 osób, upomniano pre-

CYTATY

PROF. ANNA MARIA MUSIAŁA,
dyrektorka Centrum Badań Zaawansowanych UAM
Społeczna gospodarka rynkowa wyrosła z katolickiej nauki społecznej, ale sprawdziła się w laickiej Francji i protestanckiej Szwecji. A w katolickiej Polsce się nie przyjęła.
„Polityka"

PROF. HENRYK DOMAŃSKI,
socjolog
Prawdopodobieństwo utrzymania władzy przez PiS po wyborach jest większe niż przejęcie władzy przez opozycję.
„Rzeczpospolita"

MARCIN KRZYŻAŃSKI,
przyrodnik
Naprawdę żyjemy w okresie szóstego wielkiego wymierania gatunków.
„Tygodnik Powszechny"

MATEUSZ DAMIĘCKI,
aktor
Żyjemy w czasach, kiedy zamiast naprawiać, wszystko się wymienia. Rzeczy, ludzi, wartości, opinie.
„Pani"

eprasa.pl f8afa2b15b

Na upały najlepsza drzemka. Park safari Sabi Sands w RPA.

zesa oficyny, wyrzucono szefa działu matematycznego oraz zdecydowano, że ilustratorzy nie będą już zatrudniani przy podręcznikach. Chyba rysuje się przed nimi nieciekawa przyszłość.

Za zdrowie budżetu!

Japoński fiskus zamierza zachęcać młodych obywateli do częstszego… picia alkoholu. Dwudziesto- i trzydziestolatkowie spożywają go bowiem zdecydowanie mniej niż ich rodzice, co skutkuje spadkiem dochodów państwa z akcyzy. Aby odwrócić niekorzystny trend, główny urząd skarbowy zorganizował konkurs „Sake Viva!", w ramach którego osoby w wieku 20-39 lat mogą zgłaszać pomysły na pobudzenie zainteresowania rówieśników procentami. Mile widziane są wszelkie idee, od koncepcji kampanii promocyjnych po rozwiązania oparte na nowoczesnych technologiach. Obstawiamy, że w polskich realiach spore szanse na zwycięstwo miałaby aplikacja mobilna Ze mną się nie napijesz?

FOT. PIC NA WODĘ FOTOMONTAŻ (4), MEDIA DRUM/EAST NEWS

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego:
Paweł Dybicz e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępcy redaktora naczelnego:
Roman Kurkiewicz e-mail: r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Robert Walenciak e-mail: r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji:
Joanna Wielgat e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków), Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra), Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Maja Marklowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Marcin Ogdowski, Jan Ordyński, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych:
Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl
Sekretariat fundacji i redakcji:
Izabela Strupiechowska
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120
WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FUNDACJA ORATIO RECTA

eprasa.pl f8afa2b15b

Yuliia Mykhaliuk, RED

Małgorzata Bockenheim, Maryjka – patronka kobiet

Powrót Bogini

Wystawa prezentuje prace artystek poszukujących kobiecej pełni. Kobiet będących ważną częścią zmiany zachodzącej w naszej kulturze. Kobiecy pierwiastek oraz moc i pasja z nim związane wciąż przebywają w uśpieniu w podziemiach, na wygnaniu. Kobiece instynkty i formy energii zostały umniejszone, stłumione, okaleczone i zdemonizowane. Małgorzata Bockenheim, Anna Chudzik-Pawlik, Maryna Kucherenko, Monika Marchewka, Emilia Mróz, Yuliia Mykhaliuk, Ewelina Staszewicz i Agnieszka Zacharczuk wykorzystują różne formy sztuki, od malarstwa, przez rysunek, kolaż czy haft, po performance.

Galeria Elektra
Warszawa, ul. Dobra 31
do 20 września

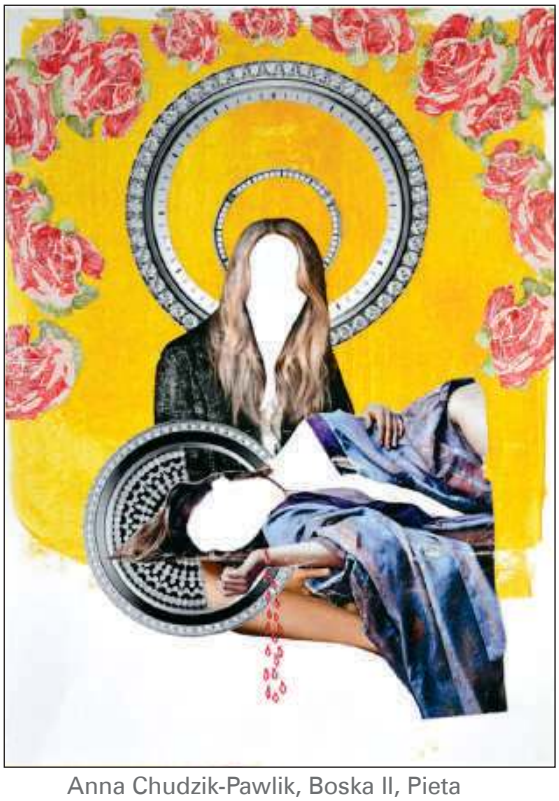

Anna Chudzik-Pawlik, Boska II, Pieta

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Monika Marchewka, Rano

eprasa.pl r8aia2b13b

CENTRUM
SPOTKANIA
KULTUR
W LUBLINIE

STOWARZYSZENIE
IM.
RICHARDA STRAUSSA

3 MIĘDZYNARODOWY
KONKURS
WOKALNY
IM. ANTONINY CAMPI
Z MIKLASZEWICZÓW

3RD INTERNATIONAL ANTONINA CAMPI VOCAL COMPETITION

30.08. - 3.09.2022 LUBLIN/POLAND

PRZESŁUCHANIA / AUDITIONS **30.08. - 1.09.2022**

KONCERT FINAŁOWY / FINALS **3.09.2022 - 18:00 / 6 PM**

więcej na:
antonina.campi.spotkaniakultur.com

eprasa.pl/8ala2b15b

CISZA ZABIJA

GWIAZDA SERIALU SQUID GAME W FILMIE

PÓŁNOC

W DOBRYCH KINACH

W ROLACH GŁÓWNYCH JIN KI-JOO WI HA-JUN PARK HOON GIL HAE-YEON KIM HYE-YOON

CJ ENM PRZEDSTAWIA PRODUKCJĘ PEPPERMINT&COMPANY WYPRODUKOWANO PRZEZ KIM HYUN-WOO KOPRODUKCJA JEONG YONG-WOOK
REŻYSERIA KWON OH-SEUNG SCENARIUSZ KWON OH-SEUNG ZDJĘCIA CHA TAEK-GYUN(C.G.K.) OŚWIETLENIE LEE JE-WOO
KIEROWNICTWO PRODUKCJI LEE BYUNG-JUN (NEXT STUDIOS) MONTAŻ LEE GANG-HEE MUZYKA HWANG SANG-JUN UDŹWIĘKOWIENIE JUNG HYUN-SOO(K.P.A.)
EFEKTY DŹWIĘKOWE SUNG YOON-YONG LEE IN-GYU KOSTIUMY CHOI EUI-YOUNG MAKE UP & HAIR KIM HYUN-JUNG KASKADERZY JEON JAE-HYUNG
EFEKTY SPECJALNE LEE DONG-HO SCENOGRAFIA PEE DAE-SUNG POST PRODUKCJA CHOI JIN-SEOP KOLOR NOH BYOUNG-WOOK
KIEROWNIK PLANU SEO KWANG-HWAN ASYSTENT REŻYSERA DAE-HEE AGENT SPRZEDAŻY FINECUT

©2021 PEPPERMINT&COMPANY & CJ ENM ALL RIGHTS RESERVED

filmosfera IRKA